

Conan zuchwały

John Maddox Roberts



calibre 0.9.27

CONAN ZUCHWAŁY

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE BOLD

PRZEŁOŻYŁ Marek Mastalerz

ROZDZIAŁ 1

Gospodarstwo znajdowało się na niewielkiej polanie, otoczonej niskimi wzgórzami pokrytymi gęstym lasem. Gospodarz, siwiejący mężczyzna o imieniu Halga, wsparty na włóczni przyglądał się, jak jego trzech synów wygania bydło na pastwisko. Był zadowolony, ponieważ zima okazała się łagodna, a stado znacznie się rozrosło. Po surowych zimowych miesiącach nastał czas obfitości. Drzewa pokryły się bujnym listowiem, a w strumieniach zaroiło się od ryb. Po chwili Halga odwrócił się i spojrzał na młodzieńca, który wyszedł właśnie z kamiennego domu.

Młody mężczyzna podszedł do Halgi wielkimi krokami. Nie widać było po nim, że kilka tygodni wcześniej przywłókł się tutaj poraniony z głębi Pustkowiec Piktyjskiego. Wiele dni leżał nieprzytomny, otoczony opieką kobiet Halgi.

Cymmeriańska sztuka pielęgnarska była prymitywna. Polegała głównie na utrzymywaniu ran w czystości i zszywaniu największych z nich włosiem z końskich ogonów. Mieszkańcy tej krainy wierzyli, że najlepiej jest pozwolić ciału leczyć się samemu. Ponieważ chłopak również należał do tego narodu, przeżył tę surową kurację. Kiedy ozdrowiał na tyle, że był w stanie mówić, powiedział iż nazywa się Conan i pochodzi z gór na północnym wschodzie. Był

młodszy od synów Halgi, miał najwyżej siedemnaście lat, ale górował nad nimi wzrostem. Ze względu na ładną pogodę miał teraz na sobie jedynie sandały, przepaskę na biodra i pas z bronią. Na masywnym barku wsparł myśliwską włócznię.

— Rzeczywiście gotów jesteś spędzić dzień na polowaniu, Conanie? — spytał

Halga.

— Już prawie zwariowałem od leżenia i poddawania się babskiej opiece —

odpowiedział młodzieniec. — Dowiedziałem się od twoich synów, że na wzgórzach żyją jelenie i rude łanie, a na nizinnych bagnach dzikie byki.

— Trop tylko jelenie i łanie — doradził Halga. — Nie ma co samotnie porywać się na dzikiego byka, zwłaszcza gdy nie odzyskało się pełni sił. Niech ci się wiedzie na polowaniu. Dziczyzna byłaby miłą odmianą po wołównie i baraninie.

Nie tracąc czasu na dalszą rozmowę, młodzieniec obrócił się na pięcie i skierował do bramy w palisadzie. Halga przyglądał się mu szacującym wzrokiem. Ku rozbawieniu rodziców i braci córka Halgi — Naefa przejęła na siebie większość pielęgnarskich obowiązków. Dziewczyna była w

wieku odpowiednim do zamążpójścia, a Cymmerianom nie wypadało poślubić przedstawicielkę własnego klanu.

Chłopak miał więc wszelkie widoki na zostanie zięciem Halgi. Mimo strasznych ran powracał do zdrowia w tempie zadkim nawet wśród

Cymmerian, narodu, w którym nie było słabeuszy. Chociaż Conan nie odzyskał jeszcze pełni sił, już teraz pokonywał Halgę i jego synów w ćwiczebnych walkach na kije. Starszy mężczyzna jeszcze nigdy nie widział

takiej szybkości w posługiwaniu się bronią. Co prawda młodzik wydawał się krnąbrny i skory do włóczęgi, lecz zapewne ustatkowałyby się pod wpływem żony, a zdrowa żądza walki znalazłaby ujście w zbrojnych wyprawach przeciwko sąsiednim Piktom i Bossończykom. Halga i jego ziomkowie zamierzali wkrótce podjąć przygotowania do złupienia jednych bądź drugich, chyba że nieprzyjaciel uderzyłby pierwszy. Kolejność nie miała tu większego znaczenia. Walka stanowiła bowiem jedyną rozrywkę Cymmerianów, a honor był honorem bez względu na to czy się napadało, czy też odpierało napaść.

Osoba, na której skupiły się myśli Halgi, odczuwała zakłopotanie, wychodząc przez bramę w palisadzie. W górach nie korzystano z podobnych fortyfikacji. Mieszkający w pobliżu wrogich plemion Cymmerianie z południowego zachodu potrzebowali lepszej ochrony niż ich rodacy z północy, którzy mieli do czynienia z mniej licznym, lecz za to przyjaznym sąsiedztwem.

Tutaj każde samotne gospodarstwo było otoczone drewnianą palisadą, a grupy po kilka rodzin wznosiły grody, w których kobiety, dzieci i bydło mogły chronić się na czas wojny.

Z włócznią na ramieniu Conan maszerował w stronę lasu. Czuł się w pełni zdrowy i chociaż wspominał często o opuszczeniu gościnnego gospodarstwa, nie czynił nic, by tę chwilę przyspieszyć.

Marzył o dalekich podróżach do nieznanych krain, o szukaniu szczęścia wśród obcych ludzi, o ujrzeniu cudów, których nie mógł się spodziewać wśród jałowych gór i lesistych dolin swoich rodzinnych stron. Mimo młodego wieku zdążył już przemierzyć większą część świata niż jego cymmeriańscy rówieśnicy, a przeżyte przygody jedynie zaostrzyły apetyt na następne.

Obecnie jednak w jego sercu zabrzmiał inny zew, który kazał mu zwątpić w sensowność wyboru wędrownego żywota. Stało się tak za sprawą Naefy, córki Halgi, która nie kryła, że chciała by Conana za męża. Na jej korzyść przemawiała cała cymmeriańska tradycja. Mężczyzn z tego ludu zachęcano do wczesnego ożenku i płodzenia mnóstwa dzieci, bowiem życie w Cymmerii, najprymitywniejszej z hyboriańskich krain, było wyjątkowo surowe. Mnóstwo wojowników ginęło w nieustannych walkach. Kobiety i dzieci padały ofiarą wypraw łowców niewolników, aczkolwiek większość dorosłych kobiet wolała odebrać życie sobie i dzieciom, niż stać się brankami. Wszystkim groziła głodowa śmierć w czasie srogich zim. Tylko liczne potomstwo zapewniało przetrwanie.

Z drugiej strony surowe warunki życia przyniosły Cymmerianom istotne korzyści. Bezwzględna selekcja sprawiła, że stali się oni silniejsi i odporniejsi niż większość innych ludów. Choroby były u nich niemal nieznanne, a ich zdolność odzyskiwania sił legendarna. Conan wyruszał teraz na

polowanie, podczas gdy człowiek z każdej innej nacji odniósłszy takie same rany od kilku tygodni leżałby już w grobie. Siła i wytrzymałość Cymmerianów sprawiała, że ich dzieci były szczególnie łakomym łupem dla łowców niewolników, a to z kolei zmuszało ich ojców do dalszego doskonalenia wojowniczych

umiejętności.

Nic podobnego jednak nie przychodziło do głowy wypatrującemu zwierzyny Conanowi. Myślał o Naefie i o tym, że mógłby się u nią ożenić i zamieszkać w tych stronach. Przyłączenie się wojownika do klanu żony nie było niczym nadzwyczajnym, zwłaszcza w sytuacji, gdy był skłócony ze swoim własnym.

Od lat stosunki Conana ze starszyzną jego plemienia były bliskie przelewowi krwi. Wyruszając na poszukiwanie przygód w szerokim świecie nie odczuwał

więc żadnych wyrzutów sumienia. Jednak Halga i jego synowie odnosili się do niego jak ojciec i bracia, zaś Naefa...

Nim Conan zdążył cokolwiek postanowić, natrafił na trop jelenia.

Przepelniony radością barbarzyńca rozpoczął pościg. Wielkość i głębokość śladów rozszczepionych kopyt powiedziały mu, że zwierzę jest sporych rozmiarów, a kępka włosów, która przyczepiła się do gałązki, że jelen jest młody i zdrowy. Conan wyobraził sobie powrót do gospodarstwa Halgi z martwym zwierzęciem przerzuconym przez barki oraz pochwały, jakimi obsypią go Naefa i jej matka. Była to bardzo przyjemna myśl, o wiele za przyjemna jak na młodzieńca, który marzył o przemierzaniu całego świata i zdobyciu sławy, a może nawet potęgi.

Tropiącego jelenia Conana obserwowały czujne oczy. Krzepka lecz gibka postać podążała za nim nieustępliwie. Mężczyzna, który go śledził, był Piktem

— przedstawicielem rasy tak starej, jak tutejsza puszcza. Niski, cichy jak cień, z piekielnym błyskiem w ciemnych oczach posuwał się trop w trop za wysokim, młodym Cymmerianinem. Młodzieniec nie zauważył, że jest

obserwowany.

Tuż przed południem Conan wypatrzył jelenia. Wyborny tłusty okaz, nabierający ochoczo wagi po zimowym niedostatku, pasł się na niewielkiej polanie. Conan zaczął podchodzić go tak, jak nauczone go we wczesnym dzieciństwie: posuwał się kilka kroków, gdy zwierzę ze spuszczonego łbem skubało trawę, i zamierał jak posąg, gdy jelen podnosił głowę, by rozejrzeć się wokół. Ślepią jelenia dostrzegały prawie wyłącznie ruch, dlatego też nieruchomy myśliwy mógł ujść jego uwagi, chociażby znajdował się w polu jego widzenia.

Podchodząc jelenia, Conan podziwiał jego lśniąca sierść, błyszczące oczy i piękne rogi. Cymmerianin zatrzymał się, gdy uznał, że znajduje się we właściwej odległości. Gdy tylko jelen pochylił się po raz kolejny, odwiódł ramię i nie zginając go, szybkim jak myśl ruchem cisnął

włócznię. W ostatniej chwili przed puszczeniem drzewca obrócił lekko nadgarstek, wprawiając je w ruch wirowy, co zapewniło pociskowi prosty lot. Miotanie włóczni stanowiło najtrudniejszą z bojowych umiejętności, lecz Conan niejednokrotnie dowiódł, że opanował ją do mistrzostwa.

Większość ludzi celowałaby za łopatkę jelenia — w serce. Wówczas, nawet gdyby nie trafili w nie, rana i tak byłaby śmiertelna, chociaż zwierzę musiałoby się nacierpieć przed śmiercią. Conan postąpił inaczej. Wolał zabić od razu bądź nie trafić w ogóle. Wybrał miejsce tuż za uchem jelenia, cel trudny nawet dla doświadczonych bossońskich łuczników. Mało kto poważyłby się na próbę trafienia weń włócznią.

Włócznia jednak uderzyła dokładnie tam, gdzie celował Conan. Przeszła między kręgami i zwierzę padło jak rażone piorunem. Conan wyszarpnął nóż, podbiegł i poderżnął jeleniowi gardło, lecz ten gest miłosierdzia nie był już potrzebny. Potem zawiesił martwe zwierzę na drzewie i zaczął je oprawiać.

Stwierdził, że broń mu przeszkadza, więc zdjął pas i powiesił go na gałęzi koło siebie. Zdarł do połowy skórę z jelenia, gdy szelest za plecami sprawił, że obrócił się z nożem w dłoni.

Wsparty o pień mężczyzna był o stopę niższy od Conana, lecz równie szeroki w barach i piersi. Miał tak samo czarne włosy, lecz różniły go ciemnobrązowe oczy i śniada cera. Conan przeklął swoją głupotę, gdy zauważył, że mężczyzna trzyma w ręce jego miecz, a włócznia znajduje się przy pniu za plecami tamtego. Miał do czynienia z Piktem — odwiecznym wrogiem Cymmerianów.

— Ceną beztroski jest śmierć, Cymmerianinie — powiedział Pikt.

Conan poczuł, że z upokorzenia płoną mu uszy.

— Nie tak łatwo mnie zabić, Pikcie, chociaż masz miecz, a ja tylko nóż.

Uśmiech na twarzy Pikta zdeformował jego wojenny malunek.

— Mówisz śmiało, ale wiesz, że gdybym chciał cię zabić, byłoby już po tobie.

Tak szybko zapomniałeś moich lekcji?

Conan wrócił do oprawiania jelenia.

— Nie zapomniałem. Pierwsza lekcja, którą mi dałeś, to nigdy nie zostawiać broni poza zasięgiem ramienia.

— Na pewno dumałeś o jakiejś kobiecie, ale to żadna wymówka. Kobietom nic po trupach. Każdy inny Pikt zarznąłby cię natychmiast.

Conan odpowiedział ponurym pomrukiem. Kilka miesięcy wcześniej uciekał

przez wzgórza Pustkowia Piktyjskiego przed następującą mu na pięty hordą Piktów z klanu Czarnej Góry. Schronił się przed nimi w jaskini, która, jak się okazało, była już zajęta przez niejakiego

Tahatcha, Pikta z Szarej Doliny.

Tahatch skrył się w tej jaskini noc wcześniej, ścigany przez inną horde z tego samego klanu. Zmuszeni wbrew woli do dzielenia schronienia, Conan i Tahatch spędzili w jaskini trzy dni i noc.

Kiedy w końcu opuścili kryjówkę, przez kilka tygodni krążyli po okolicznych wzgórzach, polując i od czasu do czasu urządzając nocne napaści na wioski klanu Czarnej Góry. Tahatch szukał przygód i zwycięstw, by dostąpić zaszczytu przyjęcia do bractwa Szarego Wilka, najszacowniejszego z wojennych bractw Piktów. Conan dowiedział, że wybornie potrafi radzić sobie w dziczy, jednak okazało się, że jego umiejętności są żałośnie skromne w porównaniu z Piktem, od którego wiele się nauczył.

Kilka tygodni wcześniej ścigani przez horde, która ruszyła na polowanie na dwóch nocnych napastników, musieli się rozdzielić. Conan ledwie uszedł z życiem i sądził, że Tahatch nie żyje. Miał go jednak przed sobą, żywego i natartego lśniąca warstwą niedźwiedziego sadła.

— Piękna sztuka — skomentował Tahatch rezultat polowania. Zrozumiawszy aluzję, Conan włożył rękę w trzewia jelenia.

— Bierz. Nie dam rady udźwignąć wszystkiego.

Pikt przykucnął, uniósł oburącz wątrobę zwierzęcia i zaczął ją jeść na surowo. Conan odwrócił wzrok. Gorliwie uczył się piktyjskiej sztuki wojennej i myśliwskiej, ale nie uznawał ich kulinarnych nawyków.

— Jak udało ci się uciec? — zapytał Conan, ćwiartując upolowane zwierzę.

— Cały dzień kryłem się w bagnie, oddychając przez słomkę. To stara sztuczka z dolin, ale klany ze wzgórz chyba o niej nie słyszały.

Pikt odgryzł kolejny kęs wątroby. Krew pociekła po wiszącym na jego piersi naszyjniku z niedźwiedzych pazurów. Bransolety z kłów niedźwiedzia obejmowały jego ramiona na bicepsach. Miał na sobie pyszną wilczą skórę, z łbem szczerzącym kły na szczycie głowy. Tahatch był doskonałym myśliwym, a piktyjskim zwyczajem było nie pozostawiać nikomu co do tego żadnych wątpliwości.

Kiedy Conan skończył ćwiartować jelenia, wrzucił tyle mięsa, ile mógł, w skórę i dźwignął ją na barki. Stwierdził, że brzemień jest nieporęczne dla człowieka dźwigającego już pas z bronią i włócznią.

Pikt wstał i beknął z zadowoleniem.

— Pomogę ci nieść — powiedział, po czym dodał: — Jeśli to nie za daleko. —

Bez widocznego wysiłku zarzucił na ramię ogromny połec dziczyzny i nie zwracając uwagi na krew ściekającą mu po skórze szerokimi pasmami zapytał:

— Gdzie mieszkaś?

— W cymmeriańskim domostwie niedaleko stąd. Będziemy na miejscu przed zachodem słońca.

— Może ty — burknął Pikt — ale nie ja. Twój ziomkowie zabiliby mnie, a mój własny lud nigdy by nie zrozumiał, jak mogłem zaprzyjaźnić się z

Cymmerianinem. Nie, gdy tylko dotrzemy w pobliże twojego gospodarstwa, będziemy musieli się rozstać.

Halga zorientował się, że coś jest nie w porządku, gdy tylko ujrzał synów biegnących w stronę obejścia. Nigdzie nie było widać bydła, a jedynie wielkie niebezpieczeństwo mogło zmusić chłopców do porzucenia dobytku. Halga dołączył do synów przy bramie. Ostatni z nich zamknął ją spieszenie za sobą i zaparł wierzeje belką.

— Bandyci — powiedział najstarszy syn urywanym głosem. — Chyba ze trzydziestu.

— Piktowie? — spytał Halga.

— Nie — odparł młodzieniec, któremu było na imię Dermat. — Jakaś

mieszana wataha. Widziałem dwóch czy trzech Bossończyków, kilku

Gunderlandczyków, ale nie mam pojęcia, skąd pochodzi reszta.

— Łowcy niewolników — stwierdził Halga żalując, że nie ma z nimi Conana.

W tej chwili przydałby się im jeszcze jeden miecz. Czterech przeciwko trzydziestu stanowiło marną proporcję, chociażby tą czwórką byli

Cymmerianie. Szkoda było jednak czasu na bezcelowe rozmyślenia.

— Łowcy niewolników nie będą mieli ochoty na walkę do ostatniej kropli krwi — powiedział najmłodszy z synów Halgi. — Zobaczycie, kiedy wyrżniemy paru z nich, reszta ucieknie.

— Możliwe — stwierdził Halga. — Zawsze możemy mieć nadzieję, musimy być jednak przygotowani na najgorsze. Gdyby do tego doszło... — powiódł

surowym wzrokiem po dwóch starszych synach — musicie być gotowi zająć się waszymi kobietami. Ja zatroszczę się o waszą matkę i siostrę. — Był

zadowolony, że młodszymi dziećmi opiekowała się tego roku inna rodzina.

— Dobrze — odrzekł Dermat, powiódłszy palcem po ostrym jak brzytwa mieczu. — Niech nie liczą na uciechy z moją kobietą.

Cymmerianie byli gwałtownym i dumnym ludem. Gardzili śmiercią, lecz przerażała ich perspektywa

niewolnictwa.

Podczas gdy najmłodszy syn poszedł po oszczepy, Halga i dwaj starsi synowie powiadomili kobiety. Przyjęły wiadomość ze spokojem właściwym rasie, dla której śmierć była czymś codziennym. Jedyne z hańbą nie można było się pogodzić.

— Jeśli mamy umrzeć, Conan nas pomści — stwierdziła ciemnooka Naefa.

— Tak — Halga pokiwał głową. — Nie chciałbym być łowcą niewolników, który wejdzie w drogę temu młodemu człowiekowi.

Powiedział tak, by ją pocieszyć. Wiedział, że Conan skrzyknie grupę ziomków do pościgu za łowcami niewolników, lecz ci ostatni zapewne szybko przekroczą najbliższą granicę, zaś Cymmerianie niechętnie opuszczali swoją krainę.

Kiedy wrócił na dziedziniec, widać już było napastników. Naliczył

trzydziestu, tak jak powiedział mu syn. Popołudniowe słońce błyszczało na hełmach i brzeszczotach włóczni. Wszedłszy na pomost przy palisadzie ujrzał, że herszt łowców niewolników wysunął się do przodu. Był to wysoki mężczyzna w złoconej zbroi o najciemniejszej karnacji, jaką dane było widzieć Haldze. Po jego bokach jechało dwóch stalowookich Gunderlandczyków.

— Witaj, Cymmerianinie! — zawołał wódz. Zęby zabłysły na tle jego mahoniowego oblicza. — Jestem Taharka, do niedawna oficer armii Keshanu.

Wyprawiłem się z towarzyszami na łowy. Szukamy dwunogiej zwierzyny.

— Wiem, czego szukasz, przybyszu — odkrzyknął Halga. — Znajdziecie tu tylko śmierć i staniecie się pokarmem dla wilków. W naszym kraju nie grzebiemy łowców niewolników.

— Dobrze by było, gdybyś się jednak zastanowił. Życie niewolnika to mimo wszystko życie — odpowiedział śniady mężczyzna uśmiechając się

wymuszenie.

Halga splunął.

— Są rzeczy ważniejsze niż życie.

— Niektórzy moi ludzie ostrzegali mnie, że wy, Cymmerianie, jesteście upartym i nierozsądnym narodem — uśmiech zniknął z jego twarzy. Zastąpił

go gniewny grymas.

— Widocznie mało ci było tych ostrzeżeń — odrzekł Halga. — Inaczej ominąłbyś to miejsce.

Jeden z Gunderlandczyków pochylił się w stronę Taharki i powiedział

ściszonym głosem:

— Nie ma co spierać się z tym dzikusiem, wodzu. Wyrzniemy wszystkich wojowników i kobiety, a na szczeniakach dobrze zarobimy. Musimy się jednak pospieszyć, bo Cymmerianie prędzej wymordują swoje własne rodziny, niż dopuszczą, by wpadły w niewolę.

— Dzikusy — zgodził się pogardliwie Taharka. — Nie mają pojęcia o cywilizacji. To chyba oczywiste, że w zorganizowanym społeczeństwie muszą być niewolnicy. Niektórzy nimi się rodzą, niektórzy stają się nimi w wyniku wojen, a jeszcze innych sprzedają w niewolę głodujący rodzice. Wielu osiąga wysokie urzędy i zaszczyty. Niewolnik by wznieść się nad innych ma jedynie większą drogę do pokonania.

— Jako rzeczesz, panie — przytaknął Gunderlandczyk. — Na nic się jednak nie zda mędrkowanie w obecności tych niepokornych barbarzyńców. Pozwól nam ich wybić.

— Bardzo dobrze — rzekł Taharka. — Wyślij naszych obwiesiów, niech policzą się z dorosłymi wojownikami. Sami nie walczyć, o ile nie okaże się to konieczne. Zajmujemy się przecież interesami i żaden poeta nie będzie opiewał

naszych czynów.

Dwóch płowowłosych podwładnych odjechało, by spełnić jego polecenie.

Taharka uśmiechnął się do swoich myśli. Trafił do nędznej krainy ubogich gospodarstw i wychudzonego bydła, jednak nawet w niej można było dostrzec handlowe możliwości. Doprowadziła go tu kręta droga, na której wielokrotnie wymykał się z lochów i spod stryczków. Po ucieczce przed turańską sprawiedliwością znalazł się w bandyckiej melinie na wzgórzach w pobliżu Tanasulu. Tam zebrał bandę rozbójników wymuszając na nich posłuch dzięki swej sile, twardości charakteru i wykształceniu. Pierwsza wyprawa po niewolników do północnozachodniej Nemedii dała im duży zysk. Taharka zdecydował, że z kolejną ruszy na południowo zachodnie rubieże Cymmerii, ponieważ dowiedział się, że niewiarygodnie wytrwałe i wytrzymałe dzieci tego narodu uzyskują na targach niewolników najwyższe ceny. Głód, choroby czy przepracowanie nie były w stanie ich zabić.

Wysoki Taharka był uderzająco przystojny, o czym dobrze wiedział. Nie był

tak ciemnoskóry jak Kushyci, a wysoki, garbaty nos i orle rysy twarzy świadczyły o dużej domieszce stygijskiej krwi. Lubił pozować na arystokratę, chociaż w jego żyłach nie płynęła szlachetna krew. Jego ojciec, potulny sklepikarz, ciułał każdy grosz, by zapewnić synowi najlepsze wykształcenie.

Edukacja i wybitne talenty sprawiły, że Taharka bez trudu został oficerem jazdy.

Na nieszczęście ani wykształcenie, ani talent nie były w stanie ukryć faktu, że Taharka był całkowicie pozbawiony uczciwości, honoru i jakichkolwiek tego rodzaju cech. Wyjątkowo bezczelna zdrada sprawiła, że musiał salwować się ucieczką, by ocalić życie, ścigany przez byłych towarzyszy broni. Gdy tylko opuścił granice rodzinnego kraju, odkrył swoje prawdziwe powołanie. Stał się ściganym w wielu królestwach przestępcą.

Dla Halgi był jedynie jeszcze jednym zagranicznym bandytą, aczkolwiek o niepospolicie ciemnej skórze. Kiedy ujrzał, że dwóch Gunderlandczyków odjeżdża od swojego herszta, uświadomił sobie, że lada chwila zacznie się atak. Nie żywił wielkich złudzeń co do wyniku walki, zamierzał jednak drogo sprzedać swoje życie. On i jego synowie wydaliby się postronnemu

obserwatorowi, nie znającemu Cymmerianów, niemalże znudzeni. To spokojne zachowanie nie dawało jednak pojęcia o nieludzkiej gwałtowności, jaka ogarniała ich z chwilą rozpoczęcia walki.

Napastnicy nawet nie starali się okrążyć palisady, z czego Halga był w gruncie rzeczy zadowolony. Czterech wojowników — to było za mało, by bronić tak niewielkiego fortu. Przemknęło mu przez głowę, że powinien był zbudować solidną ziemiankę z rodzaju tych, w których żyli Gunderlandczycy i Bossończycy. Jednakże mieszkanie pod ziemią, chociaż zapewniało dobrą ochronę, było zupełnie obce cymmeriańskim obyczajom.

Pierwsi rozbójnicy, którzy dotarli pod palisadę, przykucnęli, następni zaś zaczęli się wspinać po ich plecach. I wtedy czterech Cymmerianów wpadło w bitewny szal. Pierwsza głowa, która wychyłała nad szczyt palisady, należała do pirata Zingarańczyka. W jednej chwili przepołowił ją miecz Halgi.

Obok trzymającego w obu rękach włócznię najmłodszego syna Halgi pojawił

się Nediańczyk z szerokim, zakrzywionym mieczem. W chwili gdy

Nediańczyk zamachnął się, chłopiec wbił trzymaną w lewej dłoni włócznię w jego gardło tuż pod rzemieniami hełmu. Przebijając język oraz podniebienie, ostrze utkwiono głęboko w mózgu. Nim napastnik zdążył spaść, jego zabójca wychylił się przez skraj palisady i cisnął włócznię z prawej ręki. Przebiła ona tarczę i przyszpiliła ją do pleców mężczyzny, po których wspinał się Nediańczyk. Okazało się to błędem, ponieważ nim syn Halgi zdążył się cofnąć, stojący niżej Bossończyk zdołał rozciąć jego prawe ramię

zakrzywionym nożem. Młodzieniec zniósł to w milczeniu i wy dobył miecz.

Miecz Halgi spadał w dół, doskonale zgrany z ciosami jego starszych synów.

Wyglądało to tak, jakby wykonywali wielokrotnie ćwiczony taniec. Trzech napastników padło na ziemię. Każdemu z nich brakowało ręki.

— Łucznicy! — wykrzyknął jeden z Gunderlandczyków, krzywiąc się pod czarnym hełmem. — Strzelajcie do nich!

Halga już wcześniej dostrzegł, że napastnicy mieli luki. Chociaż przed strzałą dość łatwo jest się uchylić, widok ten zaniepokoił go, bowiem człowiek zajęty walką na miecze nie ma czasu rozglądać się na wszystkie strony. W

chwile później długie bossońskie strzały zaczęły przecinać powietrze z sykiem przypominającym głodne węże.

Haldze udało się zabić jeszcze dwóch napastników, nim pierwsza strzała utkwiała w jego boku.

Chwyciwszy oburącz jej drzewce, ułamał ją tuż przy ciebie.

Był w stanie jeszcze walczyć, wiedział jednak, że niebawem nastąpi koniec.

Odwrócił się do najmłodszego z synów.

— Mój synu — powiedział spokojnym głosem, jak gdyby rozmawiali o gospodarskich sprawach. — Mam z twoimi braćmi obowiązek do wypełnienia.

Musisz wytrzymać tu jeszcze chwilę i zatrzymać ich.

— Idź, ojcze — odpowiedział młodzieniec, obcinając dłoń aquilońskiemu bandycie. — Nawet jednoręki Cymmerianin może powstrzymać ten motłoch.

Halga zeskoczył na ziemię, przytrzymując dłonią tkwiący w boku kawałek strzały. Nie uczynił tego ze względu na ból, bo ból był niczym, lecz nie chciał

dopuszczać, by wbijająca się głębiej strzała wywołała obfitsze krwawienie i uniemożliwiła mu wykonanie ostatniego zadania. Schował miecz do pochwy i chwycił włócznię o szerokim ostrzu. Nie chciał użyć miecza zbroszonego krwią łowców niewolników. Po raz ostatni wszedł do swojego domu, zaś jego synowie weszli do swoich.

Gdy Halga wyłonił się powrotem, ostrze jego włóczni ociekało krwią. Wbił je starannie w nadproże swojego domostwa. Uczynił to na znak, że honor jego oraz jego rodu, klanu, plemienia i ludu pozostał nie splamiony. Ze spokojnym sercem po raz ostatni dobył podarowany mu przez ojca miecz. Nim dotarł do palisady, napastnicy wdarli się do środka. Część bandytów zajadłe dźgała włóczniami leżącą na ziemi postać. Z okrzykiem, w którym pobrzmiwała niemalże radość, Halga rzucił się między nieprzyjaciół. Jego dwóch synów podążyło za nim. Nim zginęli, zdołali zabić wielu wyjących z przerażenia napastników. Jakiś czas później Taharka przyglądał się rezultatom walki, stojąc na środku podwórza.

— I to wszystko jest dziełem czterech ludzi? Siwobrodego starca, młodzika i dwóch wojowników w kwiecie wieku? Ilu ludzi straciliśmy?

— Dwudziestu dwóch, wodzu — powiedział jeden z Gunderlandczyków.

— A ilu niewolników zdobyliśmy? — zapytał martwym głosem Taharka.

— Ani jednego! — wykrzyknął Argosańczyk, na którego twarzy widniało piętno katowskiego żelaza. — Nie było tu nawet żadnych dzieci! Tylko cztery kobiety. Ich mężczyźni zabili je, nim zdołaliśmy wdrzeć się do środka!

— Istotnie wygląda na to, że nie jest to dobre terytorium łowieckie — powiedział Taharka.

— Kto nas zaciągnął na tę wyprawę?! — wykrzyknął rozgorączony

Argosańczyk. — Ty, Taharko! Ty, swoimi bajeczkami o łatwym łupie i szybkim bogactwie!

— Z pierwszej wyprawy, którą obmyśliłem, byliście zadowoleni — powiedział

niebezpiecznie spokojnym głosem Taharka. Argosańczyk był jednak zbyt rozwścieczony, by zwrócić uwagę na jego ton.

— Jedna udana wyprawa nie usprawiedliwia tej katastrofy! — mężczyzna podszedł do Taharki, stając z nim niemalże pierś w pierś. — Wątpię, byś nadawał się na przywódcę. Myślę, że...

W tym momencie Taharka błyskawicznie wyciągnął wielką, brązową dłoń i pełną garścią chwycił kędzierzawe włosy Argosańczyka. Obróciwszy mocarny nadgarstek, wykręcił głowę mężczyzny ku pozostałym, równocześnie

dobytą zakrzywioną sztylet. Wbił jego koniec pod szczękę Argosańczyka, aż skrwawione ostrze wyłoniło się po drugiej stronie szyi. Szarpnąwszy do przodu, rozplątał całe gardło tak, że głowa trzymała się ciała jedynie na kręgosłupie. Z przeciętej szyi trysnęła krew i treść żołądkowa, zamieniona w koszmarną pianę ostatnim tchnieniem, dobywającym się z płuc umierającego mężczyzny.

— Tak — powiedział Taharka, odrzucając od siebie podrygujące jeszcze ciało. — Zostało nas siedmiu. Wystarczy na początek nowej kompanii.

Właściwie pozbyliśmy się wszystkich słabeuszy. — Powiódł wzrokiem po pozostałych przy życiu bandytach z taką miną, jakby byli jego braćmi. —

Bardzo dobrze, że się ich pozbyliśmy. Prawdziwi mężczyźni nie powinni zadawać się z takimi śmieciami. Spotkał ich zasłużony los.

Zobaczył, że z twarzy ocalałych kamratów znika wyraz przygnębienia, zastąpiony bardziej optymistycznymi spojrzeniami. Przydało mu się doświadczenie, którego nabył za czasów służby wojskowej: ludzie zniosą prawie wszystko, jeśli tylko wmówi się im, że dzięki temu stają się lepsi od innych. Na bogów Styksu, pomyślał, nigdy dotąd nie miałem do czynienia z tak głupimi barbarzyńcami.

— Zabierzmy stąd co się da i znikajmy — zakończył. — Tym razem

popelniliśmy błąd, ale pozostało jeszcze mnóstwo bogatych sadyb do złupienia. Jesteśmy niedaleko od aquilońskiej granicy. Tam się właśnie udamy i zobaczymy, co uda się uszczknąć po drodze!

Słońce prawie już zaszło, gdy Conan ujrzał dym. Przez chwilę sądził, że to ogień rozpalony do przyrządzenia wieczerzy, jednak po chwili odrzucił tę myśl.

Dym był zbyt gęsty i czarny. Oznaczał kłopoty. Pikt dźwigający poleć dziczyzny dostrzegł dym równocześnie z Cymmerianinem, lecz czułe powonienie sprawiło, że o wiele trafniej ocenił sytuację.

— Czuję paloną strzechę i wełnę. Czyjś dom się pali, przyjacielu.

Conan rzucił mięso i pobiegł. Pikt podążył za nim, ale spokojnie. Nie zamierzał na złamanie karku pędzić tam, gdzie groziło nieznane

niebezpieczeństwo. Obydwaj dotarli do stóp wzgórza, za którym leżała sadyba Halgi. Conan wypadł z krzewów i znieruchomiał. Oczy rozszerzyły mu się ze zgrozy. Powoli podszedł do dymiących ruin domostwa. Wiedział już, że nikt z mieszkańców nie ocalał.

Po chwili natrafił na zwalone na stertę ciała domowników. Wszystkie były szkaradnie okaleczone. Dopiero po dłuższych oględzinach odgadł, które z nich należało do Naefy. Tahatch dołączył do niego w chwili, gdy okrywał zwłoki tłącymi się kocami, które wyniósł z jednej ze spalonych chat.

— Nie oddali życia darmo — powiedział Pikt, przyglądając się zaścielającym ziemię trupom napastników. — Nieźle się spisali, jak na czterech mężczyzn.

Niewielu wojowników bractwa Szarego Wilka sprawiłoby się lepiej.

— Muszę ich pochować i usypać kurhany — rzekł Conan. Wtem zobaczył

wystającą z nadproża włócznię. Ponuro zapatrzył się na poczerniałą od ognia, zakrzepłą na niej krew.

— Co znaczy ta włócznia? — zapytał Tahatch.

— Przypomina mi o pradawnym zwyczaju mojego ludu. Oznacza „pomścij nas”. Właśnie nią Halga zabił swoje kobiety.

— Pomścisz ich? — zagadnął Pikt.

— Choćby miało mi to zająć resztę życia — przysiągł Conan. — Klnę się na Croma.

Pikt jeszcze nigdy w życiu nie widział tak posępnego, zaciętego wyrazu twarzy swego przyjaciela.

— W takim razie ruszaj natychmiast za napastnikami. Dym na pewno widać na mile wokół. Wkrótce krewniacy i sąsiedzi przybędą, by ich pogrzebać.

— Masz rację. Przyłączysz się do mnie?

Tahatch potrząsnął przecząco głową.

— Zabici Cymmerianie to nie moja sprawa. Już i tak od dawna nie

widziałem mojego klanu.

— W takim razie pomóż mi przynajmniej odczytać ślady — nalegał Conan. —

Każda wiedza, którą zyskam o tych łajdakach, pomoże mi wytropić ich i zabić.

— Z chęcią — odrzekł Pikt,

Ruszył ze schyloną głową dookoła podwórza. Kucając co parę kroków przyglądał się śladom stóp, połamanej broni, plamom krwi i rzeczom, których nie były w stanie wypatrzeć nawet bystre oczy Conana. Zakończywszy badanie podwórza, Pikt przystąpił do obchodu palisady.

— Tedy odjechali — powiedział, wskazując na południe.

— Założę się, że właśnie tam pozostawili konie — rzekł Conan. — Chodź, zobaczymy, może czegoś się dowiemy.

Obydwaj szybkim truchtem podążyli śladem napastników. Plamy krwi, które znajdowali co chwila na drodze, powiedziały im, że nie wszyscy, którzy przeżyli, wyszli z walki bez szwanku. Niebawem dotarli do wydeptanego placu, zarzuconego świeżym końskim łajnem. Napastnicy wybrali miejsce postoju blisko sadyby, lecz poza zasięgiem wzroku.

Pikt znów przystąpił do badania śladów, po czym wyprostował się i powiedział:

— Przeżyło siedmiu, ale jeden z nich jest ranny. Wśród łowców niewolników było dwóch Bossończyków, ale żaden z nich nie zginął.

— Skąd wiesz, że było ich dwóch? — zapytał Conan.

— Na polanie widziałem strzały z wcięciem, z rogu oraz z kości. Jeden łucznik nie korzystałby z obydwu rodzajów.

Conan wiedział, że to prawda. Bossończycy byli wyjątkowo wybredni w doborze swego łuczniczego rynsztunku.

— Część koni jest okuta na sposób gunderlandzki — ciągnął Tahatch. —

Wśród zabitych nie było również Gunderlandczyków. Może to kradzione konie, ale obydwaj odjechały z jeźdźcami na grzbiecie.

— Nawet mając wiele wolnych wierzchowców jeźdźcy dosiedliby tych, na których mieli swoje siodła — powiedział w zamyśleniu Conan. — Rzeczywiście, wśród pozostałych przy życiu jest pewnie dwóch Gunderlandczyków. Możesz wyczytać coś jeszcze?

Tahatch pokręcił głową.

— Byli tu krótko i nie zostawili wiele po sobie. Niektórzy pochodzą z nie znanych mi narodów — podniósł kilka włókien barwionej na czerwono tkaniny. — Nigdy nie widziałem takiego materiału, nie znam też tego barwnika. Gdybym to wiedział, moglibyśmy się domyślić narodowości właściciela tego stroju. Popatrz jeszcze na to — wyciągnął przed siebie dłoń, na której leżał pojedynczy włos. — To włos z ludzkiej brody, czarnej i bardzo kędzierzawej. Nie wiem, gdzie się takie widuje.

— Wystarczy — powiedział Conan. — Muszę już ruszać. Byłoby mi łatwiej, gdybym dopadł ich, nim

się rozdziela i każdy podąży w swoją stronę.

— Na mnie też już czas — odrzekł Tahatch. — Byłoby głupotą z mojej strony czekać, aż Cymmerianie przybędą sprawdzić, co się pali. Może powinieneś z nimi porozmawiać. Straciłbyś wprawdzie trochę czasu, ale nie będąc samotnym miałbyś większe szansę.

Conan potrząsnął przecząco głową.

— Nie, jesteśmy za blisko granicy. Moi rodacy są nieustraszeni kiedy szukają zemsty, ale nie lubią walczyć na nie swojej ziemi. Muszę jechać sam.

Bywaj, przyjacielu. Jestem twoim dłużnikiem. Ty i ludzie z twego klanu możecie mnie prosić o cokolwiek, kiedy wrócę.

— Bywaj i ty. Życzę ci pomyślnych łowów, Conanie.

Tahatch przyglądał się, jak Conan znika w oddali. Nie spodziewał się ujrzeć jeszcze Cymmerianina żywego. Po chwili ruszył, okrążając szerokim łukiem pogorzelsko. Kierowany właściwą swej rasie niechęcią do marnotrawstwa ruszył do miejsca, gdzie porzucili dziczyznę.

ROZDZIAŁ 2

Conan biegł całą noc i połowę następnego dnia. Krok niezmordowanego Cymmerianina pożerał mile sprawiając, że opuścił wzgórze i dotarł do pofalowanej krainy graniczącej z Bagnami Bossońskimi. Nawet w świetle księżyca nie miał trudności z wypatrywaniem tropu. Duża liczba koni pozostawiała wystarczająco wyraźne ślady.

Miał nadzieję, że bandyci zatrzymają się na nocny postój, okazało się jednak, że tego nie zrobili. Najwidoczniej obawiali się pościgu. Conan był pewny, że zwolnią, gdy tylko przekroczą granicę. Zamierzał wykorzystać ich nadmierną pewność siebie.

Gdy słońce zaczęło palić zza skąpych obłoków, Conan pożałował, że przed wyruszeniem w pościg nie wziął trochę jedzenia i bukłaka z winem. Jego siła i wytrzymałość była znacznie większa niż zwykłych śmiertelników, był jednak tylko człowiekiem. Wiedział, że wkrótce zacznie opadać z sił. Siedmiu zahartowanych bandytów okazałoby się trudnymi przeciwnikami, gdyby napotkał ich osłabiony.

Ogarnięty tego rodzaju myślami, dostrzegł leżącego samotnie mężczyznę.

Zbliżywszy się do nieruchomej postaci Conan dostrzegł, że człowiek ten ma na sobie wystrzępiony nemediański strój i że jeszcze oddycha. Cymmerianin podszedł i przykucnął obok. Beznamiętnie przyjrzał się umierającemu bandycie.

W boku mężczyzny widniała głęboka, rozjątrzona rana od miecza,

zwiastująca rychłą śmierć. Rozerwane płatki uszu oraz pierścienie bladej skóry na palcach i nadgarstkach świadczyły, że ci, którzy go porzucili, pamiętali o wszystkich jego doczesnych dobrach.

Wiedziony szczątkami sumienia jeden z byłych kompanów zostawił konającemu bukłak z wodą i zawiniątko z suszonym mięsem. Conan zaczerpnął głęboki haust wody, a następnie ochlapał nią twarz mężczyzny.

Bandyta zamrugał kilkakrotnie, po czym skupił wzrok na Conanie.

Cymmerianin zauważył, że jego broda, choć czarna, była prosta. Zatem nie jego włos znalazł Tahatch.

— Cymmerianin — westchnął chrapliwie bandyta. — Już po mnie.

— Już od jakiegoś czasu jest po tobie — powiedział Conan, wskazując ranę ziejącą w boku mężczyzny. — Niezły cios. Założę się, że to dzieło Murchy, drugiego syna Halgi. To jego ulubione cięcie.

Bandyta przeklinał przez chwilę.

— Te psy porzuciły mnie tutaj jak zepsute mięso! Niech ich Mitra przeklnie!

— Zamierzam ich odnaleźć przed Mitrą. Powiedz mi, kim są.

— Dlaczego miałbym ci mówić cokolwiek? I tak umieram — z kiepskim skutkiem mężczyzna spróbował przybrać hardy wyraz twarzy.

— Zostało ci parę godzin życia. Mogą ci wydać się dniami.

Popielate oblicze poblądło jeszcze bardziej.

— Słyszałem, że wy, Cymmerianie, nie torturujecie bezbronnych.

— To prawda, nie czerpiemy przyjemności z dręczenia bezradnych ludzi —

przyznał Conan. — Ale ja nie zamierzam robić tego dla przyjemności. Pragnę zemścić się za to, że razem ze swoimi kamratami zamordowałeś moich przyjaciół. Twoje milczenie sprawia, że tracę czas. Zrobię więc wiele, żeby je przerwać. — Pozwolił mężczyźnie przetrwać groźbę, po czym warknął: — No mów, człowieku! Nie byli twoimi przyjaciółmi, skoro cię porzucili.

— Niech ich Set porwie! — stęknął umierający, wykazując duże obycie w kwestiach religii. — Dobrze. Zostało ich sześciu. Dwaj to bossońscy łucznicy, Murtan i Ballan, pospolite złodziejzki. Dwóch następnych to

Gunderlandczycy, bracia, Gunter i Wolf. Są zręcznymi mordercami, we własnym kraju zostali wyjęci spod prawa. — Bandyta skrzywił się i jęknął, przeszyty nową falą bólu.

Conan czekał, aż konający mężczyzna dojdzie do siebie, po czym zapytał:

— A pozostali dwaj?

— Jeden to Aquilończyk imieniem Aksandrias, szczwany kanciarz o

wężowym języku. Szarlatan. Twierdzi, że posiadał czarnoksięską moc, ale nie widziałem, by dokonał czegoś poza jarmarcznymi sztuczkami.

— A ostatni? — spytał Conan.

— On... splunąłbym, gdybym miał dość siły. To nasz przywódca, to on zaciągnął nas do tego wilczego legowiska. Nazywa się Taharka, pochodzi z Keshanu. Ma skórę ciemną jak dziegieć, ale nie jest Kuszytą. Nosi się jak wielki wódz i gada jak król, ale to pospolity rzezimieszek.

— Powiedział, dokąd zmierzają?

— Mówili coś o Ophirze. Trwa tam wojna, dlatego jest to dobre miejsce na zebranie nowej kompanii i szukanie łupów. Na pobożowiskach zawsze można się nieźle obłowić.

— Dobrze — powiedział Conan. Wstał, podnosząc zawiniątko z mięsem i bukłak. — Nie będziesz tego potrzebował.

— Zetniesz mi głowę? — zapytał bandyta.

— Nie. Zostawię cię, żebyś zdechł tak, jak na to zasługujesz.

— A co z zemstą? Zabij mnie.

— Nie mszczę się za siebie, ale za rodzinę, którą wymordowaliście. Jej członek zadał ci już śmiertelną ranę, to mi wystarczy. Ciesz się, że nie musiałem cię torturować. Rozmyślaj o swoich winach i czekaj na sępy.

Odchodząc Conan słyszał jeszcze słabe przekleństwa bandyty. Nastrój znacznie mu się poprawił dzięki zdobyciu zapasów. Prowiant był skromny, lecz wystarczający dla jego potrzeb.

Taharka także był w dobrym nastroju. Kraina, w której się znajdował, była zielona i spokojna, powietrze świeże, a koń wyborny. Taki nastrój i otoczenie sprawiało, że człowiek zaczynał rozmyślać o dobrych rzeczach: o łupach, pięknych kobietach, musującym winie i leżącej się krwi. Zdawał sobie sprawę, że jadący za nim ludzie byli przygnębieni i ponurzy. To, iż nieszczęścia innych pozbawiły ich zadowolenia z życia, dowodziło jedynie, że są istotami niższego rodzaju.

Aquilończyk Aksandrias popędził wierzchowca, aż zrównał się ze swoim przywódcą. Taharka uśmiechnął się do niego łaskawie. Jarmarczny oszust był

jedynym cenionym przez niego kompanem. Wyczuwał w Aksandriasie

pokrewną duszę — człowieka tak samo jak on pozbawionego sumienia i skrupułów. W odróżnieniu od posępnych Gunderlandczyków i bojaźliwych Bossończyków, Aksandrias nie zawracał sobie głowy takimi niweczącymi radość życia drobiazgami jak lojalność czy honor.

— Nasi towarzysze są nieszczęśliwi, wodzu — zaczął Aksandrias. —

Uważają, że to niegodne opuszczać pogórze z pustymi rękami.

Łączę się z nimi w smutku wywołanym przez puste kiesy — odrzekł z powagą śniady mężczyzna. — Jednakże takiemu smutkowi łatwo zaradzić. Nie zamierzamy przecież trudzić się przez całe życie, by zarobić na swoje utrzymanie. Niech inni pracują, a my przy odrobinie szczęścia w jednej chwili odbierzemy im cały dorobek. Na tym polega urok żywota wyrzutka,

Aksandriasi.

— Jest dokładnie tak jak rzeczesz, panie. — Aquilończyk przegarnął

upierścienioną dłońią falujące, płowe włosy, lśniące od wonnego mazidła. Tors nad szerokim pasem przykrywała mu jedynie zielona, jedwabna kamizela bez rękawów, korzystnie podkreślająca mięśnie ramion i barków. Aksandrias był

wspaniałym okazem męskości i zależało mu, by każdy, kto go widział, mógł to w pełni docenić.

— Jednakże są to prostacy, a nie ludzie kulturalni i wykształceni jak ty czy ja, panie — kontynuował Aquilończyk. — Myślą, że naszą wyprawę

prześladują jakieś wrogie duchy. Są przesądni; uważają, że nęka nas niepomyślny los.

Taharka uśmiechnął się pod osłoną dodającej mu uroku brody. Bawiła go poufałość jego rozmówcy.

— Właśnie w tym widać wadliwe rozumowanie prymitywnych umysłów.

Winą za śmierć towarzyszy obarczają niesprzyjający los, a powinni doceniać to, że mają szczęście, iż przeżyli.

— Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, panie — powiedział Aksandrias. —

Ci biedacy za sprawą zaściankowego i przestarzałego sposobu myślenia popadli w przygnębienie z powodu zmniejszenia naszych szeregów. Kiedy było nas trzydziestu, musieliśmy się obawiać jedynie wojsk króla i pogranicznych magnatów. Teraz zostało nas tylko sześciu i jesteśmy o wiele słabsi...

— wciąż się uśmiechał dając do zrozumienia, że uważa podobne dywagacje za strzępienie języka. Jego spodnie z czerwonego atłasu błyszcząły elegancko w świetle słońca, a na rękojeściach przypasanych do boku aquilońskiego miecza i sztyletu iskrzyły się klejnoty. Każdy rys twarzy, każdy gest świadczył, iż marzy mu się stanowisko zastępcy herszta.

— Ach, nasi ludzie mieli pełne prawo nabrać uprzedzeń — rzekł Taharka. —

Sam wiesz, że straciliśmy wielu kompanów, ale to przecież drobiazg. Na całym świecie nic nie jest łatwiej zastąpić niż ludzi. Każdy wyobraża sobie, że jest wyjątkowy i niezastąpiony, ale to czysta ułuda. Gdyby kiedykolwiek przyszło ci zostać wodzem, mój przyjacielu, musisz pamiętać, że ludzie — niewolnicy czy wolni, dziesiątki czy tysiące — są niczym. Z ich śmiercią łatwo się pogodzić, jeśli

jest ona przydatna dla twoich celów, lecz jeśli oni żyją, a tobie to nie na rękę, jest to sytuacja istotnie nie do zniesienia.

— Mądre słowa, panie — powiedział Aquilończyk.

— Rozejrzyjmy się, może zdołamy przywłaszczyć tu sobie jakiś zbędny majątek. Ta kraina cieszy się opinią bogatej.

— I dobrze strzeżonej, panie — odrzekł Aksandrias. — Jako tubylec, mogę to stwierdzić z całą pewnością. Wydrapałem swoje imię na ścianach paru najwykwintniejszych lochów w tym kraju.

— Zapewne, ale byłeś wtedy młody i głupi albo, co gorsza, brakowało ci odpowiedniego wodza. Na wszystko to znalazło się lekarstwo — Taharka nagle spoważniał. — Jesteś zupełnie pewny, że umknęliśmy ziomkom tych

dzikusów? — Pochylił się w siodle, zerwał dziki kwiat i wciągnął w nozdrza jego aromat. Aż przymrużył oczy z zadowolenia.

— Z pewnością. Cymmerianie porzucają pościg, gdy ich wrogowie przekraczają granicę. Zawsze tak było.

— W takim razie możemy trochę odpocząć — powiedział Taharka. — Mimo wszystko nie po to podjąłem się zbójckiego rzemiosła, żeby wypruć z siebie żyły.

— Pograniczna prowincja, w której się znajdujemy, jest zamieszkała przez Aquilończyków, Gunderlandczyków i Bossończyków — stwierdził Aksandrias.

— Gdybyśmy zostali schwytani, bez wątpienia część z nas by zawisła.

Obawiam się, że nie jesteśmy mile widziani nawet wśród naszych własnych nacji. Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby przejechać przez te strony jak najszybciej do Nemedii, gdzie będziemy mogli wypocząć, a później w spokoju podążyć do Ophiru.

— Bzdura. W mojej kompanii nie ma miejsca dla ludzi, którzy nie potrafią przechytryć pogranicznych kmiotków, pokonać ich, bądź w ostateczności uciec przed nimi. Toleruję u moich podwładnych wiele złych cech, a nawet do nich zachęcam, ale nie tchórzostwo. Musimy stawić czoło każdej przeciwności, jaka stanie na drodze.

Aksandrias uśmiechnął się i pokiwał głową, myśląc w duchu, że łatwo jest wypowiadać takie banały komuś, kogo w tych okolicach nie poszukiwali ludzie króla. Mimo to Taharka był rzeczywiście dobrym przywódcą. Aksandrias nie zapomniał, jak rozprawił się z nieposłusznym Argosańczykiem.

Taharka obrócił się w siodle.

— Murtan i Ballan, ruszcie naprzód i rozejrzyjcie się. Wracajcie natychmiast, jeśli traficie na jakiś łatwy łup. Wypatrujcie niewielkich grupek objuczonych wędrowców. Pamiętajcie, że nie będziemy

napaść na nikogo w pobliżu miast.

Na razie... — odchylił się z zadowoleniem w siodle — jesteśmy uczciwymi handlarzami końmi.

Gdy dwóch Bossończyków odłączyło się, Taharka znów zwrócił się do Aksandriasa: — Widzisz, kiedy ludzie nie mają humoru, najlepiej jest dać im jakieś zajęcie. W przeciwnym razie przychodzą im do głów buntownicze myśli.

Niewielka kradzież i parę podejrziętych gardeł od razu Poprawi im nastrój.

Gdy tylko dotrzemy do jakiegoś targowiska, sprzedamy konie... — wskazał na wierzchowce bez jeźdźców, którymi zajmowali się dwaj Gunderlandczycy — ...i zabawimy się nieco.

— Nie mogę się tego doczekać, panie — odrzekł Aquilończyk.

Szóstego dnia Conan trafił na ślady kolejnego rozboju. Na drodze, którą podążał, widać było jedynie ślady licznych końskich kopyt, lecz powonienie powiedziało mu, że śmierć zagościła w tej okolicy.

Przyjrząwszy się śladom, natrafił na zaschnięte plamki poczerwiałej krwi, i po bezładnych odciskach końskich kopyt zorientował się, że panowało tu duże zamieszanie. W paru miejscach obuta stopa zasypała ziemią większe plamy krwi, jednak przesączyła się ona na wierzch i zaczęły zbierać się nad nią muchy.

Natrętna woń i brzęczenie stada owadów doprowadziły Conana do rosnącej przy drodze kępy gęstych krzaków. Jak podejrzewał, leżały tam zwleczone z traktu ciała ofiar.

Zabito cztery osoby, trzech mężczyzn i kobietę. Ich ubrania były zbyt zakrwawione, by mogły być przedmiotem kradzieży, pozwalały jednak stwierdzić, że był to kupiec z żoną i dwoma służącymi. Ciała obrabowano ze wszystkich klejnotów i kosztowności. Conan spiesznie oddalił się od miejsca zbrodni. Marne byłyby jego widoki, gdyby go znaleziono przy zwłokach. Ludzie króla w takich sytuacjach często zadowalali się życiem pierwszego napotkanego przechodnia. Poza tym w pobliżu ciał mogły się czaić ich duchy, czekające na sposobność wywarcia zemsty na przypadkowym wędrowcu.

Conan doszedł do wniosku, że łatwo będzie mu trzymać się tropu

przestępców, jeśli będą oni dopuszczać się zbrodni przy każdej sprzyjającej okazji. Sam z natury nie był w stanie podporządkować się żadnemu prawu, jednak taka rzeź nie mieściła mu się w głowie. Zabicie tych bandytów zaczął

uważać za najszlachetniejszy z możliwych czynów.

Uznał jednak, że jeśli nie chce zgubić ściganych, musi zdobyć wierzchowca.

Gdyby nie to, że bandyci posuwali się powoli, ufni w swoją liczebność i pewni, że nie grozi im pościg, już dawno straciłby ich ślad. Gdyby coś ich spłoszyło, nie byłby w stanie dotrzymać im kroku.

Tego wieczoru dotarł do jakiegoś miasta. Zbudowano je w miejscu, gdzie łączyły się dwa okazałe strumienie. Niskie kamienne mury otaczały trójkątną zbieraninę domów i budynków publicznych. Brama miejska znajdowała się w środku podstawy trójkąta. Przed nią odgrodzono łąkę, stanowiącą wspólne pastwisko.

Z zasłyszanych wiadomości o miastach Conan wiedział, że na wspólnej łące wypasa się bydło oraz wierzchowce gości i wędrownych kupców. Chociaż miał

wielką ochotę sprawdzić, czy na pastwisku są poszukiwane przez niego konie, zignorował je i podszedł do bramy.

Strzegący wjazdu do miasta wartownik oparł się na włócznie i popatrzył

pogardliwie na Conana.

— Jak się nazywasz, Cymmerianinie? I czego tu szukasz?

Conan zjeżył się. W pierwszej chwili miał ochotę dobyć miecz i rozrąbać czaszkę tego bezczelnego psa, jednak nic by na tym nie zyskał. Mówiono mu, że mieszczenie nie mają prawdziwego poczucia honoru. Co gorsza, bandyci mogliby odjechać, zanim on zdołałby uciec z miejscowych lochów.

— Nazywam się Conan. Szukam pewnych ludzi, którzy mogli tędy

przejeżdżać. Widziałeś może ciemnoskórego Południowca w towarzystwie Aquilończyka, dwóch Bossończyków i dwóch Gunderlandczyków? Myślę, że chcieli tu sprzedać kilka koni.

Oczy wartownika zwężyły się.

— Dlaczego o nich pytasz?

Ta reakcja wydała się Conanowi dziwna. Zdecydował się nie wspominać o morderstwach na trakcie.

— Mam do nich interes. Nie musisz wiedzieć, jaki.

— Nic o nich nie wiem — powiedział wartownik i odsunął się na bok. —

Możesz wejść do miasta, ale nie wdawaj się w żadne awantury. Dam ci radę: nie pytaj nikogo o tych ludzi. Nie masz co zawracać sobie nimi głowy.

Zaintrygowany, Conan wszedł do miasta przez łukowato sklepioną bramę.

Bez wątpienia strażnik wiedział więcej niż chciał powiedzieć. Młody Cymmerianin odnosił się z podejrzliwością do pokrętnych zwyczajów cywilizowanych ludzi. Być może powinien wrócić po zapadnięciu mroku i wydusić z wartownika tajemnicę. Pomyślał, że jednak przede wszystkim musi odświeżyć się i wypocząć. Przez wiele dni nieustannie tropił przestępców. Był

spragniony, wygłodzony i znużony do szpiku kości. Pogrzebał w worku z zapasami i na jego dnie

znalazł kilka srebrnych monet, zapomnianych przez bandytę, który zlitował się nad umierającym kompanem. Conan zamierzał je dobrze wykorzystać.

Po kilku pytaniach dowiedział się, że jedyny zajazd w miasteczku mieści się niedaleko bramy. Okazało się, że jest to niska, rozłożysta budowla z drewna i kamienia, upstrzona tu i ówdzie miniaturowymi okienkami. Z boku budynku z komina unosił się dym. Conan pochylił się w niskich drzwiach i wszedł do środka. Natychmiast odsunął się od wejścia, by jego sylwetka nie rysowała się w słońcu. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, stwierdził, że znalazł

się w ponurej izbie z rozstawionymi na środku dwoma długimi stołami. W

końcu izby znajdowało się palenisko, nad którym na długich żelaznych rożnach pieczono mięso. Obok zasłoniętych tkaniną drzwi przykucnęła w kącie jakaś skulona, okutana w koc postać.

Do Conana podszedł gospodarz zajazdu, wycierając ręce w opinający okazałe brzuszysko fartuch. Podejrzliwie spod oka spojrzął na półnagiego Cymmerianina.

— Czym mogę służyć?

— Jedzeniem i miejscem do spania — odpowiedział Conan. — Nie bój się, mam pieniądze.

Oberżysta wskazał obracające się rożna.

— Właśnie zaczęliśmy przygotowywać mięso. Nie dostaliśmy jeszcze chleba od piekarza. Jeśli chcesz, siadaj i czekaj. Przyniosę wina, to zawsze mamy gotowe.

Chociaż bardzo spragniony, Conan zdawał sobie sprawę, że nie powinien żłopać wina na pusty żołądek.

— Pokaż mi, gdzie mogę się przespać kilka godzin. Zjem, kiedy wstanę.

Szukam kogoś i nie mam czasu do stracenia.

— Tak twierdzisz? Idź za mną, pokażę ci nasze wygodny. Oberżysta

poprowadził Conana do zasłoniętych drzwi.

Gdy młodzieniec miał przez nie przejść, okutana w koc postać podniosła głowę. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że to kobieta, a właściwie dziewczyna mniej więcej w jego wieku. Miała silne, regularne rysy. Gdyby nie zakrywająca lewe oko czarna skórzana przepaska, byłaby nawet ładna. Conan zatrzymał

się na chwilę, zaskoczony jej spojrzeniem, świadczącym, że nie była w pełni przy zdrowych zmysłach. Wreszcie oberżysta i Conan dotarli do wysłanej słomą izby, poprzedzielanej zasłonami na małe nisze do spania. Conan złożył

swoje skromne zapasy, zaś oberżysta zapalił świecę.

— Odpowiada mi — ocenił Cymmerianin. — Co to za dziewczka siedziała przy drzwiach? Nie można powiedzieć, żeby popatrzyła na mnie przyjaźnie.

— To tylko wariatka Kalia. Nie zwracaj na nią uwagi. Jest sławna w tych stronach, a złe mniemanie ma o wszystkich mężczyznach.

— Od razu widać, że ma sokole oko — skomentował Conan. — Z czego jest sławna?

— Z tego, że bywa niebezpieczna. Nie zadawaj się z nią, jeśli możesz znaleźć łaskawsze dziewczki. Kalia tuła się po pograniczu, szukając kogoś, na kim, jak twierdzi, musi się zemścić. Co do mnie, myślę, że ten ktoś istnieje tylko w tej pokręconym umyśle. Królewscy ludzie nie tykają jej, ponieważ jest szalona, a na dodatek pochodzi ponoć ze szlacheckiego rodu. Od czasu do czasu zjawia się w tym mieście. Zawsze ma przy sobie trochę grosza, żeby zapłacić za siebie, ale nikt się jeszcze nie dowiedział, skąd go bierze. Przybyła wczoraj późną nocą i od tego czasu siedzi tak, jak ją zastałeś. Nawet tak śpi, z plecami opartymi o ścianę — tłuścioch zachichotał i pokręcił głową. — Aż szkoda pomyśleć, co się zrobiło z takiej hożej dziewczki.

— Obudź mnie, kiedy wieczerza będzie gotowa — powiedział Conan,

wyciągając się na słomie, Nie miał czasu na zamartwianie się wariatkami.

Położył dłoń na głowicy miecza i zapadł w sen.

Obudził się, podskakując i wyciągając do połowy miecz z pochwy, gdy ktoś wszedł do maleńkiego pokoiku, Schował broń z powrotem, gdy zorientował się, że to tylko wychudzony chłopiec, którego oczy rozszerzyły się ze strachu na widok reakcji barbarzyńcy.

— Podajemy kolację, panie — wyjąkał chłopiec. — Prosiłeś, żeby cię obudzić.

Uśmiechnąwszy się z ulgą, Conan podziękował chłopcu i przypiął pas z bronią. Przy wejściu do ogólnej izby znalazł miednicę. Ochlapał sobie twarz i ręce, po czym wytarł je wiszącą obok brudną szmatą. Odsunął zasłonę.

W izbie znajdowało się teraz około dwudziestu osób. Większość z nich wyglądała na wędrowców. Wariatka wciąż siedziała w kącie. Wyglądało na to, że nie ruszyła się z miejsca. Teraz bezustannie omiatała izbę gorączkowym spojrzeniem.

Conan usiadł w końcu jednego ze stołów i nałożył sobie jedzenia z półmisek rozstawionych na jego środku. Nie miał pojęcia, kiedy czeka go kolejny posiłek, więc postanowił zafundować sobie solidne obżarstwo.

Chłopiec nalał mu kubek młodego czerwonego wina, a Cymmerianin wbił zęby w wołowe żeberka.

Zjadł prawie połowę, kiedy usiadł przed nim człowiek w wytłuszczonym skórzanym kaftanie. Przybysz wziął z rąk posługacza kubek z winem i pociągnął głęboki łyk, nim spojrzał na Conana. Uśmiechnął się, ukazując rzędy żółtawych zębów. Na byle jak przystrzyżonym wąsie zaśniły kropelki wina.

— Słyszałem, przybyszu, że rozpytywałeś o pewnych ludzi, którzy być może przybyli tu z końmi na sprzedaż. Nazywam się Rario, jestem z zawodu handlarzem koni. Być może mógłbym ci jakoś pomóc.

— Ci, których szukam, to bandyci — powiedział Conan. — Południowiec imieniem Taharka, Aquiloński oszust o nazwisku Aksandrias, dwóch Gun...

Handlarz końmi uniósł dłoń, uciszając go.

— Proszę, nie podnoś głosu, na Mitrę. O takich rzeczach najlepiej nie dyskutować w przytomności publiki.

— Męczą mnie tajemnice — mruknął Conan. — I nie wiadomo mi, by ci ludzie znajdowali się pod opieką jakiegokolwiek boga. Mam do nich swoją sprawę.

— Rad bym ci pomóc, wierz mi — stwierdził Rario. — Myślę jednak, że powinniśmy najpierw opuścić to miejsce. Trzymam swoje konie na padoku za miejskimi murami. Może powinniśmy się tam spotkać.

— Zgoda — odpowiedział Conan. — Jeżeli w taki sposób mogę uzyskać od ciebie odpowiedzi na parę pytań.

— Wspaniale. Tymczasem dokończ kolację, napij się wina i o nic się nie kłopotz. Spotkamy się przy zagrodzie.

Powiedz strażnikowi, że idziesz na spotkanie ze mną, a przepuści cię bez kłopotu. Do zobaczenia, Cymmerianinie — mężczyzna uklonił się niedbale i wyszedł.

Conan ogołocił z mięsa ostatnie żeberko i rozglądał się za półmiskami, na których byłoby coś pożywniejszego, gdy zauważył postać w płaszczu, która przystanęła koło jego stołu. Gdy podniósł wzrok, stwierdził, że to wariatka.

Miała na sobie spadającą gładko do kostek obszerną opończę z grubo tkanego, brązowego koca, z wycięciem na głowę w środku. Pod tym okryciem nie sposób było ocenić jej kształty.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedziała bez żadnych wstępów. Jej

towarzystwo było ostatnią rzeczą, na której zależało Conanowi, ale mimo to wskazał dziewczynie wolne miejsce obok siebie i dał znak podkuchennemu, żeby przyniósł jeszcze jeden kubek.

— Jestem Kalia — powiedziała dziewczyna. — Ludzie mówią o mnie

Wariatka Kalia. Pewnie już cię przede mną ostrzeżono.

Miała zaskakujący głos, gardłowy i chrapliwy, przypominający bardziej krucze krakanie niż ludzką mowę. Conan dostrzegł parę blizn po bokach szyi Kalii. W przeszłości najwyraźniej ktoś przebił sztyletem krtań dziewczyny.

Tłumaczyło to jej niesamowity głos. Conan stwierdził też, że gdy to się stało, Kalia musiała być jeszcze dzieckiem. Pociągnął jeszcze jeden łyk wina.

— Wiesz, jak się nazywam — powiedziała Kalia. — A ty? Sądząc po wyglądzie, jesteś Cymmerianinem.

— Nazywam się Conan.

Podkuchenny postawił kubek koło kobiety i napełnił go winem. Kalia wysunęła lewą rękę przez pionowe wycięcie w boku opończy. Dłoń zalśniła w mętym świetle paleniska i świec. Conan ze zdumieniem stwierdził, że Kalia miała na ręce dokładnie dopasowaną stalową rękawicę.

— Szukasz pewnych ludzi. Słyszałam, jak rozmawiałeś z tą podłą świnią, Rariem. Ja też szukam jednego mężczyzny. Możliwe, że towarzyszy tym, których chcesz znaleźć.

— To mnie nie obchodzi — rzekł Conan. — Bierz, jedz — wskazał napełnione po brzegi półmiski.

— Nie mam pieniędzy — powiedziała Kalia.

— Zapłacę. Właściwie to płacą ci, których szukam, chociaż sami o tym nie wiedzą.

Prawdę mówiąc, Conan nie kierował się w tej chwili bezinteresownymi pobudkami. Dziewczyna błyskawicznie opróżniła swój kubek. Podkuchenny pośpieszył, by go ponownie napełnić. Nie dość, że przyszło mu dzielić stół z wariatką, to ta jeszcze na dodatek okazała się pijaczką, pomyślał ponuro Conan. Z ulgą ujrzał, że dziewczyna łapczywie zabrała się do jedzenia.

Przez jakiś czas obydwójce jedli w milczeniu. Conan był zadowolony, że Kalia nie przejawia ochoty do rozmowy. Nie przyszło mu do głowy, jak niezwykle widok oboje stanowili. Barbarzyński młodzik i wariatka musieli stanowić parę wymuszającą potulniejsze zachowanie nawet na mocno pijących gościach oberży.

W końcu Kalia odchyliła się, westchnęła z zadowoleniem i otarła usta rąbkiem opończy. Zrobiła to lewą ręką. Conan jeszcze nie widział, by użyła prawej.

— Nie powiedziałaś, dlaczego szukasz tych ludzi, Cymmerianinie.

— Zgadza się — odrzekł Conan. Granie na zwłokę nie leżało w jego naturze, jednak niepokojące zachowanie napotkanych w miasteczku ludzi sprawiło, że czuł niechęć do rozmawiania z kimkolwiek.

— Kiedy rozmawiałeś z Rariem, wspomniałeś pewne imię — powiedziała Kalia. — Aksandrias. Właśnie jego szukam. — Sposób, w jaki trzymała głowę oraz ponury wyraz zdrowego oka sprawiły, że włosy na karku Conana stanęły dęba. W tym momencie dziewczyna istotnie wyglądała jak ktoś bez reszty pozbawiony rozumu.

— Dziewczyno, nie wiem nic o tym człowieku z wyjątkiem jego imienia i pochodzenia. Może być i tysiąc Aquilończyków, nazywających się Aksandrias.

— To on! — wysyczała Kalia. — Ten, którego szukasz, to oszust, kanciarz i udaje czarownika?

— Tak słyszałem — powiedział z niechęcią Conan. — Nie widziałem go na oczy. Kiedy się spotkamy, nasza rozmowa będzie krótka. Poza tym podróżuje z sześcioma innymi.

Dziewczyna walnęła dłonią w rękawicy o stół, sprawiając, że wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę.

— Wiedziałam! Mitra wreszcie odpowiedział na moje modlitwy. Niedługo dostanę go w swoje ręce!

Conan wzruszył ramionami.

— To nie moja sprawa. Muszę załatwić z tymi ludźmi pewne porachunki i nie chcę tracić tu czasu. Muszę iść.

Wstał. Dziewczyna podniosła się razem z nim.

— Chcesz się spotkać z Rariem. Pójdę z tobą. Ja też chcę z nim porozmawiać.

— Pilnuj swoich spraw, kobieto! — syknął Conan.

— Właśnie to robię — odrzekła. — Zapłać oberżyscie i chodźmy.

Zzymając się, Conan zapłacił. Obydwoje wyszli na oświetloną pochodniami ulicę. Młodzieniec zauważył — chociaż tego nie skomentował — że Kalia nie chodzi zalotnie kołysząc biodrami, jak to spostrzegł u większości mieszkanek miasta, lecz sprężyście, niczym wojownik. Głową ledwie sięgała mu do ramienia, lecz już rozumiał, dlaczego mężczyźni woleli omijać ją z daleka.

— Chcesz się zemścić na tych ludziach, prawda, Cymmerianinie? — spytała niespodziewanie.

— Co cię to obchodzi? — odpowiedział pytaniem.

— Ponieważ moja zemsta ma pierwszeństwo!

— Cicho! — rzekł z naciskiem. — Dotarliśmy do bramy.

W milczeniu podeszli do wrót. W świetle pochodni Conan dostrzegł, że wartę pełni wciąż ten sam mężczyzna, który wpuścił go wcześniej do miasta.

— Aa, barbarzyńca — powiedział strażnik. — Idziesz na spotkanie z Rariem?

To znaczy... A kto to taki? — przymrużył oczy. — Wariatka Kalia! Czego... —

Słowa uwięzły mu w gardle, kiedy Conan zacisnął dłoń na jego piersi, podniósł nad ziemię i walnął nim o strop bramy.

— Zawsze masz tak długą wartę? — zapytał Cymmerianin.

— Ale... — wydusił z siebie mężczyzna. — Co... czego...?! — oczy wyszły mu na wierzch, brakowało mu tchu. W końcu wychrypiał zdesperowany: — Puść!

Rano powiedział mi, żebym został na warcie tej nocy. Dał pieniądze mnie i mojemu zmiennikowi, żebym mógł zostać na drugiej warcie — na zsiniałej twarzy mężczyzny widniało przerażenie. Dźwigający go barbarzyńca stał

niewzruszenie jak skała, a wariatka za jego ramieniem sprawiała wrażenie wampirzycy spragnionej krwi.

— Puść go, Conanie — powiedziała Kalia. — Tego psa każdy może kupić za parę groszy. Rario wie to, czego chcemy się dowiedzieć. Chodźmy go poszukać.

Z prychnięciem odrazy Conan pozwolił nieszczęśnikowi runąć na chodnik.

— Siedź tu i ani pary z gęby — ostrzegł go.

Za ich plecami, gdy przeszli przez bramę, nic nie zakłóciło ciszy. Na zalanym światłem księżycy pastwisku panował spokój. Opodal płonęło wielkie ognisko, przy którym siedziało dwóch pełniących tej nocy straż parobków. Kalia i Conan ruszyli w ich stronę. Parobkowie przyglądali się im uważnie.

— Chyba czas, żebyście sprawdzili, czy ogrodzenie jest całe — powiedziała grobowym tonem Kalia. Młodzieńcy natychmiast zerwali się na równe nogi.

— Aksandrias jest mój! — powiedziała do Conana. — Zajmij się innymi, ale Aquilończyka masz nie ruszać, rozumiesz?

— Dziewczyno! — powiedział rozdrażniony Conan. — Każdy widzi, że źle cię potraktowano. Nie wątpię, że zemsta słusznie ci się należy, ale przysięgłem wytropić tych ludzi i zabić ich. Nie pozwolę, żeby przeszkadzała mi w tym dziewczka niespełna rozumu.

— Dziewka?! — oczy Kalii zapłonęły piekielną furią. — Poświęciłam życie, by zabić tego człowieka! Myślisz, że pozwolę, by jakiś niedomyty, nieokrzesany dzikus stanął mi na drodze? Ta „dziewka” da ci zaraz lekcję ogłady i szermierki, barbarzyńco! — Szybkim ruchem ściągnęła opończę przez głowę.

Nim okrycie zdążyło spaść na ziemię, w dłoni Kalii pojawiła się szabla.

Przez chwilę Conan stał jak sparaliżowany. Wytrąciło go z równowagi jej nagłe przejście od prawie przyjaźni do wrogości. Również jej strój był

najdziwaczniejszy, jaki Cymmerianin widział w życiu.

Kobieta miała pod opończę bardzo niewiele; większość z tego stanowiła zbroja. Prawą rękę od barku do nadgarstka pokrywała wyszukana kolczuga z ogniw i metalowych płytek. Na obydwu

podudziach miała lekkie nagolenniki, a prawe udo dodatkowo chroniła kryza z nabijanej ćwiekami skóry. Prawą pierś okrywała delikatna stalowa plecionka, lewa była odkryta. Lewa dłoń skryta była w stalowej rękawicy z przegubami, którą Conan dostrzegł wcześniej, a która sięgała do łokcia. Prócz zbroi Kalia miała na sobie jedynie przepaskę biodrową, oraz wykonany z cienkiej metalowej plecionki pas z bronią.

— Ostrożnie, dziewczyno! — powiedział Conan. — Nigdy jeszcze nie

wyciągnąłem broni przeciwko kobiecie, ale zaczynasz nadweręzać moją cierpliwość.

Mimo skrupułów, jego dłoń leżała na rękojeści miecza. Ta istota bardziej przypominała dziką bestię niż zwyczajną kobietę.

Jej szabla była wąska, lekko zakrzywiona, miała gardę w postaci koszyczka całkowicie obejmującego dłoń. Było oczywiste, że dziewczyna uczyła się szermierki w jakiejś osobliwej szkole, gdzie nauczono ją prowadzić atak prawą ręką i nogą. Conan pojął to w chwili, gdy opończa Kalii dotknęła ziemi.

Gdy Kalia przybrała postawę do ataku, wystawiając do przodu ramię z szablą w niskiej wysuniętej gardzie, Conan wyrzucił stopę w bok. Nim Kalia zdążyła się cofnąć, barbarzyńca kopnął ją w prawą kostkę. Runęła, osłabiając upadek uderzeniem lewej ręki. Padając zwróciła ostrze w górę i zadała pionowe cięcie, które wykastrowałoby każdego mężczyznę niższego niż Conan. Mimo to szabla przemknęła tak blisko, że na samą myśl Cymmerianinowi wystąpił pot na czoło.

— Na Croma! — wykrzyknął odskakując. — Co to ma znaczyć! Jeszcze nie pokłóciliśmy się na tyle, by się zabijać, dziewczyno!

Kalia podniosła się z trudem.

— Przestań nazywać mnie dziewczyną, parszywy dzikusie! Wyciągaj miecz, jeśli nie chcesz, bym do grzechów na moim sumieniu dodała jeszcze morderstwo!

Conan zaczął zataczać łuk tak, by światło padało jej w oczy. Kalia też ruszyła z miejsca, tak manewrując, by gorejące ognisko jednak nie znalazło się w jej polu widzenia. Zataczała wokół Cymmerianina koła skulona w półprzy —

siadzie. Trzymając dłoń w rękawicy tuż pod podbródkiem, chroniła odsłonięte części ciała. Była to najdziwniejsza tarcza, jaką Conan widział, lecz zdawała się ona skutecznie osłaniać wrażliwe na cios miejsca, waząc zarazem niezbyt wiele.

— Wyciągaj miecz! — krzyknęła z wściekłością.

— Tak, wyciągaj — rozległ się jakiś głos. Obydwoje obrócili się od ogniska, wpatrując w półmrok, w którym widać było kilka mętnych postaci. Miecz Conana z sykiem wysunął się z pochwy. Młodzieniec wyszczerzył lśniące zęby.

W końcu trafił na kogoś, kogo mógł zarąbać bez wyrzutów sumienia.

Jeden z nowo przybyłych wysunął się do przodu. Conan nie zdziwił się widząc, że to Rario.

— Sprowadzasz ze sobą kłopoty, Cymmerianinie. Człowiek powinien uważać, o co wypytuje na pograniczu.

— Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie jest Taharka i jego ludzie — odrzekł

Conan. — Parę prostych słów, a ruszam w drogę i nie widzicie mnie więcej.

Jednak chyba trudno tutaj o proste słowa.

— Jesteś naiwny, chłopcze — powiedział handlarz końmi. — Masz nie więcej rozumu niż ta szalona dziewczyna. Powinieneś być udawać, że jesteś jakimś wędrownym przekupniem i przy okazji wtrącić parę dyskretnych pytań, a wtedy może otrzymałbyś to, co chcesz.

— Przestań mówić zagadkami! — powiedział Conan. — Powiedziałem

otwarcie, o co mi chodzi. Zrób to samo!

Rario potrząsnął głową i zacmokał, słysząc tak niezręczną wypowiedź.

— Chłopcze, czy nie przyszło ci do głowy, że mężczyźni, których szukasz, to bandyci, a ludzie, którzy ich znają, mogą podzielać ich niechęć do przedstawicieli prawa? Widzisz, chłopcze, kiedy ze wzgórz przybywa jakiś wyrzutek, nie szuka uczciwego handlarza cieszącego się poważaniem władz, lecz poszukuje kogoś z głową, kto kupuje towary po niskiej cenie, ale nie zadaje kłopotliwych pytań. Mówiąc krótko, przychodzi do kogoś takiego jak wasz pokorny sługa — Rario uśmiechnął się szyderczo. Blask ogniska załśnił

na złotych pierścieniach w jego uszach. — Rzeczywiście, parę dni temu zjawił

się u mnie niejaki Taharka. Miał do sprzedania parę dobrych koni, które kupiłem po przystępnej cenie.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu, człowieku? — spytał Conan, nie odrywając wzroku od postaci, które zataczały wokół ogniska złowieszczy łuk. — O nic więcej mi nie chodziło: dowiedzieć się czy tu byli i dokąd odjechali.

— Dla kogoś takiego jak ja to kłopotliwe pytania — w dłoni Raria załśniła stal. — Widzisz, konie to towar, którego łatwo się pozbyć. Gdy jednak ktoś zaczyna zadawać niedelikatne pytania co do ich pochodzenia, na przykład: kto jest ich prawowitym właścicielem i czy przypadkiem nie spotkała go niewczesna śmierć, wtedy... — wzruszył ramionami — ...wtedy mogłyby

wtrącić się władze. Zadawano by pytania, ciągnano po sądach i w ogóle bez pardonu wtykano by nos w nie swoje sprawy.

Conan był zdezorientowany.

— I to wszystko dlatego, że kupiłeś kradzione konie?

— Uważaj, dzikusie! — warknął Rario, — Dyskrecja to podstawa mojej profesji. Denerwuje mnie twoja beczelność. Myślę, że czas cię za nią ukarać.

Chłopcy!

Handlarz dał znak i z ciemności wysunęło się trzech mężczyzn. Byli krzepkiej budowy, mieli na sobie wyprawione skóry i lekkie kolczugi. Dwóch z nich zaatakowało Conana. Było oczywiste, że mieli dobrą praktykę w swoim rzemiośle. Zaszli Cymmerianina z dwóch stron. Jeden ciął w kierunku głowy młodzieńca, a drugi zamachnął się ku jego nogom. Zamiast wdać się w walkę tylko z jednym napastnikiem i wystawić na ciosy drugiego, Conan zajął się obydwoma naraz.

Miecz drugiego napastnika przeciął puste powietrze, gdy młodzieniec podskoczył w górę, unosząc kolana prawie do poziomu gardła i równocześnie wykonując zastawę przed mieczem celującym w jego głowę. Nie sparował ciosu miecza, lecz odciął napastnikowi nadgarstek. Miecz z wciąż dzierzącą go dłonią odleciał w bok, drasnąwszy po drodze bark Conana. Cymmerianin obrócił się ku drugiemu z prześladowców. Mężczyzna jeszcze hamował pęd broni po daremnym cięciu, gdy ostrze Conana spadło, rozcinając mu kolczugę, żebra i pogrążając się głęboko w trzewiach. Conan wyrwał miecz i jeszcze raz się obrócił. Krew trysnęła wielkim łukiem, gdy ściał głowę przeciwnika tępo wpatrującego się w kikut nadgarstka.

Cała walka zajęła zaledwie chwilę. Conan spostrzegł, że Kalia toczy walkę z trzecim człowiekiem Raria. Tymczasem handlarz z ponurym wyrazem twarzy szykował się do zaatakowania Cymmerianina. Conan zdążył zauważyć, że dziewczyna zbija ciosy opancerzoną lewą dłonią, a szabli używa tylko do parowania cięć zadanych z bardzo dużą siłą.

Ostrze Raria skoczyło ku Conanowi. Chłopak zbił cios, prawie pogrążając przy tym koniec swego miecza w brzuchu handlarza koźmi, który jednak błyskawicznie odskoczył. Korzystając z chwilowej przewagi, Conan zasypał

Raria gradem szybkich, niezbyt mocnych uderzeń. Każde z nich ścigało gardę broniącego się mężczyzny coraz bardziej w prawo. Ostatni cios był zadany z całą siłą. Bez trudu minął zbyt szeroką zastawę Raria i rozszczępił jego czaszkę po zęby.

Cymmerianin wyrwał miecz i obrócił się na czas, by ujrzeć, jak Kalia kończy walkę ze swoim przeciwnikiem. Gdy mężczyzna wykonał pchnięcie w stronę jej obnażonego brzucha, ona odtrąciła mankietem rękawicy jego ostrze i odpowiedziała idealnie mierzonym cięciem w szyję. Ostrze szabli przesunęło się pod prawym uchem, pogrążając nie głębiej niż na dwa palce pod skórą. To wystarczyło. Mężczyzna zwałił się na kolana, klnąc rozpaczliwie, podczas gdy tryskająca struga krwi chlustała w ogień, tworząc obrzydliwie cuchnący opar.

— Lepiej będzie, jeśli stąd znikniemy, Cymmerianinie — powiedziała Kalia.

Otarła ostrze szabli i schowała ją do pochwy. Obojętnie przyjrzała się trzem zabitym przez Conana ludziom. — Brak ci elegancji, ale masz siłę i szybkość.

Kto cię uczył szermierki?

— Nikt. Cymmerianie rodzą się, wiedząc jak walczyć. Niektórzy są lepsi od innych. Dlaczego powiedziałaś „znikniemy”, kobieto? Ruszam dalej za bandytami, niepotrzebne mi towarzystwo. Idź, dokąd ci się podoba.

Kalia podniosła swoją opończę.

— Oboje szukamy tego samego człowieka. Nie sądzisz, że łatwiej nam będzie, jeśli połączymy siły?
— odwróciła się i przypatrzyła mu zdrowym okiem. Jego wyraz był teraz niemalże normalny. —
Barbarzyńco, może na swoich

wzgórzach jesteś wielkim wojownikiem, ale czeka nas długi pościg, a w wielkich miastach południa będziesz przypominać wypuszczone z klatki dzikie zwierzę. Zostaniesz ozdobą szubienicy na długo, nim znajdziesz Taharkę i jego ludzi. Ja zaś czuję się w tych rynsztokach jak w domu.

Duma Conana cierpiała, gdy słuchał jej kazania, uznał jednak, że Kalia ma rację. Tak jak cywilizowany człowiek potrzebuje przewodnika w dziczy, tak i jemu przydałby się ktoś kierujący jego krokami w cywilizowanych krainach.

Zamyślił się nad tym, wycierając z krwi ostrze miecza.

— Tak, masz rację — powiedział wreszcie, chowając oręż do pochwy. —

Będziemy trzymać się razem, przynajmniej tak długo, jak z tobą wytrzymam.

— Pewnie mnie pierwszej skończy się cierpliwość — zauważyła. — Chodź, zobaczmy, jakie szkapy trzymał ten łajdak. Lada chwila wartownik zdobędzie się na odwagę. Przyjdzie sprawdzić, co to była za burda. Do tego czasu musimy odjechać.

ROZDZIAŁ 3

Jechali na południe wschodnim obrzeżem Aquilonii, unikając dużych miast, w których zwykle stacjonowały garnizony i pełno było królewskich szpiegów i wścibskich oczu. Taharka był bardzo zadowolony z tempa, w jakim się posuwali. Jego pięciu kompanów otrząsnęło się z przygnębienia wywołanego niepowodzeniem wyprawy do Cymmerii. Udało się im skaptować paru nowych łotrzyków. Kraina była zamożna, a kupcy bogaci, często podróżujący bez ochrony. Banda zaś dbała, by nie zostawić po sobie żadnego żywego świadka.

Wszyscy odziani byli w nowe, lśniące zbroje. Ich konie miały rzędy z farbowanej, szemickiej skóry i barwnego jedwabiu. Taharka wiedział, że nic tak nie cieszy serca mężczyzny, jak wypchana sakiewka, dobry koń i okazały strój.

— Panie — zawołał jeden z Gunderlandczyków. — Jesteśmy zmęczeni

noclegami pod gołym niebem. Pozwól nam zatrzymać się w następnym mieście i przepuścić trochę pieniędzy.

Taharka zastanowił się nad tą prośbą. Wiedza, kiedy należy popuścić cugli, stanowiła podstawę sztuki dowodzenia. Odsadzili się o wiele mil od miejsca ostatniego rozboju, a jak na razie nie było ani śladu pościgu.

— Podoba mi się ten pomysł — powiedział serdecznie. — Aksandriasio, czy możemy w niedługim czasie dotrzeć do jakiegoś przyzwoitego miasta?

Aquilończyk zrównał się z przywódcą.

— Jeżeli skręcimy na wschód drogą, która odchodzi ćwierć mili stąd, przed zachodem słońca zdołamy dotrzeć do Crotonu. Roszczą sobie do niego prawa zarówno Aquilonia jak i Nemedia, dlatego nie ma w nim garnizonu. Zbierają się w tam wszyscy obwiesie z pogranicza. Nie znajdziesz, panie, bardziej występnej dziury.

— Wygląda mi to na doskonałe miejsce na parodniowy wypoczynek —

oświadczył Taharka. — Jedziemy do Crotonu!

Jego kompani podnieśli radosną wrzawę.

O zachodzie słońca przejechali przez zrujnowaną miejską bramę. Croton był

istotnie tak odrażającym miastem, jak mówił Aksandrias. Mury były zdewastowane, a bydło pasło się gdzie popadło. Trawę skubały nie tylko konie i muły, ale i wielbłądy. Bossończycy i Gunderlandczycy gapili się ze zdumieniem na niezgrabne zwierzęta, nie spotykane zazwyczaj w tych stronach.

— Na Seta! — zaklął Taharka. — Przez to miasto musi przejeżdżać połowa przemysłowców świata!

— Myślę, że nie mijasz się z prawdą, panie — odrzekł Aksandrias. Nikt ich o nic nie pytał, gdy wjeżdżali do miasta. Jak na małą miejscinę na odludziu, Croton był zdumiewająco wielonarodowy. Z targowiska dobiegały okrzyki w mnóstwie języków, widać było stroje chyba z tuzina nacji. Przeważali Aquilończycy i Nemediańczycy, lecz byli tu również Shemiti i Ophirczycy, pospołu z Hyperborejczykami, Nordheimerami i Brythunianami.

Targowisko, na którym przestępcy z połowy świata handlowali zrabowanymi i przemyconymi towarami, stanowiło oszałamiający kalejdoskop barw, dźwięków i zapachów. Na bezładnie rozstawionych straganach sprzedawano bele jaskrawych tkanin i wszelaką broń, wystawiano kolekcje biżuterii i szkła.

Nosowi przychodziło uporać się z równą obfitością bodźców, co oczom.

Powietrze przesiąknięte było zapachami przypraw, kadzideł, perfum i narkotyków. Zgodnie z oczekiwaniami Taharki, prawie wszystkie wystawione towary należały do kręgu zainteresowań przemysłowców. Były to towary cenne, łatwe do transportowania i wszędzie obłożone wysokim podatkiem.

Taharka wychylił się z siodła i krzyknął do mężczyzny, oglądającego szereg sztyletów z rękojeściami z kości słoniowej:

— Przyjacielu, powiedz mi z łaski swojej, gdzie nie pozbawieni pieniędzy strudzeni wędrowcy mogą znaleźć odpoczynek, możliwość odświeżenia się i zabawę?

Mężczyzna wskazał w głąb zastawionej straganami wąskiej uliczki.

— Dojedziecie tędy do Ulicy Wszelkich Możliwych Rozkoszy, a na jej końcu znajdziecie „Raj Wędrowca”. W tym zajeździe jedynie truposz nie znalazłby rozrywki, a może znalazłaby się i dla niego, gdyby miał czym zapłacić.

Uważajcie na sakiewki i pilnujcie juków, a nie spotka was rozczarowanie.

Taharka podziękował mężczyźnie. Niewielki orszak skierował się w głąb zatłoczonej uliczki. Stragany i markizy sięgały niemalże do jej środka, przez co konie ledwie były w stanie przejechać. Dobra wystawione na straganach były nader kuszące. Wyżej w oknach budynków widać było jeszcze ciekawsze.

Bardzo skąpo odziane lub nawet całkowicie nagie kobiety dawały

przechodniom kuszące znaki.

Jeźdźcy co jakiś czas mijali niewielkie świątynie. Obsceniczne malunki i rzeźby dowodziły, że w środku czczono tylko najwystępniejszych bogów.

Niebawem przybysze dotarli do „Raju Wędrowca”.

Ponieważ większość ludzi w mieście bawiła tu tylko przejazdem, zajazd był

olbrzymi. Zostawili konie pod opieką stajennych i weszli przez szerokie drzwi z belek. Zajazd był zbudowany na wschodnią modłę. Na parterze znajdowała się wielka izba, wokół której wznosiły się galerie prowadzące do pokoi na dwóch górnych kondygnacjach budynku. W środku sufitu znajdował się wielki otwór, dający dzieńne światło, a z boku wykładanej kamiennymi płytami sali —

basen z fontanną. Po przeciwnej stronie było zagłębienie, w którym niewolnicy walczyli ze sobą lub z dzikimi zwierzętami. Tego rodzaju sport był surowo zakazany w Aquilonii i źle widziany w Nemedii, lecz cieszył się wielkim uznaniem wśród wszelkich szumowin i praktykowany był wszędzie tam, gdzie nie sięgało ramię prawa.

Duża, wielojęzyczna grupa gości czyniła przeraźliwą wrzawę. Taharka i jego ludzie znaleźli stół na środku sali. Niewolnik pośpieszył przynieść im coś do picia. Taharka wynajął miejsca dla swojej kompanii oraz wierzchowców i zamówił posiłek. Wkrótce opychali się jadłem i żłopali wino, podczas gdy nagie Nemedianki tańczyły lubieżnie na brzegu fontanny.

— Tak, to się nazywa życie — powiedział śniadoskóry herszt. — Chyba na coś takiego się zdecydowaliśmy, prawda? — Wiedział, że tego rodzaju rzekome spoufalanie się było niezbędne do

utrwalania lojalności podwładnych. Dzięki temu mógł liczyć, że będą bez namysłu wykonywać jego polecenia, a przez to w razie czego będzie ich łatwo poświęcić.

— Najlepsze z możliwych — powiedział Gunderlandczyk Gunter. Spojrzał na jamę do walk gladiatorów. — Ciekawe, czy dziś wieczorem będą walki. Mam ochotę obejrzeć prawdziwą męską rozrywkę.

Taharka zobaczył, że do zajazdu wchodzi grupa argosańskich łowców niewolników — zwalistych łotrów w szerokich pasach z nabijanej ćwiekami skóry. Przerzucone przez ramiona nieśli zwinięte bicze — symbol ich profesji.

Ten widok sprawił, że Keshańczyk wpadł na nowy pomysł. Powoli zaczął

opracowywać zarysy planu, który zajął miejsce obok wielu innych, nieustannie goszczących w jego umyśle.

— Zobaczymy, Gunter. Może uda się namówić naszych gospodarzy, by

zapewnili nam taką rozrywkę. Moja sakiewka jest otwarta. Nic nie jest za dobre dla moich ludzi.

Jego stwierdzenie nagrodziły gromkie okrzyki. Był zadowolony, że tak tanio przychodzi mu zdobyć uznanie kompanów.

Dzień mijał. Mężczyźni najedli i napili się do syta. Od czasu do czasu któryś dźwigał się od stołu i oddalał się w towarzystwie łaskawych dziewcząt, oferujących biesiadnikom swoje wdzięki. W końcu wracali, by dalej pić i jeść.

Gdy zapadł mrok, na dziedzińcu i galeriach zapalono pochodnie. Słudzy postawili na stołach świece w świecznikach z elegancko kutego metalu lub po prostu w butelkach po winie. Wkrótce przez otwór w dachu zaczął świecić bulwiasty księżyc. Uczta trwała dalej bez przeszkód. Taharka odchylił się w krześle i rozejrzał się z zadowoleniem. Pił i jadł umiarkowanie, nie skorzystał

też z wdzięków wyrobnic miłości. Przyjemność czerpał z rozrywek bardziej wyrafinowanych, niż uciechy zajmujące jego podwładnych, którzy zabrali się właśnie do gry w kości. Złowił spojrzenie gospodarza zajazdu i przywołał go do stołu.

— Przyłącz się do nas, gospodarzu! Napełnij kubek wybornym winem i zaszczyc nas swoją obecnością! Wyglądasz na wielce strudzonego, niech na jakiś czas zajazdem zajmą się twoi słudzy.

— Z przyjemnością, południowcu — odrzekł mężczyzna. Usiadł z głośnym westchnieniem i nalał sobie wina. — Taka pora, że mam dużo roboty. Muszę harować dzień i noc, żeby zadowolić gości. Wczoraj miałem obolałe nogi, a dziś już w ogóle ich nie czuję — gospodarz upił głęboki łyk i westchnął z zadowoleniem. Chociaż nie był stary, światło odbijało się od łysego czerepu.

Miał obfitą, sięgającą do pokaźnego brzucha płową brodę, obwisłe policzki, rozbiegane oczka i uśmiech na zawołanie, charakterystyczny dla wytrawnego oberżysty.

— Podoba się ci tutaj, przyjacielu? Gdybyś potrzebował czegokolwiek, drobiazgu czy czegoś poważnego, wystarczy że powiesz, a dostarczę ci to z przyjemnością, o ile tylko będzie to w mojej mocy.

— Raduje mnie twoja gościnność. Prawdę mówiąc, kilku moich kompanów pytało, czy urządzasz dzisiaj walki niewolników?

— Owszem, będzie dziś walka. Tutejszy kupiec trzyma sławnego ze swoich umiejętności gladiatora, zaś poganiacz przybyłej dziś zamorańskiej karawany, wyjątkowo porywczy gość, chce mu rzucić wyzwanie. Zapowiada się

wyśmienite widowisko.

— Tylko jedna walka?

— Niestety. Kilka lat temu mógłbyś obejrzeć u mnie nawet dziesięć walk. W

owym czasie królowie byli bardziej tolerancyjni. Lepiej też szedł handel z Zamorą, Brytunią i Turanem, gdzie ceni się wiele prawdziwych rozrywek —

obydwaj napili się, by wyrazić żal za dawnymi dobrymi czasami. — Jednak rozesłałem ludzi — pochwalił się gospodarz zajazdu. — Obiecali, że sprowadzą bojowego zingarańskiego byka i hyrkańskiego tygrysa. Niestety, wrócą dopiero pod koniec jesieni.

— To tak prowadzi się tutaj rozgrywki? — spytał z niedowierzaniem Taharka. — Od czasu do czasu ktoś kogoś wyzwie do walki? Sądzę, że to zupełnie dyletancki sposób. W południowych i wschodnich krainach

organizuje się to porządnie, jak zwykły interes.

— Tu też tak było w przeszłości. W tej prowincji znajdowało się wiele szkół

gladiatorów. W czasach mojego ojca w Crotonie były trzy akademie, w każdej po dwudziestu niewolników do walk, ale teraz musimy sobie radzić, jak umiemy. Przez większą część roku jestem w stanie zorganizować dwie, najwyżej trzy walki w tygodniu.

— Na śmierć? — zapytał Taharka.

— Oczywiście! — oburzył się gospodarz. — Czasy może nie takie jak dawniej, ale jeszcze dbamy o nasze dobre imię!

— Załóżmy — rzucił od niechcienia Taharka — że ktoś zdołałby dostarczać ci regularnie skorych do bitki niewolników. Powiedzmy tyłu, by co noc można było urządzić cztery, pięć porządnych walk? Ile byłoby to warte dla takiego człowieka interesu, jak ty?

Taharka upił kolejny łyk wina i obserwował, jak wypuszczona przezeń strzała trafia w cel, wywołując błysk w oku rozmówcy. Gospodarz przegarnął

palcami kędzierzawą brodę, rozważając propozycję nieznanego.

— Byłoby to wiele warte. W mieście są cztery karawanse — raje, ale mój jest największy. Gdybym dostarczał takiej rozrywki, nikt ze złotem w kieszeni nie zawracałby sobie głowy, by iść gdzieś indziej. Właśnie zaczyna się najruchliwsza pora roku. Gdybyś mógł mi przyprowadzić jakiegoś rzeczywiście utalentowanego niewolnika, moglibyśmy odłożyć porządną fortunę, zanim księżyc po trzykroć osiągnąłby nów.

— Miło mi to słyszeć. Myślę, że dobijemy targu.

— Pamiętaj! — gospodarz uniósł ostrzegawczo palec. — To mają być dobrzy, ochoczy wojownicy. Nikt nie chce oglądać jak dwóch przerażonych,

rozdygotanych ze strachu młokosów stara się na oślepa zasieć na śmierć.

Zawsze przyjemniej jest popatrzeć na natchnioną walkę dwóch

utalentowanych zawodników. Człowiek, który miota przekleństwa i straszy zemstą, gdy uchodzi z niego życie, to najlepsze widowisko. Nieraz widziałem, jak zdenerwowana podła walką publika roznosiła w drzazgi takie miejsca jak to.

— Nie bój się — rzekł uspokajająco Taharka. — Jestem w tych sprawach mistrzem. Będę ci przyprowadzał jedynie najlepszy towar. Możemy sobie zażyczyć opłaty za wstęp, rosnącej w miarę, jak zawodnicy będą zdobywać reputację, pobierać procent od zakładów i tak dalej. Na takich zawodach możemy zbić fortunę.

Targowali się jeszcze jakiś czas, ustalając raty i prowizje. Gdy wszystko uzgodnili, uścisnęli sobie nadgarstki na znak dobitcia targu. Gospodarz wstał i podążył doglądać innych gości.

— Panie — powiedział Aksandrias, który przysłuchiwał się rozmowie w pełnym szacunku milczeniu. — Wygląda to na niezły plan, ale odkryłem w nim parę niepraktycznych szczegółów.

— Wymień je — powiedział jego szef.

— Chociażby koszty.

— Przecież powiedziałem ci, że nie ma nic tańszego niż ludzie.

— Owszem, ale utrzymanie tego rodzaju niewolników jest drogie. Przede wszystkim, muszą to być same okazy męskości. Wśród niewolników rzadko zdarza się hart ducha i wola walki. Zwykle trzeba zorientować się, gdzie niedawno była wojna, i kupić wziętych do niewoli żołnierzy. Potem trzeba ich przez cały czas strzec i dobrze karmić. Trzeba mieć gdzie ich szkolić i trzymać.

Nie wiem, jak zdołamy to wszystko zorganizować w tak rzadko zaludnionej prowincji. Do tego musimy pamiętać o naszych ludziach.

— Dlaczego mieliby się sprzeciwiać? — spytał Taharka.

— Dlaczego? — Aksandrias wykonał obszerny gest, szukając odpowiednich słów. — Bo to prawie uczciwe życie!

Taharka uśmiechnął się szeroko.

— Nie obawiaj się, mój wykształcony przyjacielu. W tym interesie nie będzie śladu uczciwości. Przy bardzo niewielkich kosztach zgarniemy fortunę — na chwilę przerwała mu wrzawa podochoconych głosów i łoskot przesuwanych law. — Aha, idą zawodnicy. Przyglądaj się na razie, później ci wytłumaczę, jak zamierzam to zrobić.

Dwóch zawodników przeprowadzono przez wiwatujący tłum na łańcuchach umocowanych do stalowych obróż na ich szyjach. Na skraju jamy łańcuchy zdjęto i zawodnicy wskoczyli do środka. Wśród zgietku stawianych w gorączce zakładów oberżysta wykrzyczał imiona tych, którzy mieli walczyć ku uciechu gawiedzi. Jeden z nich był południowcem, o skórze niemalże tak ciemnej jak Taharka. Drugi pochodził z Północy, z jakiegoś plemienia o jasnej cerze.

Zawodnicy mieli na sobie jedynie gładkie hełmy z grubej skóry, pasy, skórzane osłony na krocza oraz sięgające do łokci grube rękawice pokryte brązowymi płytkami i nabijane na kłykciach rzędami długich kolców. Publiczność klaskała i krzyczała.

— Dwadzieścia na białego! — ryknął Wolf, brat Guntera.

— Stoi! — odkrzyknął Taharka. Przyjął zakład wyłącznie dla zasady, ponieważ nie lubił gier, których wyniku on sam nie ustalił z góry. Gdyby przegrał, odegrałby pieniądze później, gdy kompani będą na tyle pijani, że nie zauważą jego sztuczek z kośćmi.

Na dole zawodnicy przyglądali się sobie z pięściami wzniesionymi na wysokość piersi. Blask pochodni odbijał się od wypolerowanych ćwieków. Na znak gospodarza skoczyli na siebie. Południowiec walczył bardziej agresywnie, zarzucając przeciwnika szybkimi, potężnymi ciosami na odlew. Bładoskóry niewolnik z Północy był ostrożniejszy, brał zamaszyste ciosy na przedramiona.

Dzięki temu ani jeden z nich nie sięgnął jego głowy ani szyi czy brzucha, a przeciwnik szybko się męczył.

Kiedy ręce południowca zaczęły opadać pod ciężarem nabijanych brązem rękawic, niewolnik z Północy przystąpił do ataku. Dwa wymierzone w korpus ciemnoskórego wojownika ciosy wyrwały mu wielkie kawały ciała.

Południowiec krwawiąc obficie szybko opadał z sił. Wkrótce przestał osłaniać głowę słabnącymi ramionami, zaś wojownik z Północy zdecydował się kończyć walkę. Wyprowadził zaskakujący cios w żołądek przeciwnika, który zgiął się we dwoje i opuścił ręce. Następny cios spadł na jego głowę.

Niewolnik z Północy musiał zaprzeć się kolanem o pierś przeciwnika, by wyrwać kolce z jego twarzy. Ciemnoskóry południowiec, półprzytomny, nie był

w stanie opierać się, gdy przeciwnik zdarł mu skórzany hełm. Triumfator chwycił swoją ofiarę za włosy i przygiął do ziemi, odciągając głowę w tył.

Południowcowi opadła szczęka, bezsilnie przewracał oczami. Czerwona piana wzbierała na jego ustach i nozdrzach przy każdym świszczącym oddechu.

Zwycięzca powiódł wzrokiem po publiczności, trzymając w górze okutą w brąz prawą pięść. Krople krwi skapywały mu na bark.

Wśród klaskania i okrzyków zachęty, gospodarz dał mu znak do zakończenia walki. Pięść spadła w dół i pokonany niewolnik zwałił się z łoskotem na posadzkę nory. Mózg wypłynął z jego zmiażdżonej czaszki. Do nory posypał się grad monet, rzuconych przez szczęśliwych zwycięzców zakładów.

Taharka odliczył dwadzieścia złotych monet i wręczył je Wolfowi.

— Widzisz — powiedział do Aksandriasa, wskazując norę. Blask pochodni odbijał się teraz od krwi i złota. — Można wiele zarobić kosztem jednego bezwartościowego niewolnika. Porozmawiam z łowcami niewolników przy tamtym stole, może najmę paru z nich. Będziemy wyprawiać się na

gospodarstwa i wsie w okolicy, po obu stronach granicy. Potrzebujemy tylko młodych, zdrowych mężczyzn. Widziałeś, jak się tu walczy; pojedynczo, przy użyciu prostych broni. Większość widzów to nie znawcy wyrafinowanej szermierki, liczy się dla nich jedynie gwałtowność i odwaga. Te rzeczy łatwo zaszcześcić. Aksandrias pociągnął łyk wina. Zrozumiał.

— Chodzi ci o narkotyki, panie?

— Zgadza się. Przy połączeniu właściwych substancji i kilku podstawowych zakłęb nawet najtępszy wieśniak zamieni się w prawdziwego herosa.

Przynajmniej na kilka minut. To wystarczy, ponieważ walki nie trwają długo.

Nie będziemy musieli uczyć ich łucznictwa, posługiwania się lancą z konia czy wykonywania skomplikowanych zastaw i cięć — herszt bandytów rozpromienił

się. — Wystarczy, że będziemy trzymać się prostych broni, którymi walczy się w zwarcu, kolczastych rękawic, krótkich mieczy, sztyletów, może pałek dla tych, którzy okażą się zupełnie tępi. Podstawowych umiejętności da się nauczyć w ciągu kilku dni. Kiedy ich tu ściągniemy, narkotyki dokonają reszty.

— Dobry plan — zgodził się Aksandrias. — Mimo to musimy liczyć się z władzami. To prawie niczyje miasto, ale łowcy niewolników na taką skalę szybko zwrócą na siebie uwagę.

— Na tym właśnie polega piękno pogranicza, przyjacielu. Kiedy będziemy wyprawiać się do Aquilonii, przeberzemy się za nemediańskich łowców niewolników, a w Nemedii będziemy udawać Aquilończyków. Wszelkie

niesnaski pozostaną między tymi dwoma państwami. Zanim ktokolwiek zacznie nas podejrzewać, umkniemy stąd z łupem.

— Pięknie! — Aksandrias nie krył podziwu.

— Wiem, przyjacielu — ciągnął Taharka — że znasz się trochę na magii i czarach. Chcę, byś jutro rano rozejrzał się po mieście. Znajdź jakiegoś czarownika, który ma odpowiednie narkotyki. Niech ci je sprzeda i nauczy cię odpowiednich zaklęć. Nie bój się szczerze zapłacić. Każdy wydatek będzie drobiazgiem w porównaniu z tym, co spodziewamy się zyskać. Musimy mieć porządne zaklęcia.

— Tak się stanie — odrzekł Aksandrias z zapalem.

— Dlatego też radzę ci, byś nie spił się dziś za bardzo, bo nie będziesz jutro w stanie spełnić mojego polecenia.

— Nigdy nie upijam się do tego stopnia, panie. Dawno temu nauczyłem się, że życie wyjętego spod prawa jest dziesięciokroć niebezpieczniejsze dla człowieka, który dobrowolnie czyni się bezbronnym. Tego rodzaju durnie zdołają szubienice, jak świat szeroki i długi.

— Widzę, że myślisz podobnie jak ja — Taharka rozejrzał się po otepiałych gębach pozostałych swoich ludzi. Wyrwał skórzany kubek z bezwładnej ręki jednego z Bossończyków i zagrzechał kośćmi. — No, przyjaciele, który chce pograć w kości?

Gdy bandyci zaczęli rzucać na stół sztuki złota, Taharka odwrócił się jeszcze do Aksandriasa i powiedział:

— Zarobilibyśmy fortunę na paru Cymmeriańczykach, prawda?

Wstawszy wcześniej następnego ranka, Aksandrias wyruszył na

poszukiwania. Kilka pytań zadanych na targowisku handlarzom narkotyków i leków doprowadziło go do wnętrza niewielkiej świątyni. Nie było łatwo ją znaleźć. Parę razy zapuścił się nie tam, gdzie trzeba, nim trafił na właściwą uliczkę. Po obu stronach świątyni wznosiły się dwa zasłaniające ją składy.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Aksandriasowi w oczy, było to, że bruk ulicy tworzyły kamienie wyszlifowane przez czas do połysku. Pomyślał więc, że znajduje się prawdopodobnie w najstarszej części miasta. Nie miał pojęcia, ile wieków może liczyć sobie świątynia, ale świat pełen był tajemnic i nic by nie zyskał, tracąc czas na zastanawianie się nad tym.

Fronton świątyni zamykał koniec uliczki, a jej mury zdawały się sięgać o wiele szerzej niż ulica i przylegające do niej budynki. Za świątynią, w odległości mniej więcej dwudziestu kroków, znajdowały się mury miejskie.

Fasada świątyni prawie zniechęciła Aksandriasa do wejścia.

Rzeźby na frontonie były tak stare i zwietrzałe, że nie sposób było rozróżnić szczegółów. Miało się jedynie wrażenie, że przedstawiają jakieś pełne wielkiej siły postacie, trochę przypominające ludzi, ale bardziej gady, poruszające się prowadzącymi znikąd donikąd korytarzami. Aksandrias pomyślał, że ta świątynia z pewnością nie miała wielu wiernych. Zaczerpnął głęboko powietrza i przekroczył

próg przybytku.

Mimo ciepła poranka, wewnątrz było zdumiewająco chłodno. Wąskie

szczeliny wysoko w ścianach wpuszczały niewiele światła. Aksandrias znalazł

się w sali kolumnowej. Po obu stronach wysokie pilastry w kształcie ludzi o głowach węży ciągnęły się mknącym w półmroku podwójnym szeregiem.

Zgarbione ramiona posągów podtrzymywały sklepienie, ich skierowane w dół

oczy śledziły wszystkich, którzy przechodzili między nimi.

Aksandrias dostrzegł światełko w ciemności na końcu sali. Czując niepokój, ruszył ku niemu. Kilkakroć zatrzymywał się i podnosił spojrzenie na głowy ludzi — węży. Wyglądały stale tak samo, enigmatycznie i bezdusznie, ale Aquilończyk miał niesamowite wrażenie, że ukradkiem się poruszały.

Kącikiem oka ciągle dostrzegał ruch, jak gdyby spomiędzy otoczonych łuskami warg wysuwały się długie, rozdwojone języki.

Zbliżywszy się do źródła światła stwierdził, że pada ono od płonącego w spizowej misie ognia. Misa stała na trójnogu. Nie widać było niczego, co podsyciłoby płomień.

Aksandrias nie przejął się tym specjalnie. Jako czarownik, chociaż nader pośledni, był przekonany, że większość czarów polega na tumanieniu naiwnych.

Po chwili odwrócił się w stronę, z której przyszedł, ponieważ wpadło mu coś innego do głowy, tym razem bardziej niepokojącego. Jaskrawy czworobok wejścia znajdował się co najmniej pięćdziesiąt kroków od niego, a przecież gdy stał przed świątynią był przekonany, że znajduje się w odległości najwyżej dwudziestu kroków od miejskich murów. Oznaczało to, że budowla musi sięgać poprzez mur znacznie poza niego. Była to kolejna tajemnica, ale nie miał czasu na rozwikływanie zagadek.

— Co cię tu sprowadza? — rozległ się głos za plecami Aksandriasa.

Aquilończyk odwrócił się na pięcie, błyskawicznie opuszczając dłoń na rękojeść miecza. Mówiący okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną w czarnej, pozbawionej ozdób szacie. Jego trupia, gładko wygolona twarz była równie nieruchoma jak u kamiennych posągów. Aksandrias odprężył się z westchnieniem.

— Wybacz, szacowny ojcze, przestraszyłeś mnie. Nie słyszałem, jak się zbliżałeś. Jesteś jedynym kapłanem tej świątyni?

— Tak. Bogowie, którym służę, są starsi niż ludzkie sny i prawie zapomniani w tych rozpustnych czasach — kapłan miał dziwny akcent. Aksandrias wiele podróżował, lecz z taką wymową jeszcze się nie spotkał. W sposobie, w jaki kapłan wyrażał swoje myśli, również było coś osobliwego.

— Może czasy się poprawią. Tak się składa, że potrzebuję pewnych leków i jednego czy dwóch

zaklęć. Powiedziano mi na rynku, że w tej świątyni często można kupić magiczne eliksiry, niedostępne w tych stronach. Także to, że jesteś wielkim czarnoksiężnikiem.

— I owi przekupnie powiedzieli ci, że jestem taki sam jak oni?

Aksandrias zrozumiał, że na razie trzeba zrezygnować z czysto handlowego podejścia. Znał wielu czarnoksiężników podobnych do kapłana, z którym teraz miał do czynienia, zubożałych, lecz zbyt dumnych, by przyznać, że kupczą swoimi usługami, aby utrzymać się przy życiu.

— Szacowny mędrze, coś podobnego nawet nie przemknęło mi przez myśl.

Jestem uczniem sztuk czarnoksięskich, aczkolwiek niskiej rangi. Pracuję obecnie nad księgą, poświęconą działaniu niektórych powodujących furie leków i zaklęć. Aby pisać rzecz rzetelnie, muszę przeprowadzić odpowiednie eksperymenty i na własne oczy zaobserwować skutki działania tych substancji oraz czarów.

Kapłan pokiwał głową.

— Jedyne w ten sposób można dojść do prawdziwej wiedzy. Leki, których szukasz, są trudno dostępne w tej odludnej prowincji. Trzeba je sprowadzać z daleka, a to jest bardzo kosztowne.

Aksandrias uśmiechnął się w duchu. W końcu zaczęli dobijać targu.

Wiedział, że mimo to musi trzymać się bajeczki o naukowych badaniach,

— Tego się spodziewałem. Pochodzę z dobrej, zamożnej rodziny. Złoto to śmiecie, gdy idzie o zdobycie wiedzy.

— Chodź ze mną — kapłan poprowadził Aquilończyka wokół płonącej misy ku niewielkim ozdobnym drzwiom. Weszli do kolejnej długiej komnaty. Tu też źródłem światła wpadającego przez szczeliny w ścianach było słońce, jednak jego barwa była w subtelny, niepokojący sposób odmienna. Aksandrias uznał, że musiało wpadać przez barwione szkło.

Komnata była pełna książek i przyrządów, jakie Aksandrias widział po raz pierwszy w życiu. Jedyłą ich cechą wspólną był nieprawdopodobnie sędziwy wiek. Instrumenty wykonano ze złota aż zzieleniałego ze starości oraz ze szerniałego srebra. Pobłyskiwały w nich kryształy, klejnoty i szlachetne kamienie, które Aksandrias widział po raz pierwszy. Zatrzymał się przed postumentem podtrzymującym masywną księgę, której okładkę zdobiły ludzkie kości jarzmowe. W oczodołach osadzono dwa wielkie rubiny.

— Jak mniemam, ta księga ma wielką moc — powiedział Aksandrias. W rzeczywistości zainteresowały go jedynie rubiny.

— Zaiste, wielką — rzekł kapłan przeciągłym, grobowym głosem. Otworzył

księgę na pierwszej stronie. Wykonaną z grubego, kremowego pergaminu kartę pokrywały w całości

drobne litery barwy zardzewiałego żelaza. Aksandrias dotknął karty. Okazała się osobliwie gładka. Powiedział o tym kapłanowi.

— To księga zaklęć, spisana przez króla — czarnoksiężnika Angkara, władcę Imperium Walkh z czasów poprzedzających Atlantydę. Temu, kto potrafi ją odczytać, ujawni ona sposób nawiązywania kontaktu z istotami władającymi Wszechświatem przed stworzeniem Ziemi. Angkar był sługą tak wszechogarniającego zła, jakiego dziś już się nie spotyka. Ta księga stanowi arcydzieło jego życia. Pięćdziesięciu lennych królów przysłało mu swoje córki, razem było ich ponad dziewięćset. Te karty zostały sporządzone ze skóry zdartej z tych księżniczek. Tekst spisano krwią królewskich niemowląt. Po ukończeniu księgi władca kazał umocować w oprawie swoje własne kości, wycięte z czaszki, gdy jeszcze oddychał. Samą oprawę wykonano z jego własnej skóry.

Aksandrias oderwał dłoń od karty, jakby była rozżarzona do czerwoności.

— Rzeczywiście żyjemy w czasach karłów — powiedział drżącym głosem. —

Nikt z żyjących magów nie poważiłby się na taki czyn.

— Prawda, Wysokie Kręgi podupadły — stwierdził kapłan ponuro. — Dobre czasy jednak powrócą. Te ściany wiele widziały. Chociaż owa księga jest pradawna, ta świątynia jest jeszcze starsza. Od czasu jej wybudowania wznosiły się i tonęły kontynenty. W tym miejscu stało wiele miast. Croton jest zaledwie najnowszym z nich — głęboko osadzone oczy kapłana zapłonęły dziwnym światłem. — Nim barbarzyńscy Hyboryjczycy najechali te strony, stał

tu wielki gród Karutonia, pamiętany obecnie tylko za sprawą koszmarnie wypaczonej nazwy. W mieście tym mieszkało ponad milion ludzi. W pobliżu wciąż znajdują się pokryte ziemią i chwastami szczątki jego największych świątyń i grobowców. Są tak wielkie, że od tysiący lat ludzie sądzą, że to naturalne wzgórza.

— Rzeczywiście to pradawne miejsce — powiedział Aksandrias, doszedłszy do wniosku, że gospodarz jest szalony.

— Pradawne? — kapłan wydał z siebie suchy, posępny śmiech. — Karutonia była jedynie przedostatnim bękartem. Ta świątynia stoi w miejscu, gdzie rozpościerała się kiedyś wyłącznie piaszczysta pustynia, a kiedy indziej spoczywała na dnie wielkiego śródlądowego morza. Była świadkiem

przemijania eonów i zniosła to bez szwanku. Wiatry i deszcze, które poryły rzeźby na jej fasadzie, starły całe góry w sterty piasku.

— Rozumiem — powiedział Aksandrias, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat.

— Trafiłem we właściwe miejsce. Moje życzenia muszą być drobiazgami dla kogoś, kto posiadał takie tajemnice. — Beztrosko podniósł osadzoną na zawiasach pokrywę gładkiej, spiżowej wazy. Wewnątrz ujrzał paraliżujący umysł pejzaż kosmicznych otchłani. Patrzył z góry na gigantyczne rojowisko gwiazd. Gwałtownie zatrzasnął pokrywę i próbował sprawić, by jego żołądek powrócił

na właściwe miejsce. Czarnoksiężnik zachowywał się jak gdyby tego nie zauważył.

— Mam, czego ci potrzeba — powiedział kapłan. Przeszedł w drugi koniec komnaty i otworzył jedną z szafek. Ku wielkiej uldze bandyty, w środku widać było jedynie szufladki i przegródki. Komnata wypełniła się woniami egzotycznych ziół. Kapłan wyciągnął jedną z szufladek i wyjął z niej drewnianą szkatułkę. Odchylił wieczko i pokazał Aksandriasowi jej zawartość. Były to setki kulek zielonkawej, gumowatej substancji rozmiaru mniej więcej ziarnka grochu.

— Powłoka każdej pigułki wykonana jest z żywicy drzewa julakowego z Wysp Barachańskich — mówił kapłan. — Przydaje ona siły i wytrzymałości. Kiedyś doborowe oddziały gwardii królewskiej zażywały jej przed bitwą. Zmieszano ją z wydzieliną pewnego rodzaju stygijskich skarabeuszy, przydającą niezwyklej szybkości ciału i oku. Ma ona podwójne zalety; gdy działa, osoba pozostająca pod jej wpływem nie czuje strachu, lecz wielką chęć ataku. Staje się też niewrażliwa na ból. — Kapłan położył szkatułkę na sekretarzyku. Wziął

pędzelek i umoczył go w atramencie. Pisząc na wieczku, kontynuował: —

Zważywszy na moc tego preparatu, osoba w potrzebie może zażyć go bez wielkiego ryzyka pod warunkiem, że będzie korzystać z niego rozsądnie i nie za często. — Kapłan pokazał Aksandriasowi napis na wieczku. Był sporządzony współczesnymi aquilońskimi literami, sylaby należały jednak do jakiegoś pradawnego języka. — Recytując to zaklęcie przed podaniem każdej dawki sprawisz, że skutek będzie szybszy i większy, jednak bardziej niszczący.

Człowiek zażywający te pigułki codziennie bardzo szybko zmarnieje. Radzę podawać je tylko zbędnym niewolnikom, skazańcom i tym podobnym.

— Tak właśnie zamierzałem — powiedział Aksandrias. — Jaka jest cena?

— Pięćset sztuk aquilońskiego złota.

Suma była wygórowana, ale Taharka powiedział Aksandriasowi, że może zapłacić dwukrotnie więcej. Aquilończyk wyjął z tuniki wypchaną sakiewkę i odliczył należność. Odprowadzając go do wyjścia, kapłan powiedział:

— Gdybyś jeszcze potrzebował mojej czarnoksiężskiej pomocy, przyjdź do mnie. W tych świeckich czasach zawsze jestem gotów wspomóc adepta Wysokich Kręgów.

— Bądź pewny, dostojny mężu, że nie omieszkam cię odszukać w takim wypadku — powiedział Aksandrias, przysięgając sobie w duchu coś wręcz przeciwnego. Gdy odchodził, gospodarz przyglądał mu się uważnie. Powoli kąciki ust kapłana uniosły się w upiornym uśmiechu.

Kiedy Aksandrias dotarł do wylotu uliczki, obejrzał się i jeszcze raz rzucił

okiem na świątynię. Pożerany ciekawością skręcił w boczny zaułek, docierając w końcu do schodów prowadzących na miejskie mury. Wetknąwszy swój nabytek za tunikę, wspiał się na zrujnowane zwieńczenie muru. Kiedy zobaczył dwa okalające świątynię składy, wychylił się i wyrzwał w stronę

miasta. Tak jak oceniał z dołu, płaski, goły dach świątyni odstawał na około dwadzieścia kroków od murów.

Odwrócił się i przeszedł cztery kroki, dzielące go od przeciwległego skraju muru. Wychylił się przez obramowanie, chcąc zobaczyć większą część świątyni, która powinna wystawać na zewnątrz. Nie było tam jednak nic prócz jednolitego muru z nierównych kamieni i roztaczającej się za nim łąki, na której spokojnie pasły się woły. Włosy stanęły Aksandriasowi dęba i zakreśliło się mu w głowie. Gdzie była reszta świątyni?

Tego wieczoru zrezygnował ze swoich zasad i spał się do nieprzytomności.

ROZDZIAŁ 4

— Jak mogliśmy ich zgubić? — spytała rozgniewana Kalia. — Może skierowali się Wielkim Traktem do Belverus?

— Równie dobrze mogli pojechać na skróty do piekła — odrzekł Conan. W

ciągu ostatnich dni, kiedy trop najpierw ostygł, a potem stracili go zupełnie, wpadał w coraz większe rozdrażnienie. Znajdowali się niedaleko ogarniętego wojną Ophiru, gdzie ich szansę natrafienia na tropionych przestępców byłyby jeszcze mniejsze.

Z początku nie mieli kłopotów z podążaniem tropem bandytów. Prawie każdego dnia dzięki ścierwojadom trafiali na niedbale ukryte, obrabowane ze wszystkich kosztowności zwłoki. Niejednokrotnie spotykali grupy królewskich żołnierzy lub lokalnej milicji, również szukające bandytów. W większości słudzy prawa byli przekonani, że występki bandy Taharki to dzieło miejscowych wyrzutków. Keshanńczyk był zbyt chytry, by pozostawać długo w jednym miejscu i w ten sposób zwracać na siebie uwagę. Conan zrozumiał, że on i Kalia stali się zbyt pewni siebie sądząc, że czeka ich łatwe zadanie.

Zamiast koncentrować się na pościgu, ciągle gotowali się do ostatecznej rozprawy.

— Ten Taharka jest sprytniejszy niż podejrzewaliśmy — powiedziała Kalia.

— Znow zmieniał taktykę. W Cymmerii i pogranicznych prowincjach zajmował

się łowami na niewolników, a na trakcie do Ophiru grabi wędrowców, nie pozostawiając nikogo przy życiu. Teraz najwidoczniej zajął się czym innym.

Conan zatrzymał konia. Dotarli do podnóża wzgórz. Przed nimi rozpościerała się szeroka, zielona równina.

— Myślisz, że zrezygnowali z dotarcia do Ophiru?

Kalia wzruszyła ramionami.

— Ludzie tego pokroju rzadko trzymają się raz podjętych decyzji. Są jak dzieci, zajmujące się nową zabawką, gdy tylko stara przestanie je bawić. Być może w końcu zdecydują się dotrzeć do Ophiru, albo zajmą się zupełnie czym innym. Cokolwiek czynią, obawiam się, że jadąc dalej oddalimy się tylko od nich.

Conan zastanowił się nad tym. Czuł zew bezgranicznych łąk. Marzył o tym, by galopować przez nie rozglądając się, jakie wspaniałości się tam kryją, jednak jego obowiązkiem było dopełnienie zemsty. Później mógł sobie pozwolić na beztroską wędrówkę. Zawrócił konia.

— Cofnijmy się do miejsca, w którym ich zgubiliśmy — powiedział.

Tydzień później dotarli do niewielkiego przydrożnego zajazdu. Składały się nań koryto do pojenia koni, chata, w której gotowano posiłki i przechowywano wino oraz szopa na siano dla wierzchowców. Przed chatą rozpostarto zadaszenie, pod którym rozstawiono kilka prymitywnych stołów i równie grubo ciosanych ław.

W cieniu zadaszenia posilało się i piło pół tuzina okolicznych mieszkańców.

Conan i Kalia wytarli konie, napoili je, zasiedli przy jednym ze stołów i poprosili o chłodne wino. Pulchna, siwiejąca kobieta przyniosła butelkę. Gdy stawiała ją na stole, Conan dostrzegł w jej oczach wyraz niepokoju.

— Krzepki z ciebie chłopak — powiedziała. — Na twoim miejscu nie wałęsałabym się w tych stronach wyłącznie w towarzystwie dziewczyny.

— Czemuż to, babciu? — spytał Cymmerianin. — Czyżby krzepkim chłopakom groziło jakieś szczególne niebezpieczeństwo?

— Na to wygląda — odrzekła. — Właśnie o tym rozmawialiśmy. Grasuje w tych stronach banda łowców niewolników. Uderzają to tu, to tam, napadają na gospodarstwa i osady. Są tak bezczelni, że wyprawili się nawet do paru miasteczek. To dziwne, ale nie porywają dzieci i kobiet, a jedynie mężczyzn w kwiecie wielu, silnych i wytrzymałych.

— To prawda, przybyszu — powiedział mężczyzna w kaftanie woźnicy. —

Napadli na dwie fury mojego pana i porwali paru porządnych, młodych chłopaków.

— Mówiono mi, że to Nemediańczycy — powiedział inny z gości, u stóp którego leżał toból wędrownego handlarza. — Mówią też, że jest wśród nich paru Argosańczyków.

— Nie tylko napadają — włączył się tłusciuch w stroju królewskiego kata. —

Parę dni temu zatrzymałem się w miasteczku Volsino, żeby powiesić dwóch złodziei bydła. Królewski sędzia starał się omamić mnie bajeczką, że skazańcy w więzieniu odebrali sobie życie. Kiedy jednak trochę popytałem, okazało się, że odsprzedał ich tym Nemediańczykom, w ten sposób

odbierając mi zapłatę.

Kiedy wrócę do stolicy, doniosę o jego oszustwie — rozdrażniony kat osuszył

kubek wina.

— To dziwne — powiedziała Kalia. — Na silnych niewolników zawsze jest popyt, ale tak samo jest z kobietami i dziećmi, zaś słabszych jest łatwiej wyżywić i utrzymać w posłuchu. Nigdy nie słyszałam, by łowcy niewolników rezygnowali z łatwej zdobyczy i zabierali tylko silnych mężczyzn. Z wyjątkiem przypadków, kiedy jakiś król planuje wielkie roboty, wymagające mnóstwa siły roboczej.

— Nic takiego się tu nie dzieje od czasu, gdy wiele lat temu zakończono budowę grobowca starego króla — powiedział kat. — Stygijczycy ciągle stawiają świątynie, ale ponieważ w Ophirze toczy się wojna, jeńcy muszą być tam tani. Na pewno więc tam się zaopatrują w niewolników.

— Wszystko to bardzo dziwne — powiedział pasterz, którego woń do

złudzenia przypominała zapach jego podopiecznych. — Ja jestem za stary, by wzbudzić ich zainteresowanie, ale synów wysłałem ze zwierzętami na wzgórze, aż minie niebezpieczeństwo.

— Nie musisz się o mnie martwić, babciu — rzekł Conan. — Trzeba by naprawdę śmiałego łowcy niewolników, żeby mnie złapać, a ta dziewczyna nie jest tak niewinna, na jaką wygląda. — Kiedy kobieta wróciła do chaty, a pozostali zajęli się swoją rozmową, Conan przechylił się przez stół i zapytał:

— Co o tym sądzisz? Może to dzieło Taharki i reszty?

— Nie wiem, ale to możliwe. Taharka obmyśla nowe plany z taką łatwością, z jaką ryba pływa. To może być jeden z nich. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

— Mówi się jednak, że łowcy niewolników to Nemediańczycy — powiedział

Conan.

— Bardzo łatwo nałożyć nemediańskie stroje. Łowcy niewolników dobrze wiedzą, jak stroić się w fałszywe piórka. Myślę, że powinniśmy poszukać w tych okolicach. Jeśli załęgło się tu jakieś nowe łotrństwo, możemy być pewni, że stoją za nimi Taharka i Aksandrias.

Czekając aż konie wypoczną, Conan i Kalia starali się wciągnąć tubylców w rozmowę. Conan chciał pytać wprost, lecz za każdym razem dziewczyna kopała go pod stołem. Milczał więc i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

Zaczął podziwiał zręczny sposób, w jaki Kalia wyciągała mnóstwo użytecznych wiadomości nie wzbudzając podejrzliwości ostrożnych i nieufnych wieśniaków.

Jedno było pewne: najbliższe miasto, w którym zbierali się przemytnicy, przestępcy i im podobni,

nazywało się Croton i leżało o nieco ponad dzień konnej jazdy w kierunku nemediańskiej granicy.

Słońce prawie zaszło, gdy dotarli w pobliże Crotonu. Conan ze zdumieniem zapatrzył się na zwierzęta pasące się przy miejskich murach.

— Czy to wielbłądy? — zapytał.

— Tak — odparła Kalia. — Dotarliśmy w pobliże wschodnich krain. Dalej leżą Nemedia, Brythunia, Koryntia, Zamora, Turan i Morze Vilayet.

— A za nim? — spytał Conan zachwycony nazwami obcych krain i wizją żyjących tam nieznanymi ludów.

— Krainy będące w części legendą: Hyrkania, Kitaj i Vendhia. Jeszcze dalej jest podobno wielki ocean, rozciągający się aż po kraniec świata.

— Zwiedzę je wszystkie — przysiągł Conan. — Kiedy rozprawię się z tymi bandytami.

— Jesteś dziwnym człowiekiem, przyjacielu — na chwilę trwające między nimi chwiejne zawieszenie broni zmieniło się w cień sympatii. — Przez całe życie spotkałam najwyżej tuzin Cymmerianinów. Ani w głowie były im dalekie podróże. Gadali wyłącznie o powrocie do domu.

— Jestem inny niż moi rodacy — zgodził się Conan. — Nim urosłem na tyle, by móc dźżyć miecz w dłoni, już kłóciłem się o to, kto ma mną rządzić i wydawać mi rozkazy. Ojciec, starszyzna wioski, a nawet wódz mojego klanu nie raz solidnie przetrzepali mi skórę, zanim nie stałem się za duży na takie traktowanie. Kiedy pod Venarium pokazałem jakim jestem wojownikiem, dali mi wreszcie spokój.

— Byłeś pod Venarium? — spytała Kalia. Dwa lata wcześniej wieści o tej bitwie obiegiły całą Aquilonię i pograniczne prowincje. Aquilończycy zajęli część ziem stanowiących cymmeriańskie dziedzictwo i zbudowali na nich miasto Venarium, obsadzając je silnym garnizonem Gunderlandczyków i

Bossończyków. Cymmerianie zrównali miasto z ziemią w ciągu trwającej dzień i noc okrutnej rzezi. Wszystkie trzy wyjątkowo wojownicze ludy stoczyły tam bezpardonową walkę. Nie było mowy o poddaniu się czy braniu jeńców.

— To przeszłość — powiedział zwięźle Conan. — Zobaczmy, co znajdziemy w tym mieście.

Wjechali do Crotonu. Okazało się, że stragany zwinięto już na noc. Dzień się skończył, zaczynał się wieczór. W licznych przybytkach rozrywki zapalano lampy, zaczynała dobiegać stamtąd muzyka.

Kalia spytała handlarza dywanów, gdzie mogą znaleźć nocleg. Przekupień obrzucił nieufnym spojrzeniem ich zakurzone, wystrzępione stroje.

— Najlepszą rozrywkę i noclegi można znaleźć w „Raju Wędrowca”, ale ostatnio ceny wzrosły tam trzykrotnie. Radziłbym, żebyście spróbowali w jednej ze stajni przy miejskich murach. Dostaniecie

miejsce dla koni, a za grosze będziecie mogli przespać się na strychu. Jest tam o wiele ciszej niż w zajeździe, a pchły dokuczają tak samo.

— Skorzystamy z twojej rady — powiedział Conan. — Co to za rozrywki mają w miejscu, o którym wspomniałeś, że trzeba płacić trzykrotnie więcej?

— Chcesz powiedzieć, że jeszcze o tym nie słyszeliście? Idźcie tam dziś wieczór, a zaręczam wam, że zobaczycie coś wartego opłaty za wstęp i zbyt wielkiej ceny za podłe wińsko.

Znaleźli stajnię, o jakiej mówił handlarz dywanów, ulokowali konie i wynajęli pokój dla siebie. Kilka domów dalej znajdowała się publiczna łaźnia, w której zmyli z siebie podróżny kurz. Robiło się późno i byli jedynymi klientami.

Kobietą część łaźni od męskiej oddzielała drewniana rama obleczone tkaniną.

Conan rozparł się w drewnianej wannie, wraz z kąpiącą się po drugiej stronie Kalia obmyślając kolejne posunięcie.

— Myślę, że powinniśmy rozejrzeć się w „Raju Wędrowca” — powiedziała.

— Przyjechaliśmy tu szukać bandytów, a nie dla rozrywki — odparł barbarzyńca.

— Przychodzi ci do głowy lepsze miejsce, gdzie można by się za nimi rozejrzeć? — zadrwiła. — Ludzie tacy jak oni, gdy mają pieniądze, najczęściej przeważnie je trwonią. Jeśli rzeczywiście ten zajazd zapewnia najlepszą rozrywkę, tam właśnie będą.

— Być może kobiety są tam źle widziane — ostrzegł Conan.

— Tak samo było w miejscu, gdzie nauczyłam się władać mieczem. Wdarłam się tam siłą i zażądałam, by mnie uczono. Jeśli okaże się to konieczne, tu postąpię tak samo.

— Masz zwyczaj dostawać to, na czym ci zależy — przyznał Conan.

— Kobiety, które same sobie radzą w życiu, nie mogą być mimozami. Nie wchodzimy w życie jako nabici mięśniami barbarzyńcy.

Conan skrzywił się.

— Masz język jak pilnik kowala, ale muszę ci przyznać rację. Dobrze, pójdziemy do tego pałacu uciech, a jak komuś nie będzie się podobała nasza obecność, niech liczy się z naszymi mieczami!

Kalia, co zdarzało się jej rzadko, zaśmiała się melodyjnie.

— Właśnie tak, Cymmerianinie. Taka mowa mi się podoba!

Okazało się jednak, że nikt nie ma nic przeciwko wejściu Kalii do „Raju Wędrowca”. Wygórowana cena wstępu sprawiła, że wydali prawie wszystkie pieniądze, jednakże tłoczący się przy wejściu tłum kazał przepuszczać, że cena była warta zapłacenia. Gdy wepchnęli się do środka zajazdu, ogłuszyła ich wrzawa. Kupili po kuflu niemiłosiernie drogiego piwa od krążącej po sali służebnej dziewczki i spróbowali zorientować się, co jest przyczyną rozgardziaszu.

Kierując się radą służebnej, znaleźli schody i weszli na jedną z okalających salę galerii. Ciżba ludzka była tu rzadsza, a hałas nieco mniejszy. Wydawało się, że dla wielu mężczyzn przepaska na oku Kalii nie umniejsza jej powabu.

Parokrotnie wyszeptano jej do ucha nieprzystojne propozycje. Conan zdzielił

pięścią w brzuch pierwszego z niewczesnych zalotników i oboje przeszli nad jego skulonym ciałem. Przy kolejnej propozycji Kalia wyciągnęła sztylet i rozcięła pas mężczyzny. Spodnie opadły mu do kostek. Lekko popchnięty stracił równowagę i zwałił się przez poręcz na stół pod balkonem, wzbudzając salwy śmiechu.

Posługując się łokciami, obydwójce przedarli się do poręczy. Znaleźli się nad zagłębieniem w podłodze. Na dole dwóch mężczyzn w skórzanych czepcach, nabijanych ćwiekami bransoletach i pokrytych metalowymi płytkami

przepaskach na biodra mierzyło się groźnym wzrokiem. Obydwaj mieli krótkie, ciężkie miecze z nieznacznie zakrzywionymi ostrzami oraz niewielkie tarcze o średnicy najwyżej jednej stopy.

— Nora do walki — szepnęła Kalia. — Widziałeś kiedyś coś takiego?

— Tak — powiedział Conan. — W Vanaheimie i Hyperborei.

— Nie macie ich w Cymmerii? — spytała. Mimo beztroskiego tonu jej twarz nieco pobladła.

— Nie. Ani Gunderlandczycy, ani my nie trzymamy niewolników. Robią to czasem Piktowie. Obawiam się, że my jesteśmy zbyt prymitywni.

— Zgadza się, to cywilizowany zwyczaj — odrzekła, po czym dodała

stropiona: — Ci mężczyźni wyglądają dziwnie.

Nie ogłoszono jeszcze początku walki, wciąż przyjmowano zakłady.

Zawodnicy obrzucali się tępych spojrzeniami wybałuszonych oczu, ich palce nieustannie przesuwały się po rękojęściach broni. Jeden z nich dygotał jak rasowy koń przed rozpoczęciem gonitwy. Mimo młodego wieku Conan walczył

z przedstawicielami wielu narodów i wiedział, że niewiele z nich podziela stoicki stosunek Cymmerianinów do walki na śmierć i życie.

— To zmuszeni do walki niewolnicy, nie wojownicy — powiedział.

— To nienaturalne — upierała się Kalia. — Mam tylko jedno oko, ale wiem, kiedy ludzie się boją. Tych dwóch nie czuje strachu, jedynie nienawiść i chęć posiekania przeciwnika na kawałki. Ludzie zmuszeni do walki ze sobą nie zachowują się w ten sposób.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Conan z niepokojem.

— Nie wiem. Chyba... — przerwał jej okrzyk, nakazujący rozpoczęcie walki.

Rozległ się chóralny wrzask, gdy dwóch zawodników ruszyło na siebie.

Mimo odrazy do okazywanej przez tłum bezmyślnej żądzy krwi, Conan stwierdził, że walka go fascynuje. Tak jak powiedziała Kalia, mężczyźni nie bali się. Obydwaj byli młodzi, dobrze umięśnieni, odpowiadali sobie wzrostem i wagą. Walczyli agresywnie, obrzucając się mnóstwem ciosów. Ich miecze miały zwężające się i zwrócone ku górze końce, były bardziej odpowiednie do cięć niż sztychów. Tak też były używane.

Niewielkie tarcze blokowały większość ciosów, ale część osiągała cel.

Mężczyźni jak gdyby w ogóle nie zauważali, że są ranni, i nadal z zapamiętaniem wymachiwali mieczami.

— Dzielni głupcy! — mruknął Conan. — Zawsze wolałem atak od obrony, ale jaka to korzyść, jeśli zrani się przeciwnika i samemu weźmie przy tym ranę?

— Zobacz, jakie głębokie cięcie! — powiedziała Kalia, zaciskając dłoń w rękawicy w pięść, gdy w dole połała się krew. — A mimo to zachowuje się, jakby tego nie zauważył!

— W czasie walki często nie spostrzega się ran — stwierdził Conan. —

Dopiero później człowiek czuje ból.

— Nie przy takiej ranie — zapewniła go Kalia. — Patrz, zwalniają.

Przysięgłabym, że wyłącznie z powodu upływu krwi.

Wychyliłi się przez barierkę, nachylając się ku sobie, by słyszeć swoje słowa.

Z tak małej odległości Conan widział wyraźnie zarys węzłastej blizny wokół przepaski na oku dziewczyny.

W dole jeden z walczących z rykiem nienawiści ciął mieczem. Pokonany przeciwnik zgiął się w pół, starając się powstrzymać wypływające z brzucha wnętrzności. Wysiłek okazał się daremny. Umarł, wydając z siebie

niezrozumiałe dźwięki. Zwycięzca uniósł triumfalnie ramiona, obsypywany deszczem monet. Gdy wytoczył się z nory, posługacze zaczęli uprzętać ją przed następną walką.

Conan i Kalia obejrżeli jeszcze trzy pojedynki. Za każdym razem byli świadkami tego samego widowiska; bezmyślnej gwałtowności, miernych umiejętności, zupełnego braku strachu i reakcji na ból. O wyniku walki decydowały utrata krwi, przecięcie mięśni i nerwów, lub wypadające organy wewnętrzne.

Gdy wyniesiono ostatniego martwego zawodnika, Conan i Kalia rozejrzeli się po galeriach i głównej sali zajazdu. Wrzawa ucichła nieco, wielu ludzi zaczęło wychodzić.

Pozostali goście zabrali się do bardziej umiarkowanych rozrywek: picia, jedzenia i obmacywania służebnych.

— Zauważyłeś kogoś, komu warto by się bliżej przyjrzeć? — zapytała Kalia.

— Nie, ale... — wtem Conan zobaczył coś interesującego. Po drugiej stronie izby biesiadnej, pod galerią, znajdował się rząd opartych o ścianę tarcz, włóczni oraz innej broni, którą z powodu tłoku nie można by było posłużyć się w zajeździe. Strzegł ich mężczyzna z pałką. Koło tarcz o ścianę wspierały się dwa znajomo wyglądające kawałki cisowego drzewa.

— Tam — wskazał Conan. — Pod przeciwległą ścianą, między kordawańską tyczką i laską ze srebrną główką. To bossońskie łuki. Rzadko można je zobaczyć tak daleko od Bagien.

Kalia uśmiechnęła się, w jej oczach znów pojawił się szalony wyraz.

— No to w pobliżu powinno być dwóch ludzi, z którymi mamy do pogadania.

Conan wychylił się, oparł na łokciu i wsparł podbródek na otwartej dłoni.

Nie odrywał spojrzenia od łuków, nie chcąc, by ich właściciele zabrali je niezauważeni.

— Co robimy? Zabijemy ich, czy będziemy śledzić, by doprowadzili nas do kompanów?

— Proponuję, byśmy zawlekli ich w jakieś ustronne miejsce i wydusili z nich, co wiedzą. Jeśli zabijesz ich od ręki, spełnisz część swojej zemsty, lecz ja nie będę bliżej mojej — Kalia upiła piwa. — Możliwe, że zostało tylko tych dwóch, a reszta pojechała dalej. Jeśli tak, musimy się dowiedzieć, dokąd się udali. Co do śledzenia... — zastanowiła się przez chwilę, — ...to kuszące, ale ryzykowne. Jeśli rozdzielili się, możemy deptać im po piętach przez parę dni i niczego nie zyskać, bo pozostali oddalą się jeszcze bardziej. Nawet gdyby jeszcze dzisiaj doprowadzili nas do reszty bandy, przysłoby nam stawić czoło sześciu zahartowanym łotrom. A możliwe, że szajka stała się liczniejsza. Ciebie interesuje tylko tych sześciu, którzy byli w Cymmerii, a mnie wyłącznie Aksandrias. Nie mamy po co zadawać się z dwudziestoma czy więcej

obwiesiami.

— Przednie rozumowanie — przyznał Conan. Wypił do dna swój kufel i postawił go na pustym stole. — Kiedy Bossończycy zjawią się po swoje łuki, będziemy śledzić ich do jakiegoś ustronnego miejsca i zadamy im parę pytań.

Przez następną godzinę kręcili się koło wyjścia z zajazdu, udając zainteresowanie grą w kości. Bacznie przyglądali się tłumowi wyrzutek, lecz nie dostrzegli nikogo, odpowiadającego opisom bandytów. Nigdzie nie było żadnych Bossończyków. Conan nie wypatrzył też ani jednego

Gunderlandczyka, ani ciemnoskórego południowca. Aquilończyków było pełno, lecz Kalia twierdziła, że żaden z nich nie jest Aksandriaszem.

— Poznałabym tego gada nawet na dnie studni w bezksiężycową noc —

stwierdziła. Znowu popadła w apatyczny trans, który zyskał jej opinię wariatki.

Nie odzywała się ani słowem, wodziła jedynie pustym wzrokiem po sali. W

pewnej chwili Conan szturchnął ją w bok.

— Popatrz na najwyższy balkon, naprzeciwko nas. Gdy Kalia zrobiła to, o co prosił, dostrzegła dwóch mężczyzn, wychodzących z przylegającego do galerii pokoju, jednego z tych, do których nierządnicze zabierały swoich klientów.

— Wygląda na to, że przedkładają uciechy cielesne nad walki niewolników —

powiedziała.

Narodowość obydwóch mężczyzn nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Byli średniego wzrostu, grubościści, masywni. Brązowe włosy mieli krótko przystrzyżone. Podobni do siebie, z tym, że jeden miał siwe, a drugi jasne włosy. Mieli na sobie stalowe szyszaki i ulubione przez bossońskich łuczników pikowane, gęsto nabijane srebrnymi i brązowymi ćwiekami skórzane kaftany bez rękawów oraz obcisłe bryczesy z brązowej skóry i miękkie, sięgające kolan buty z tego samego materiału. Na lewym ramieniu obaj nosili ciasne opaski ze sztywnej skóry, zdobne w eleganckie żłobienia po zewnętrznej stronie, od środka jednak idealnie gładkie. Chroniły one przedramię przed uderzeniem zwalnianej ciężki. Ich stroju dopełniały zwisające przy pasie krótkie miecze i sztylety.

Obydwaj Bossończycy zeszli po schodach i przemaszerowali przez główną salę. Zamienili parę słów z mężczyzną pilnującym uzbrojenia i odebrali swoje łuki wraz z kołczanami, w których jeżyły się cienkie strzały z lotkami z jaskrawych piór. Schodząc na dół nie zauważyli, że byli obserwowani przez Cymmerianina i jednooką kobietę. Gdy odebrali swoją broń, śledzących ich osób nie było już w zajęzdzie.

Wyszedszy na zewnątrz, Bossończycy ruszyli do swoich kwater.

Przerzuciwszy beztrąsko łuki przez ramiona, rozmawiali przyciszonymi głosami. Ulice w miasteczku nie były oświetlone, jednak na czystym niebie świecił księżyc pomiędzy pierwszą kwadrą i pełnią. Jego światła było dosyć dla łuczników wychowanych w gęstych lasach Bagien Bossońskich. W nocy rzadko palono tam ognie, by nie przyciągać uwagi wszędobyłskich Piktów.

Dwaj Bossończycy weszli parę kroków w wąską uliczkę. To, co zaszło później, było tak nagłe i nieoczekiwane, że nie mieli czasu nawet pomyśleć.

Bez żadnego ostrzeżenia para potężnych dłoni strąciła im z głów szyszaki, schwyciła z boków za włosy i walnęła nimi o siebie. Dwukrotny błysk sztyletu towarzyszył przecięciu pasów z bronią. Z całej siły pchnięto ich na mur.

Rozległ się szmer wydobywanego żelaza, Bossończyków obrócono plecami do ściany. Każdy z nich poczuł na gardle koniec klingi. Rękojeść smukłego, zakrzywionego ostrza tkwiła w dłoni jednookiej kobiety. Drugi brzeszczot był

szeroki i prosty, a trzymający miecz człowiek...

— Cymmerianin! — syknął siwy Bossończyk. — Jakież czarny los przywiódł cię w te strony, psie?

— Gadaj szybko, jeśli chcesz jeszcze chwilę oddychać — powiedział

Cymmerianin. — Nazywacie się Murtan i Ballan?

— Dlaczego mielibyśmy odpowiadać czarnej, włochatej świni i półnagiej dziewczce? — rzucił młodszy Bossończyk. Skrzywił się, gdy koniec trzymanej przez kobietę szabli posunął się minimalnie do przodu, a po jego szyi zaczęła spływać krew.

— Ponieważ macie nasze miecze na gardłach, a nie odwrotnie — powiedziała Kalia. — Zamierzamy wam zadać parę pytań. Odpowiedzcie albo zginiecie, wybór jest prosty. — Jeszcze raz przycisnęła ostrze dla podkreślenia wagi swoich słów.

— Ja jestem Murtan — rzekł starszy Bossończyk. — A to Ballan, i co z tego?

— Szukam was od jakiegoś czasu — powiedział z naciskiem Conan. —

Wymordowaliście pewną cymmeriańską rodzinę. Byli to moi przyjaciele; przybyłem, by ich pomścić!

Bossończyk uśmiechnął się mimo ostrza na gardle.

— Owszem, zrobiliśmy to, i co z tego? O paru czarnych, kudłatych dzikusów mniej. Szkoda, że nie było z nimi ich pędraków.

— Harde sztuki, Conanie — powiedziała Kalia. W dłoni trzymała pasy z bronią obojwóch Bossończyków, którzy wpatrywali się w nie jak umierający z głodu w jedzenie. — Trzeba by poprawić ich maniery. — Przesunęła koniec szabli pod oko swojej ofiary. — Nic nie boli bardziej od wyłupywanego oka.

Ręczę.

— Mów! — warknął Conan. — Możesz umrzeć jak wojownik albo w

męczarniach, ale i tak zginiesz! Gdzie jest reszta tych, którzy napadli na sadybę w Cymmerii? Gdzie

jest Taharka, Aksandrias i dwóch

Gunderlandczyków? Są tutaj, z wami? Murtan wzruszył ramionami, nie spuszczając wzroku ze swojego pasa z bronią.

— Co oni nas obchodzą? Tak, cwany Keshanńczyk nie jest już naszym hersztem, ale gunderlandcy bracia go słuchają.

— A Aksandrias? — syknęła Kalia. — Co z nim?

Mężczyzna utkwiał w niej spojrzenie pełne wyrachowanej śmiałości.

— Pewnie jesteś jedną z tych dziewczuch, którymi bez przerwy się chwali.

Opowiada, jak wykorzystuje je i porzuca zapłakane. Tak, ten oślizgły miastowy panek jeszcze zipie. Z każdym dniem coraz bardziej wkrada się w łaski Taharki.

— Gdzie są? — spytał Conan.

— Wyruszyli na łowy niewolników z Argosańczykami — powiedział Ballan. —

Mają wrócić jutro lub pojutrze.

— Więc to prawda — stwierdził Conan. — To oni porywają ludzi i zmuszają ich do walk w tym zajeździe, prawda?

— Prawda — potwierdził Murtan. — Ten plan wysmażyli Taharka z

Aksandriasem. Używają do tego narkotyków i jakichś czarnoksięskich zaklęć.

Aquilonczyk wyobraża sobie, że jest wielkim czarodziejem, a my mamy słuchać się i łapać niewolników. Niby łatwe życie, ale kiedy staliśmy się dla Keshanńczyka i Aksandriasa za wielkimi prostakami, żeby wtajemniczali nas w swoje plany, postanowiliśmy odejść.

— Dowiedzieliśmy się od nich, czego chcieliśmy — rzekł Conan do Kalii. —

Masz do nich jeszcze jakieś pytania?

— Nie — dziewczyna oderwała ostrze szabli od gardła Ballana. — Tych dwóch nic dla mnie nie znaczy, obchodzi mnie tylko Aksandrias. Rób z nimi, co chcesz.

Odeszła na bok. Conan wyjął jej z dłoni pasa z bronią i rzucił je do stóp właścicieli.

— Macie miecze — powiedział. — Walczcie!

Kalia utkwiała w nim niedowierzające spojrzenie.

— Zabij ich od razu, głupcze! Zależy ci na zemście, czy chwale?

Na ustach wydobywającego miecz Ballana pojawił się wilczy uśmiech.

Dotknął rany na szyi.

— To Cymmerianin, dziewczko. Bardziej obawiałem się ciebie niż tego kudłatego psa.

— Odsuń się, zaraz go usieczemy — powiedział Murtan. — Z tobą zabawimy się później. Masz pokiereszowaną gębę, ale reszta wygląda do rzeczy. Na nic ci się nie przyda żelastwa, które nosisz na sobie.

Rozwścieczona Kalia chciała już atakować, lecz Conan powstrzymał ją uniesieniem dłoni.

— Nie zabiłbym dwóch bezbronnych mężczyzn, ale dwaj Bossończycy nawet z mieczami i w zbrojach nie są bardziej groźni, niż gdyby byli nadzy. Możesz zapytać o to duchy nawiedzające ruiny Venarium, gdzie mój klan trzyma zimą bydło.

Na wzmiankę o Venarium dwaj Bossończycy z gniewnymi okrzykami rzucili się do ataku. Swoje krótkie, odpowiednie do pchnięć miecze, z wąskimi jak osa brzeszczotami i smukłymi końcami, trzymali nisko jak sztylety, by zadawać skierowane w górę sztychy. Ponieważ ich przeciwnik nie miał na sobie zbroi, nie widzieli potrzeby wyprowadzania bardziej złożonych cięć. Conan odsunął

się o krok, trzymając w jednej dłoni dłuższy i cięższy miecz. Nie wiedział, który z Bossończyków zaatakuje pierwszy, dlatego nie trudził się przyjęciem obronnej postawy. Miast tego trzymał spokojnie broń przy boku. Stał

rozluźniony jak wielki, drapieżny kot i była to poza równie zwodnicza. Kalia wstrzymała dech, pewna że Cymmerianin zostanie zabity w jednej chwili.

Wyglądał na zupełnie nie przygotowanego do walki. Nauczono ją, że trzeba walczyć przybierając mnóstwo ceremonialnych póz i wykonując prawie taneczne ruchy. Jej nauczyciele upierali się, że tylko opanowanie wszystkich tych elementów może zapewnić zwycięstwo.

Gdy Murtan dokonał gwałtownego wypadu, mierząc w brzuch Conana, ten w jednej chwili przeszedł od bezruchu do błyskawicznego uniku. Gdy robił krok do przodu, długie ostrze mignęło ukośnie i pomknęło w górę. Conan równocześnie schwycił nadgarstek Murtana tuż za mieczem i szarpnął w bok.

Mknące w górę ostrze trafiło Murtana tuż nad biodrem i rozpruwszy jego klatkę piersiową wyszło pod obojczykiem. Conan tym samym ruchem

kontynuował cięcie, rozcinając policzek Ballana. Drugi Bossończyk zaczął

padać w bok, ale nim to się stało, Conan przestawił stopę, zmienił kierunek cięcia i rąbnął w bark Ballana. Rozrąbawszy łopatkę, obojczyk i żebra, przepołowił serce. Dopiero wtedy uwolnił ostrze od lepiących się do niego tkanek.

Kalia zamrugnęła, nie wierząc, że to, czego była świadkiem, zdarzyło się naprawdę. Uporządkowała w myślach przebieg wydarzeń w ciągu paru chwil, nim wijący się spazmatycznie i charczący na bruku Bossończycy wyzionęli ducha. Walka składała się z trzech ciosów, z czego dwa były śmiertelne.

Wszystkie zadał jeden człowiek, zanim jego przeciwnicy zdążyli podjąć choć w części skuteczną próbę obrony. Nauczyciele mówili jej, że cios z dołu do góry zadany jedną ręką jest najsłabszym z możliwych, ponieważ zależy wyłącznie od mięśni ramienia, podczas gdy najsilniejszy jest skośny z góry do dołu, za którym idzie waga broni i siła całego ciała. Dowiedziała się od nich, że tylko wyjątkowi szermierze potrafią wykorzystywać jeszcze skręt całego tułowia.

Teraz ujrzała, jak za jednym ciosem skórzana zbroja, ciało i kości zostały przecięte jak masło. Sztuka szermierza Conana była znikoma, lecz jego szybkość, siła, wycucie czasu i koordynacja ruchów okazały się niemal nadnaturalne.

— Dwóch mamy z głowy — powiedział Conan, ocierając ostrze. Jednym posuwistym ruchem schował miecz do pochwy. — Teraz czekamy na

pozostałych czterech. Zajrzyj do ich sakiewek, przyda się nam więcej pieniędzy.

Kalia wypatroszyła sakiewki zabitych Bossończyków z zimną krwią i wprawą nieustannie nadstawiającej karku ryzykantki.

— Ludzie nazywają mnie Wariatką Kalią, ale nigdy jeszcze nie widziałam kogoś tak szalonego jak ty! — powiedziała. — Wyprawiliś się w świat pomścić ludzi, którzy nawet nie byli twoimi krewnymi, ale kiedy dopadłeś tych dwóch morderców, nie chciałeś ich po prostu zarębać, jak sobie na to zasłużyli —

popatrzyła na niego z furją. — Byli nie tylko mordercami, ale i łowcami niewolników! Pozwoliłeś im na uczciwą walkę, jak gdyby byli ludźmi honoru!

— Nie uczciwą. Było dwóch na jednego — poprawił ją Conan. — Walka z każdym z nich osobno byłaby dla nich za godna. Byli Bossończykami i znali Cymmerianów. Kiedy oddałem im broń i wyzwiałem do walki obydwu naraz, była to dla nich największa z możliwych obelg. Dobrze o tym wiedzieli. Bądź

pewna, że umierali w najgłębszym wstydzie.

— Nie pomyślałeś... — już miała powiedzieć, że gdyby Conan zginął,

Bossończycy spełniliby swoje pogroźki względem niej. Przeszył ją dreszcz na myśl o dwóch bandytach, odbijających sobie na niej swój gniew i upokorzenie.

Zdusiła jednak wymówki myśląc, że Conan uznałby je za bojaźliwe

marudzenie, niegodne prawdziwej wojowniczkii. — Skąd wiedziałeś, że nie oceniasz ich za nisko? — poprawiła się spieszenie.

Zastanowił się przez chwilę nad jej pytaniem, zsypując do sakiewki odebrane zabitym pieniądze. Gdy ruszyli z powrotem uliczką, powiedział.

— Bossończycy to moi wrogowie, ale są to ludzie honoru. Ci dwaj to łajno, wyrzutkowie swojego ludu, a tacy rzadko bywają dobrymi wojownikami — w jego słowach kryło się nie wypowiedziane przekonanie, że sam jest kimś dużo lepszym, — Do tego, choć Bossończycy są zażarci w obronie, niezbyt dobrze potrafią nacierać. W atakowaniu i kontratakowaniu Cymmerianie są najlepsi na świecie.

Powiedział to z tak absolutnym przekonaniem, że Kalia zdecydowała się zmienić temat.

— Wystarczy nam na długo — powiedziała, podrzucając wypchaną sakiewkę z czerwono barwionej kordawańskiej skóry. — Tych dwóch miało przy sobie więcej złota, niż widuję miesiącami. Gdyby Taharce i pozostałym udało się teraz jakimś cudem wymknąć, możemy ich ścigać jeszcze rok. Dla oszczędności przy dobrej pogodzie możemy zawsze spać pod odkrytym niebem.

— Wyśmienicie — mruknął Conan. — Byłoby źle, gdybyśmy w trakcie

pościgu musieli co jakiś czas starać się o pieniądze. Nic dziwnego, że mieli przy sobie tyle złota. Musieli się nieźle obłowić na wędrowcach, których wymordowali na trakcie.

— Owszem — Kalia wiedziała, że mówi, by zapełnić milczenie. Lepiej się czuła, gdy między nią i Conanem panowała ledwie ukrywana wrogość.

Przysięgła przed ołtarzem Mitry, że już nigdy nie będzie miała nic wspólnego z żadnym mężczyzną. Stało się tak za sprawą Aksandriasa. Za każdym razem, gdy go wspominała, jej niewidzące oko paliło tak jak wtedy, gdy Aquilończyk przyżegł je rozpalonym żelazem.

ROZDZIAŁ 5

Kapłan rzucił trochę ziół na węgiel drzewny, płonący w trójnogu o kształcie trzech splecionych ze sobą węży. Ich łby spoczywały na posadzce, a ogony podtrzymywały czaszkę, w której brakowało sklepienia, zaś podstawa tworzyła misę na węgle. Metal, z którego wykonano trójnóg, pochodził z grobowców królów Valuzji. Nawet węgiel drzewny miał magiczną moc — pochodził z szubienicznych belek. Dym nie unosił się normalnie, ale węzowymi splotami osuwał się na posadzkę.

Kapłan od wielu godzin intonował modlitwy i zaklęcia. Rygory wielkiej magii wymagały wytrzymałości takiej, jak u najpotężniejszych wojowników. Każde słowo musiało zostać wypowiedziane z doskonałym akcentem, bez względu na to, ile razy było już powtarzane.

Długo po północy nad misą uformowała się płonąca kula. Przez dłuższy czas pulsowała i falowała, chwilami stając się jaśniejszą, chwilami prawie całkowicie zlewając się zmrokiem. Stopniowo stawała się coraz wyraźniejsza.

W końcu w jej wnętrzu pojawił się zarys twarzy. Było to ludzkie oblicze, jednak o rysach zbyt idealnych, by mogło należeć do żyjącego człowieka. Wyglądało jak dzieło rzeźbiarza, który dokonał

połączenia najbliższych ideałowi ludzkich rysów. Twarz, chociaż była doskonała, nie była piękna, brakowało w niej ciepła uczuć.

— Od wielu lat nie wzywałeś nas — przemówiło oblicze bardzo archaiczną formą języka protoaquilońskiego.

— Ta pradawna świątynia od pokoleń znajdowała się z dala od

najważniejszych wydarzeń na świecie — odrzekł kapłan. — Miałem czas zająć się własnymi badaniami. Wydaje się jednak, że teraz zawężlają się tu wydarzenia wielkiej wagi.

— Spostrzegliśmy już jakiś czas temu, że pewne ukryte moce starają się dotrzeć do Karutonii, obecnie Crotonu. Kiedy siły te dotrą do punktu przecięcia, może się wydarzyć mnóstwo ciekawych rzeczy. Co masz do powiedzenia?

— Wydarzenia, które miały miejsce do tej pory, wydają się zrazu pospolite, jednak wszystkie próby, które przeprowadziłem, wskazują że to zwiastuny czegoś niezwykłego. Kilka tygodni temu w świątyni zjawił się człowiek, poszukujący pewnych narkotyków i zaklęć. Był to godny pogardy pospolity bandyta, udający adepta Wysokich Kręgów. Nie zadawałbym się w ogóle z tym wyrzutkiem, gdybym w noc przed jego przybyciem nie został ostrzeżony we śnie. Dlatego też udałem, że wzbudził we mnie zaufanie i dałem mu to, czego chciał. Okazało się, że z kompanami czerpią zyski z walk niewolników. —

Kapłan urwał i zaczerpnął głęboko w płuca dymu z misy. — Przedwczoraj zaszło kolejne ważne wydarzenie: pojawiło się dwoje przybyszów. Jeden z nich to rosły, krzepki chwyt z północy. To jeszcze chłopak, ale widać po nim podobieństwo do dawnych królów Atlantydy. Z jego towarzyszką wypalono całą delikatność. Stała się twardą jak stal wojowniczką. Tych dwoje obchodzi wyłącznie zemsta. Gdy tylko się pojawili, odszukali dwóch bandytów i zabili ich. Widziałem to oczami, które mam w każdym zakątku Karutonii. Na razie nie wiem, co oznaczają te wydarzenia. Trudno przypuszczać, by dwójka nędznych istot ludzkich mogła zwrócić uwagę Wyższych Potęg.

— Brak jeszcze niektórych elementów mozaiki — odpowiedziała twarz. —

Masz codziennie mówić nam o rozwoju wydarzeń. Dopóki sprawa się nie rozstrzygnie, poświęcimy więcej uwagi temu, co dzieje się w tym mieście. Bądź

gotów na powrót Panów.

— Wyczekuję tego z niecierpliwością — rzekł kapłan i skłonił się bardzo nisko, dotykając czołem posadzki.

Conan obudził się, wyciągając miecz do połowy. W pokoiku panował

półmrok, rozświetlony jedynie snopem wpadającego przez okno księżycowego światła. Co go obudziło? Stoczywszy się z łóżka pomyślał, że zauważył przy oknie coś, co wyglądało jak ludzka głowa, było jednak o wiele mniejsze.

Dwoma szybkimi krokami podszedł do okna i otworzył szerzej drewnianą okiennicę.

Widać było wyłącznie srebrne w promieniach księżyca dachy miasteczka.

Conan potrząsnął głową i przetarł oczy. Może na parapecie usiadła sowa, której jego nie w pełni rozbudzony umysł nadal podobieństwo do ludzkiej twarzy. Wracając do łóżka minął śpiącą, otuloną w opończę Kalię. Jak zwykle siedziała w kucki z głową na ramieniu, podczas gdy Conan zajmował jedyne łóżko. Zdobyte pieniądze pozwoliły im wynająć pokój w prawdziwym zajeździe.

Coś zamigotało na dywaniku koło dziewczyny. Conan z zaciekawieniem szturchnął to nogą. Zobaczył, że to kombinacja skór, blach i kolczugi, służąca Kalii jako zbroja. Najwidoczniej nawet Wariatka Kalia nie miała tyle samozaparcia, by spać w pełnym rynsztunku. Dziewczyna poruszyła się we śnie. Ruchy Conana były tak ciche, że nie przebudziła się, chociaż spała czujnie jak kot.

Rozbudzony Cymmerianin zaczął bezszelestnie krążyć po pokoju. Cały poprzedni dzień trzymali się w pobliżu Raju Wędrowca, jednak łowcy niewolników nie pojawili się. Było mało prawdopodobne, że opuszczą prowincję w czasie, gdy interes kwitł, dlatego też Conan i Kalia postanowili czekać w Crotonie do ich powrotu lub otrzymania pewnej wiadomości, że ścigani uciekli. Ich największą obawą było to, że bandyci zostaną schwytani i powieszani przez władze, co pozbawiłoby ich słusznej zemsty.

Nie czując ochoty na sen, Conan po cichu podszedł do drzwi. Otworzył je tak, że zawiasy nie zaskrzypiały. Zszedł na dół do głównej izby. W zajeździe panowała cisza, przerywana jedynie stłumionym pochrapywaniem. Dogasające pochodnie nikle oświetlały izbę biesiadną.

Ulice na zewnątrz były ciche i puste. Księżyc prawie zaszedł, budynki rzucały w jego skośnie padających promieniach długie cienie. Jedynymi oznakami życia były łuczywa niesione przez nielicznych wracających z uczt biesiadników.

Conan jakiś czas spacerował bez celu. Stwierdził, że traci czas, i już miał zawrócić do zajazdu, gdy zatrzymał go dochodzący z ciemnego ganku głos:

— Młody człowieku, zatrzymaj się na chwilę.

Conan obrócił się na pięcie, dobywając miecza.

— Kto mówi? Pokaż się natychmiast!

Z wejścia wyłonił się mężczyzna w ciemnej szacie z twarzą ukrytą pod kapturem.

— Naprawdę tak groźnie wyglądam? Nie noszę broni, więc na pewno nie stanowią zagrożenia dla tak wspaniałego wojownika.

Speszony Conan wepchnął miecz do pochwy z takim impetem, że jelec szczęknął głośno o jej brązowy pierścień.

— Kim jesteś, że czaisz się w ciemnych bramach?

— Jestem pokornym kapłanem prawie zapomnianych bogów. Chciałbym ci zadać kilka pytań. Chodź do mojej świątyni, tam będziemy mogli

porozmawiać. Na pewno ci się to opłaci. Lubisz złoto, prawda?

— Tak, ale na razie mam go dość. Dlaczego się mną zajmujesz? Nic nie wiem o twoich bogach — Conan ciągle odczuwał nieufność.

— Chciałbym cię wypytać o bandę łowców niewolników, wśród których jest aquiloński oszust, podający się za czarownika.

— Co o nich wiesz? — zapytał natarczywie Conan.

— Udajmy się do mojej świątyni — powiedział gładko kapłan. — Tam ci wszystko wyjaśnię.

— Tak będzie lepiej dla ciebie — burknął Conan. Posłuchał kapłana wbrew własnej woli i podszeptom rozsądku, ale jeśli wiedział on coś o Taharce i pozostałych, może warto było go wysłuchać. Idąc za mężczyzną w pelerynie z kapturem, Conan nie spuszczał dłoni z rękojeści miecza. Był młody i nie miał

większego pojęcia o cywilizowanych obyczajach, ale nie był głupi. To mogła być pułapka.

Doszedł do wniosku, że kapłan mógł dowiedzieć się tylko w jeden sposób o tym, co łączyło Cymmerianina z Taharką i jego bandą: ktoś widział, że zabił

dwóch Bossończyków! Jeżeli tak, Taharka mógł się o tym dowiedzieć i wysłać tego człowieka, by go wciągnąć w zasadzkę. Nie przerażała go taka perspektywa. Młodzieńczy zapał sprawiał, że był przekonany, iż w razie czego wyrąbie sobie drogę odwrotu, a może nawet zabije czterech pozostałych przy życiu łotrów i w ciągu jednej potyczki dopełni swego zobowiązania. Mógłby wtedy pojechać na południe czy wschód, do Zamory, Turanu lub innych krain, o których nasłuchiwał się od Kalii i innych.

Tego dnia, beczynn timer wyczekując na powrót Taharki, rozmawiał z wieloma handlarzami i przewodnikami karawan. Wręcz spijał z ich ust opowieści o obcych krajach. Nawet tak mała miejscina okazała się ciekawa, ponieważ pełno było w niej przedstawicieli wielu narodów, chętnych do wspomniania rodzinnych stron. Ich opowieści o wielkich miastach, strzelistych wieżach, starożytnych budowlach, grobowcach i pałacach wypełniły Cymmerianina pragnieniem zobaczenia tego wszystkiego na własne oczy.

Gdy skręcili w wąską, brukowaną uliczkę, Conan przyjrzał się uważnie frontonowi świątyni, było jednak zbyt ciemno, by rozróżnić szczegóły. To, że jego towarzysz był kapłanem ani Conana grzało, ani ziębiło. Szczerze nie znosił

czarnoksiężników, ale nie wszyscy kapłani byli nimi. Spotykał kapłanów Mitry i innych bogów, którzy okazali się nie gorsi niż zwykli ludzie. Bogiem Cymmerii był Crom, ale nie służyli mu żadni

duchowni. W pomocnej krainie wyśmiano by pomysł, aby ktoś z urzędu miał pośredniczyć między Cromem i

Cymmerianinami. Conan wiedział jednak, że w cywilizowanych krainach jest inaczej.

Gdy tylko dotarli do świątyni, Conan na nowo poczuł niepokój. Choć nie przestał podejrzewać, że to zasadzka, wolałby jednak rozprawić się z napastnikami z krwi i kości. Na razie nie miał wrażenia, że otacza go wielka, nieczysta magia, przytłoczyła go jednak wyczuwalna nieprawdopodobna wiekowość świątyni. Wydawała się zbyt stara, by mogła być dziełem ludzkich rąk. Ta myśl przeszyła jego duszę lodowatym dreszczem. Nie podobało mu się to miejsce, ale połączenie dumy i ciekawości powstrzymało go przed odwróceniem się na pięcie.

— Jakich bogów czci się tutaj? — spytał Conan oszołomiony niesamowitą architekturą świątyni. Znów odniósł wrażenie, że spogląda na niego miniaturowa ludzka główka, tym razem spomiędzy ornamentalnych łbów węży, stanowiących zwieńczenie kolumn. Zniknęła, nim zdołał upewnić się, że rzeczywiście ją widzi.

— Istoty, którym poświęcona jest ta świątynia, nie są bogami w zwykłym sensie tego słowa — odrzekł kapłan. — Są niewyobrażalnie stare i potężne, ale należą do tego samego Wszechświata, co my. Ich moc jest boska tylko według naszych pojęć. My, ich kapłani, nie czcimy ich, ale kontaktujemy się z nimi.

Wypełniamy ich wolę, a one w zamian obdarzają nas mocą i innymi łaskami.

Nie miało to większego sensu dla Conana. Uważał, że większość

cywilizowanych religii jest niedorzeczna, a ta wydała mu się jeszcze bardziej bzdurna niż inne.

— Jak się nazywają? — zapytał bez większego zainteresowania. Podeszli do misy, w której płonęły nie podsycane niczym zielonkawe, nie dające ciepła płomienie.

— Nasi bogowie nie mają imienia, które mógłby wymówić człowiek.

Określamy ich Pradawnymi lub Wielkimi Potęgami. Najczęściej nazywamy ich Panami. Wszyscy mają swoje tytuły: Ten, Który Narodził Się Z Martwej Gwiazdy, Samobójczy Bóg, i tak dalej. Stygijczycy obdarzają wielką czią Seta, którego uważają za najstarszego z bogów, jednak Stary Wąż Set jest w porównaniu z Pradawnymi niemowlęciem, jedynie namiastką ich potęgi i chwały.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z twoimi bogami — powiedział Conan. Nie mógł oderwać oczu od niesamowitych płomieni. Wyciągnął rękę i przesunął ją przez ogień. Poczuł jedynie lekkie mrowienie. — Co to za ogień, który pali się na zielono i nie daje ciepła?

Kapłan uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

— To jedno z narzędzi do porozumiewania się z naszymi bogami. Bardzo często korzystamy z tego ognia. Ziemski ogień jest jedynie skażoną, prymitywną wersją prawdziwego, niebieskiego.

Conan pokiwał głową, na poły urzeczony płomieniem.

— Tak. Mój ojciec był kowalem. Nauczył mnie wiele o właściwościach ognia.

— Dzięki nim dowiedziałem się paru rzeczy o tobie. — Kapłan wskazał płomienie. — Jesteś inny niż reszta śmiertelników.

— Oczywiście. Jestem Cymmerianinem. To naród lepszy od pozostałych.

— Nie o to mi chodziło. Przed chwilą włożyłeś rękę do najczystszej z płomieni. Gdybyś był zwykłym człowiekiem, w jednej chwili spaliłby ci ją do kości.

— Co?! — Conan otrząsnął się z oszołomienia i obrócił ku kapłanowi. — Nie ostrzegłeś mnie! — zacisnął dłoń na rękojeści miecza tak silnie, że mu zbieleły kłykcie.

Kapłan odsunął się o krok, wystraszony nieokiełznaną gwałtownością w niebieskich oczach młodzieńca. Miał wrażenie, że ma do czynienia z na poły oswojonym tygrysem, w jednej chwili łagodnym i przyjaznym, a w następnej pełnym prymitywnej brutalności. Nie w każdej epoce rodzili się tacy barbarzyńcy. Łatwo było tylko o gwałtownych, lecz bezmyślnych dzikusów, spętanych przesadami. Cywilizowani ludzie żyli natomiast w okowach prawa i podległości, aczkolwiek wielu wyrzutek odrzucało takie zależności. Trudno było o prawdziwego barbarzyńcę, a najtrudniej o takiego, który dobrowolnie porzuciłby swoje plemię i klan, by szukać szczęścia w szerokim świecie.

Tacy jak Conan rodzili się jednak w przeszłości. Przechodzili do legendy i powstawały o nich całe mitologie. Zostawali wodzami, królami, cesarzami.

Wprowadzali nowego ducha w chylące się ku upadkowi cywilizacje. Cechowała ich nieokiełznaną, pierwotną siłą życiową i zdolność do przerażającej gwałtowności.

— Spokojnie! — kapłan uniósł dłoń w kojącym geście. — Wiedziałem, że nic ci się nie stanie. To należy do mojej sztuki. Porozmawiajmy spokojnie, wszystko ci wyjaśnię. Muszę dowiedzieć się o tobie paru rzeczy. W zamian pomogę ci porachować się z tymi, których szukasz.

— Nie wiem, czy jesteś mi potrzebny — rzekł Conan. — i tak wkrótce wrócę ze swojej wyprawy. Wtedy się z nimi policzę.

— Stał może ci nie wystarczyć — ostrzegł go kapłan. — Taharka z Keshanu jest kimś więcej, niż się wydaje, podobnie jak ty. Musisz go zrozumieć, jeśli chcesz go pokonać.

— Po co? — spytał z naciskiem Conan. — Wyzwę go do walki i zabiję. Nic trudniejszego, a duchy moich przyjaciół znajdą ukojenie.

Kapłan zrozumiał, że musi być cierpliwy jeśli nie chce zrazić nieobliczalnego Cymmerianina.

— Gdyby Taharka był zwykłym śmiertelnikiem, to by wystarczyło. Gdybyście jednak obaj nimi byli, nigdy bym się wami nie zainteresował.

— Mów dalej — rzekł ponuro Conan. Nie podobały się mu słowa kapłana.

Dlaczego komplikował prostą sprawę? Musiał jednak dowiedzieć się, czy w jego słowach krył się chociażby ślad sensu.

— Pozwól, że najpierw opowiem ci o twoim ludzie i pochodzeniu.

— Nie jestem poetą, ale pamiętam co nieco — mruknął Conan i zaczął

recytować historię swojego rodu i klanu. Jak większość barbarzyńskich narodów, dla których kwestie pochodzenia odgrywały istotną rolę,

Cymmerianie przywiązywali wielką wagę do genealogii. Aczkolwiek Conan nigdy nie zwracał sobie głowy wkuwaniem jej na pamięć, podobnie jak każdy członek klanu bez trudu potrafił odtworzyć z głowy parę wieków jego historii.

— Dość — powiedział kapłan, gdy przydługa recytacja dobiegła końca. —

Udzieliłeś mi wystarczających wskazówek. Wyciągnij teraz dłoń nad płomień i upuść do niego parę kropli krwi.

— Nic podobnego! — powiedział z odrazą Conan. — Nie ciekawią mnie twoje czary.

— Boisz się stracić parę kropel krwi? — kapłan uśmiechnął się z ironią. —

Nie lękaj się, nie zaczaruję cię. W krwi i ciele kryje się historia całej rasy.

Dzięki mocy moich bogów mogę pokazać ci część przeszłości. To ci wiele wyjaśni.

Conan poczuł się urażony podejrzeniem, że boi się stracić trochę krwi. Ktoś starszy byłby może ostrożniejszy, jednak wiedziony impulsem Cymmerianin wyciągnął rękę nad nie dający ciepła płomień i zaciął się lekko końcem sztyletu. Szkarłatne krople poczęły ściekać w misę. Ku jego zdumieniu nie rozpryskiwały się na jej dnie, lecz niknęły w zielonym blasku.

Kapłan rozpoczął zniżonym prawie do szeptu głosem zawodzącą pieśń.

Młodzieniec znów utkwiał spojrzenie w płomieniach wywierających nań hipnotyczny wpływ. Ogień zaczął zmieniać barwę, w jego głębi pojawiły się rozmyte kształty, stając się w końcu wyraźnymi scenami, których Conan w niewytłumaczalny sposób stał się widzem.

Ujrzał horde ciemnowłosych, jasnoskórych wojowników, pogrążonych w bezpardonowej walce z różnymi przeciwnikami: rudymi, złotowłosymi, ciemnoskórymi, brązowowłosymi. Był to jego lud, toczący boje z Vanirami, Aesirami, Hyperborejczykami i Piktami. Cymmerianie mogliby być jego krewniakami, lecz mieli broń ze spiżu, nie stali. Zorientował się, że widzi przodków sprzed wielu stuleci przed wynalezieniem stali.

Wkrótce ujrzał Cymmerianów z bronią z polerowanego kamienia,

wędrujących po zamarzniętych dolinach nigdy nie topniejących rzek. Ci walczyli z ludźmi, białymi małpoludami i istotami, których nazwy nie znał.

Domyślił się, że w niewytłumaczalny sposób kapłan zabrał go na podróż wstecz po historii jego narodu. Później był świadkiem czasów sprzed zlodowacenia, gdy Cymmerianie ścierali się z rasą niskich ludzi,

przemierzających obszerne równiny na krępych, wytrzymałych kucach.

Następnie obserwował lata spędzane w porośniętych wybijającą dżunglą górach i dolinach, po których snuły się gigantyczne węże, bębny wybijały monotony rytm, a wysocy Murzyni z włóczniami spierali się o pierwszeństwo na szlaku, zawodząc dzikie wojenne pieśni i potrząsając wąskimi skórzanymi tarczami.

Wędrówka w czasie trwała dalej. Zielony płomień ukazał czas kataklizmu, gdy góry wyrzucały z siebie pióropusze ognia i dymu, a płynna skała tworzyła na ich zboczach gorejące strumienie. Morza powstały, by zalać kontynenty, a dno oceanów stało się suchym lądem. Tu też widział swój lud, wiecznie zajęty walką o przeżycie.

Wtem ujrzał ludzi podobnych sobie, ale już nie tak prymitywnych. Mieli na sobie barbarzyńskie stroje z jaskrawego jedwabiu i pióropusze. Stali po kolana w wodzie, odpierając wroga, sądząc po wyglądzie — Piktów. Ci Piktowie używali jednak wielkich, dwukadłubowych łodzi ze skór.

Ujrzał mężczyznę o nieobecnym, cierpiącym wyrazie oczu, siedzącego na tronie i wspierającego podbródek na wielkiej, węźlastej dłoni. Na jego głowie spoczywała korona, a obok tronu stał dwuręczny miecz. Mężczyzna ów był

bliźniaczo podobny do Conana.

Cofał się w czasie coraz bardziej, czując zawrót głowy od tysiącleci, których przyszło mu być świadkiem. W końcu ujrzał leśną polankę, na której gromada włochatych, pół ludzkich istot spoglądała z ciekawością na jedno z dzieci, które było mniej owłosione niż inne i wyglądało na pojętniejsze i rozumniejsze od swojego rodzeństwa.

Następną rzeczą, jaką Conan ujrzał, były znów zielone płomienie.

Wzburzony potrząsnął głową.

— Co to miało znaczyć, kapłanie? Wydaje mi się, jakbym ujrzał całą historię swojej rasy, od czasów, gdy jeszcze nawet nie istniała Cymmeria.

— Tak właśnie było — potwierdził kapłan. — Historia wszystkich przodków człowieka jest zapisana w jego krwi pewniej niż na pergaminie. Ten, kto wie, jak się do tego zabrać, może ją odczytać.

— Jeśli to prawda, to mój lud jest starszy, niż podejrzewa jakikolwiek bajarz.

— Tak jest z większością narodów — rzekł kapłan. — Większość kultur pamięta tylko swoją najnowszą historię, kilka stuleci, najwyżej parę tysiącleci, a przecież ludzie istnieli już wtedy, gdy kontynenty miały zupełnie inny kształt niż obecnie. Twój lud uważa za swoją ojczyznę górzystą, pogrążoną w mgłach Cymmerię. Jednak istnieliście już w czasach, gdy góry Północy były jedynie morskimi wyspami, zamieszkanymi przez dawno wymarłe przedludzkie istoty.

Tak jak myślałem, w twoich żyłach płynie krew królów — zdobywców z Valuzji, Thule i Commorii. W ciągu następnych tysiącleci rasa ta zdegenerowała się do poziomu niewiele przewyższającego małpy, by znów podźwignąć się na barbarzyński poziom kultury, jednak to wciąż ten sam lud.

Conan nie chciał o tym myśleć. Uświadomienie sobie krótkości i banalności pojedynczego ludzkiego życia w porównaniu z taką perspektywą wyrывało człowiekowi grunt spod stóp.

— Co to ma wspólnego z moją misją?

— Wiele — kapłan wskazał drzwi do sąsiedniej komnaty. — Chodź,

siądziemy i porozmawiamy o tym.

Czując się, jak gdyby jechał konno przez wiele dni bez odpoczynku, Conan podążył za kapłanem. Pokój, do którego został wprowadzony, ku jego uldze był

pozbawiony egzotycznego wystroju. Znajdował się w nim ciężki stół z rzeźbionego drewna, dwa także rzeźbione fotele, kredens zastawiony butelkami oraz pucharami i niewiele więcej. Jedyne okno było osłonięte kotarą. Na gest kapłana Conan usiadł w jednym z foteli, zdumiony stopniem swojego wyczerpania.

Kapłan napełnił dwa kielichy z karafki wyjętej z kredensu. Jeden z nich wręczył Conanowi. Cymmerianin czekał, aż kapłan napije się pierwszy. Wino było wyśmienite i odświeżające, o wiele lepsze, niż podły trunk, podawany w zajeździe. Kapłan usiadł.

— Rzuciliśmy okiem w twoją przeszłość — powiedział. — Twój przodkowie brali udział w wielu doniosłych wydarzeniach najnowszej historii. Ostatnio rzadko rodziły się tak wybitne jednostki, jakby bogowie i Pradawni zniechęcili się do trywialnych problemów zwykłych śmiertelników — upił łyk wina i na chwilę pogrążył się w rozmyślaniach. — W ostatnich latach coś jednak się zmieniło. Wśród ludzi pojawiło się kilka osób będących wcieleniami przeznaczenia. Ludzi zrodzonych do rzeczy wielkich, na których spoczęła dłoń bogów, może innych Potęg. Możliwe, że wracają dawne dni chwały. — Jego oczy zabłyśły niezdrowym podnieceniem. Conan pomyślał sobie, że kapłan na pewno oczekuje jakiejś korzyści. — Mój zakon szkoli się w rozpoznawaniu takich ludzi i znaków zwiastujących doniosłe wydarzenia. Wierzę, że jesteś kimś wyjątkowym. Taharka z Keshanu również.

— Taharka to śmiertelnik, tak jak ja — powiedział Conan, dla którego wyjaśnienia kapłana zaczęły być zbyt skomplikowane. — Podobnie dwóch Gunderlandczyków i aquiloński oszust. Kiedy się spotkamy, stal zadecyduje, kto z nas zwycięży. Jeszcze nie spotkałem człowieka, który byłby lepszy ode mnie we władaniu bronią!

— Tu chodzi o coś więcej niż o pojedynek dwóch szermierzy. Ty i twój przeciwnik należycie do osób, które mogą zmieniać losy imperiów! — Po raz pierwszy kapłan przejawiał autentyczne ożywienie. — Musisz pozwolić mi pokierować twoimi krokami.

Conan musiał się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem.

— Północny barbarzyńca i łowca niewolników z Południa? Nie mamy ze sobą nic wspólnego! Może jedno: cywilizowani ludzie wyśmialiby nas, gdyby się odważyli. Nie zrobią tego, bo wiedzą, że kosztowałyby ich to życie. Bogowie na pewno wybierają kogo innego do swoich celów — wypił kielich do dna.

— Rzeczywiście jesteś barbarzyńcą — odrzekł kapłan. — Do tego jeszcze chłopcem. Pokładasz bezgraniczne zaufanie w swojej sile i zręczności, lecz nie zastanawiasz się w ogóle nad innymi swoimi cechami, tymi, które odróżniają cię od pospolitych ludzi. Niewiele mogą dla ciebie zrobić, dopóki nie pojmiesz swojej prawdziwej natury. Pamiętaj jednak: Taharka z Keshanu jest bardzo podobny do ciebie. Jest wychowany w nieco bardziej wyrafinowany sposób i nieźle wykształcony. Mimo to jest barbarzyńcą, ale w odróżnieniu od ciebie nie ma ani śladu sumienia czy skrupułów. Cywilizowani ludzie uważają cię za nieokrzesanego dzikusa, a przecież kierujesz się surowym kodeksem moralnym swojego ludu, Taharka natomiast odrzucił wszelką etykę i zachowuje się tak, jak ma ochotę, niczym się nie przejmując. On nie walczyłby z dwoma Bossończykami i nie walczyłby również z tobą, gdyby podejrzewał, że przegra. Zapewne wynająłby kogoś, by cię zabił albo podrzucił ci truciznę.

Conan podniósł się z fotela.

— Nie dam mu takiej sposobności. Dopadnę go i stawię mu czoło, nim dowie się, że jestem na jego tropie. Dzięki za rady, kapłanie, ale poradzę sobie na swój sposób.

— Powodzenia, młody barbarzyńco — kapłan obdarzył go kolejnym ze swoich lodowatych uśmiechów. — Nie sądzę jednak, że pójdzie ci tak łatwo.

Conan wyszedł na zewnątrz zadowolony, że uwolnił się od przytłaczającej atmosfery świątyni. Ku jego zdumieniu nad miasto zakradał się już świt.

Powietrze wypełniały poranne odgłosy zwierząt i ptaków, czuć było woń pieczonego chleba. Cymmerianin dotarł do zajazdu i wspiał się po schodach.

Wchodząc do pokoiku na poddaszu natknął się na rozwścieczoną Kalię.

— Gdzie się podziewałeś przez całą noc? Założę się, że migdałiłeś się z jakimiś flądrami!

— A co to ciebie obchodzi? — prychnął zirytowany jej władczy tonem.

Gdyby zapytała spokojnie, powiedziałaby jej, co robił.

— Musimy oszczędzać złoto na pościg. Nie możesz przeszastać go na wino i ladacznice!

— Od kiedy to jestem twoją własnością, kobieto?! — krzyknął. — Tropiłem tych ludzi, zanim się spotkaliśmy! Poradzę sobie równie dobrze bez ciebie! I uważaj, do kogo mówisz! — zdarł z siebie pas z bronią i cisnął go na pryczę. —

Chcę się wyspać. Masz mi nie przeszkadzać! — Po namyśle dodał: — Zanim wyjdiesz, przelicz pieniądze. Jak się czegoś nie doliczysz, możesz mnie pokrajać tym swoim zakrzywionym kozikiem.

— Nie omieszkam! — rozległ się brzęk przegarnianych złotych monet, po którym nastąpił głośniejszy łoskot ciśniętej o ścianę sakiewki.

— Jest wszystko! Gdzie byłeś?

— Gdybyś nie była tak bezczelna, powiedziałbym ci — wyciągnął z siennika drażniącą go słomkę.

Dziewczyna wyrzuciła z siebie coś w języku, którego Conan nie zrozumiał, i wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami. Cymmerianin uśmiechnął się ze znużeniem i przewrócił na drugi bok. Nim zasnął, pomyślał, że źle postąpił.

Kalia sama mogła wpaść w tarapaty, zwłaszcza, że była rozzłoszczona. Przez chwilę zastanowił się, czy nie poszukać jej, lecz czuł się za bardzo zmęczony.

Badanie jego przeszłości kosztowało go więcej, niż zrazu sądził. Na Croma! Ta baba potrafiła sobie radzić do tej pory, więc poradzi sobie jeszcze jeden dzień.

Zwalił się z powrotem na pryczę i natychmiast usnął.

ROZDZIAŁ 6

— Musimy skończyć wyprawę w tej prowincji, wodzu — powiedział

Aksandrias, wypatrując z niepokojem pościgu. Schwytyanych niewolników związano i posadzono na końskie grzbiety, by nie opóźniać odwrotu.

— Zgadza się — odrzekł Taharka. — Wydaje się, że nie jesteśmy tu mile widziani.

Jedna z grup Taharki została schwyta na gorącym uczynku przez

nemediańską jazdę. Fatalne opracowanie planu wyprawy spowodowało, że łowcy niewolników i konnica wpadli na siebie na trakcie. Przestępcy nie mogli wytłumaczyć się z obecności związanych i zakneblowanych młodych mężczyzn z miejscowych gospodarstw. Dostrzeżono również samego Taharkę i jego kompanów, ale odległość była tak duża, że ci nie mieli kłopotów z ucieczką.

— A jednak bogowie złodziei i łowców niewolników patrzą na nas przychylnie

— ciągnął Keshanczyk. — Wpadli Argosańczycy i obwiesie, których

zwerbowali w Crotonie. Zawisną na nemediańskich szubienicach, a my możemy spokojnie

przepić ich zapłatę.

— Wciąż możemy być ścigani — odparł Aquilończyk, rzucając kolejne lęklive spojrzenie przez ramię.

— Już dawno minęliśmy granicę — powiedział Taharka. — Nie podążą

naszym śladem. Najwyżej roześlą wieści do wszystkich okolicznych miast i będą dobrze strzec swojej granicy. Zanim ktokolwiek zacznie szukać nas w Crotonie, będziemy już daleko, w drodze do wróżącego wielkie zyski Ophiru.

Nie cieszy cię ta perspektywa?

— Oczywiście, panie. — Aksandrias zaczynał wątpić, czy postępował

rozsądnie, trzymając się Taharki. Keshkańczyk był pozbawiony skrupułów i przebiegły, jego plany okazywały się nader zyskowne, jednak zdawał się sądzić, że siły prawa i sprawiedliwości nie są w stanie mu nic zrobić.

Przyjemność sprawiało mu ryzykowne igranie na krawędzi katastrofy, podczas gdy instynkty Aquilończyka kazały mu zwijać żagle przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Gdyby to on kierował tą wyprawą, kazałby porzucić niewolników na sam widok pościgu i gnać co koń wyskoczy, byle dalej od miejsca przestępstwa.

Gunderlandczycy również sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Rzucali na wszystkie strony ponure spojrzenia, krążyli wokół juczych koni, na których wieziono związanych niewolników. Aksandrias wiedział, że nie ufali mu i byli zawistni o poufałość z hersztem. Nie przejmował się zbytnio ich niechęcią, lecz czuł, że to tylko kwestia czasu, nim któryś z nich wbije mu w plecy sztylet. Nie mógł już dłużej zwlekać. Resztę drogi spędził na obmyślanu planu pozbycia się obu braci.

Wczesnym popołudniem dotarli z powrotem do Crotonu. Odurzili

niewolników narkotykami, żeby nie sprawiali kłopotów. Gdy przejeżdżali zatłoczonymi ulicami, witały ich hałaśliwe okrzyki, Byli sławni spośród tych, którzy gustowali w oferowanej przez nich rozrywce.

Aksandrias zatrzymał konia, zostając w tyle za resztą, i napił zwierzę w kamiennym korycie, do którego lała się woda z fontanny w kształcie maski demona. Spragniony po wyczerpującej jeździe, wychylił się z siodła i zaczerpnął spadającej do poidła wody. Unosząc stuloną dłoń do ust zauważył, że ktoś przygląda się mu z pogrążonej w cieniu bramy. Pijąc ukradkiem przyjrzał się obserwatorowi. W męskiej, a może kobiecej sylwetce było coś znajomego.

Ktokolwiek to był, mimo upału miał na sobie opończę. Na dłoni ściskającej opończę pod szyją błyszczało coś metalowego. Z początku Aksandriasowi wydawało się, że przyglądająca się mu postać ma jedno oko pogrążone w cieniu, gdy jednak wysilił wzrok, dostrzegł, że jest ono zakryte przepaską.

Nie wypatrzył nic więcej, jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że to ktoś, kogo zna. Może powodowała to postawa, może jastrzębie spojrzenie ocalałego oka. Otarł dłoń o skórzaną nogawicę i pojechał dalej.

Jeśli ten nieznajomy miał do niego jakąś sprawę, dowie się tego w swoim czasie. Gdyby groziło mu z jego strony niebezpieczeństwo, wołał zmierzyć się z nim w towarzystwie reszty bandy. W końcu nie po to do nich przyszedł, żeby nie mieli go wesprzeć w potrzebie.

Dołączył do pozostałych w zajeździe. Właściciel oddał im do dyspozycji zaniedbaną, pustą stajnię, wciśniętą w wąski zakątek między tylną ścianą zajazdu i miejskim murem. Najęci ludzie przebudowali stajnię na więzienie dla niewolników, a stajenny dziedziniec przekształcono w plac ćwiczeń, gdzie schwytanych mężczyzn, najczęściej pasterzy lub wieśniaków, uczono podstaw władania bronią. Większość z nich umiała posługiwać się co najwyżej drągiem.

Gdy Aksandrias dotarł do stajni, zobaczył, że dwóch niewolników ćwiczy walkę na sztylety pod okiem nie znanego mu instruktora.

— Kto to taki? — zapytał Taharkę, przywiązując konia obok wierzchowca herszta. — Gdzie Murtan i Ballan?

Bossończyków pozostawiono, by ćwiczyli niewolników. Obaj bracia nie zdradzili swych zamiarów.

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć — powiedział Keshaćczyk. Na jego czole nad orlim nosem pojawiła się sieć zmarszczek. — Czy wiecznie muszą mi służyć prostacy? Powierzyłem tym hultajom najprostsze z możliwych zadań, a oni nawet tego nie byli w stanie zrobić? Tych dwóch moczymordów na pewno chrapie gdzieś w sianie. Dostaną bobu, kiedy się obudzą. — Taharka zsiadł z konia i rzucił wodze stajennemu. Keshaćczyk przechylił się przez ogrodzenie dawnego stajennego dziedzińca i zawołał szkolącego niewolników mężczyznę:

— Hej, ty! Podejdz tu natychmiast!

Mężczyzna obejrzał się przez ramię i trzasnął trzymanym w prawej dłoni biczem. Dwaj drżący z wyczerpania i spoceni niewolnicy rozdzielili się.

Instruktor schował do pochwy trzymany w lewej dłoni krótki miecz.

— Odpocznijcie w cieniu, a ja porozmawiam z waszym panem — powiedział i ruszył w stronę Taharki.

Keshaćczyk, jak to było w jego zwyczaju, bacznie przyjrzał się podchodzącemu mężczyźnie — wysokiemu, szczupłemu, lecz solidnie

umięśnionemu, o prawie brązowej brodzie i włosach barwy ciemnego miodu, niebieskich oczach i prostych rysach, urozmaiconych licznymi bliznami.

Człowiek ten miał na sobie kamizelkę z metalowych łusek, łączonych kolczugą, i wysokie buty,

których wierzchy pokryte były metalowymi listewkami. Poruszał się czujnym, sprężystym krokiem, charakterystycznym dla urodzonego wojownika. Spodobał się Taharce.

— Hyperborejczyk — mruknął jeden z Gunderlandczyków. — Podła rasa.

Keshańczyk uśmiechnął się. Wszyscy ludzie uważali przedstawicieli innych narodowości za gorszych od siebie.

— Pewnie jesteś Taharka — powiedział, zwijając bicz. — Nazywam się Kuulvo. Gospodarz zajazdu najął mnie do szkolenia tych psów w zamian za pokój, wikt i tyle wina, ile zdołam wychlać. Szkoliłem już rekrutów, a ci nie są gorsi. Nie przyniosą ci wstydu w norze, gdy nafaszerujesz ich specjałem twojego szamana.

— Wiesz, jak pracuję? — zapytał Taharka.

— Mam oczy i widzę. Przez trzy dni przyglądałem się walkom. Dobre widowisko, ale widać było fałszywą odwagę. Miejscowi przemytnicy i przewodnicy karawan mogą sobie wyobrazić, że patrzą na zażartą walkę pozbawionych lęku zawodników, ale ja zbyt długo byłem żołnierzem, bym dał się oszukać.

— Co się stało z dwoma Bossończykami, których tu zostawiłem parę dni temu? — zapytał Taharka.

— Musisz zapytać gospodarza zajazdu — Hyperborejczyk wzruszył ramionami. — Słyszałem, że ich zabito, ale nie wiem tego na pewno.

— Zabito!? — wykrzyknął Taharka, i spokojniej już kontynuował: — Wracaj do swojej pracy, dobry człowieku. Podobasz mi się. Porozmawiamy wieczorem.

Przyłącz się do mnie przy stole, kiedy wykąpię się i wypocznę. Chodź, Aksandriasie! — Wchodząc z Aquilończykiem do zajazdu, Taharka mruknął: —

Ten hyperborejski łotrzyk wygląda na cenny nabytek, prawda? Jest silny, potrafi posługiwać się bronią i chyba nie zależy mu, na czym zarabia. Co o tym sądzisz?

— Ludzie umiejący się bić zawsze się przydadzą — powiedział Aksandrias. —

O ile wiedzą, gdzie jest ich miejsce.

— Masz zupełną rację. Nie można dopuszczać, by włązili człowiekowi na głowę — zgodził się Taharka. — Dobrze. Gdzie gospodarz?

Znaleźli go nadzorującego wyładunek wielkiej beki z piwem. Widząc przybyłych, mężczyzna zawołał:

— Ach, wróciliście! Witajcie! Opłaciła się wyprawa?

— Umiarkowanie — odrzekł Taharka. — Argosańczycy i paru naszych

towarzyszy stęskniło się za rodzinnymi stronami i musieli nas opuścić. Chyba już ich nie ujrzymy. Powiedz, co stało się z dwoma Bossończykami, którym powierzyłem opiekę nad niewolnikami? Wracam i okazuje się, że na ich miejscu jest jakiś hyperborejski osiłek.

— Ach, tych dwu... Przykra historia, przyjacielu. Trzy dni temu rano znaleziono ich zarzniętych w jakiejś uliczce. Bez sakiewek.

— Musieli być pijani. Nie byli bynajmniej olśniewającymi wojownikami, ale jakoś sobie radzili — skomentował z niesmakiem Taharka. — Inaczej nie zdołałaby ich zasztyletować szajka jakichś rzezimieszków.

— Moje dziewczki powiedziały mi, że wyszli stąd trzeźwi. Oczywiście mogli wpaść do jakiejś oberży po drodze, ale dlaczego mieliby tracić gdzieś pieniądze, skoro tu mogli pić za darmo? Poza tym, to nie była banda rzezimieszków ze sztyletami. Obydwaj zginęli od strasznych ciosów miecza. Może natknęli się na dawnych znajomych, którzy zdecydowali się porachować z nimi na miejscu.

— To nieistotne — powiedział Taharka wzruszając ramionami. — Nie byli dla mnie wiele warci, a jak widzę, znalazłeś odpowiedniego zastępcę.

— Tak, dzięki łutowi szczęścia. Kuulvo to najemnik, bywał tu już

wielokrotnie. Kompania najemników, w której służył, została rozgromiona w Ophirze, dlatego zdezerterował i wrócił tu trochę wypocząć. Kiedy w sakiewce pokazało się dno, chciał już szukać zatrudnienia w innym oddziale najemników, ale zaproponowałem mu pokój, jedzenie i wino w zamian za szkolenie niewolników do twojego powrotu. Wiem, że zręcznie posługuje się bronią i ma doświadczenie w nauce sztuki walki.

— Dobrze zrobiłeś, gospodarzu — powiedział Taharka. — Rozmawiałem już z tym człowiekiem, wygląda groźnie. Z mojego doświadczenia z mieszkańcami Północy wynika, że to jeden w drugiego piekielnicy.

— Powiedz mi, gospodarzu — spytał Aksandrias — czy zauważyłeś może jednookiego człowieka, który mimo upału chodzi opatulony w opończę?

Widziałem go dzisiaj na targowisku i miałem wrażenie, że mi się przygląda.

— Jednookiego? — powtórzył zaskoczony gospodarz zajazdu. — Nie, ale...

tak! To dziewczyna, a nie mężczyzna! Jest w mieście od trzech czy czterech dni. Nawet niebrzydka, mimo opaski na oku. Niejeden chciał poznać się z nią bliżej, ale zgrabnie posługuje się sztyletem i stalową rękawicą na lewej dłoni.

Gdy i to nie wystarcza do zniechęcenia zalotników, jest jeszcze jej towarzysz, bitny, zadziorny dryblas — gospodarz roześmiał się, wprawiając pokaźne brzuszysko w podrygiwanie. — Powiedziano mi, że to Cymmerianin. Wygląda tak, jakby mógł powstrzymać gołymi rękami

szarżującego byka.

Taharka stanął w drzwiach. Obrócił się powoli.

— Cymmerianin, powiadasz? Jesteśmy zbyt daleko od mglistych wzgórz tej krainy, by oglądać jej mieszkańców.

— Też mi się tak wydaje — potwierdził gospodarz. — Sam nie byłem pewien jego pochodzenia, bo nie widziałem zbyt wielu Cymmerianów, ale tak mi powiedział handlarz, który rokrocznie podróżuje do Asgardu.

— Osobliwe — stwierdził Taharka. — Ale nie mamy co zawracać sobie nim głowy, czyż nie? Chodź, Aksandriasie — surowe spojrzenie powiedziało Aquilończykowi, że na razie zadał dość pytań.

Po wykapaniu i przebraniu się, obydwaj zasiedli do stołu w izbie biesiadnej, sącząc wino i czekając na obiad. Kiedy złoty trunek splukał podróżny kurz, Taharka zwrócił się do swojego zastępcy:

— Jak myślisz, co to oznacza, przyjacielu? Zabito dwóch naszych ludzi, przyglądała się ci jakaś jednooka dziewczka, a w jej towarzystwie pęta się Cymmerianin. Co to wróży?

— Nie wiem, wodzu. Ta dziewczka kogoś mi przypomina, ale przecież kiedy ją zobaczyłem, myślałem z początku, że to mężczyzna — Aksandrias wypił wino do dna i napełnił ponownie kielich. — Nie wiem, co myśleć o Cymmerianinie i śmierci Bossończyków. Prawda, że wyprawiliśmy się do Cymmerii, ale to było wiele tygodni temu. Cymmerianie nie mogliby nas tropić przez tak długi czas.

Poza tym wiadomo, że mieszkańcy tej krainy rzadko wypuszczają się poza jej granice.

— Ten się wypuścił — stwierdził Keshkańczyk. — Bossończycy zginęli od ciosów jakiegoś krępkiego szermierza, a wiemy z własnego przykrego doświadczenia, że Cymmerianie są niezłymi rębajłami.

— Gospodarz zajazdu wspominał tylko o jednym Cymmerianinie.

— Może obu zabił ten sam człowiek. Jeśli tak, należy się z nim liczyć —

Taharka machnięciem ręki uciął dalszą dyskusję. — Nieważne; jeśli powinniśmy się go bać, wkrótce się tego dowiemy. Do tego czasu powinniśmy się lepiej pilnować. To nigdy nie zawadzi.

Ciągle niespokojny, Aksandrias pokiwał głową. W tym samym momencie wystraszył się spostrzegając, że tuż za nim wyrósł jak spod ziemi jakiś olbrzym. Aquilończyk prawie zerwał się na równe nogi, chwytając za rękojeść swojego miecza. Szeroka, naznaczona bliznami dłoń wsparła się jednak o jego ramię i wcisnęła go z powrotem w krzesło.

— Nerwowy jesteś, przyjacielu — powiedział Hyperborejczyk Kuulvo. —

Przyszedłem jedynie potowarzyszyć wam, tak jak o to prosił wcześniej twój dowódca.

— Nie podkradaj się do mnie w ten sposób — prychnął Aquilończyk. — Nie lubię, gdy ktoś drażni się ze mną.

— W życiu nie naraziłbym się tak groźnemu człowiekowi! — odparł Kuulvo, nie starając się ukryć drwiny. Usiadł i wziął kielich.

Taharkę rozbawiła ta słowna potyczka. Zamierzał przyjąć Hyperborejczyka do swojej szajki i wiedział, że zawsze należy pielęgnować wrogość między własnymi ludźmi. Podwładni powinni być lojalni tylko wobec wodza, a nie siebie nawzajem. Dzięki temu jeśli któryś będzie spiskował przeciwko niemu, zawsze znajdzie się ktoś inny, kto go wyda, by zaskarbić sobie łaski herszta.

Nalał Hyperborejczykowi pełny kielich wina.

— Gospodarz powiedział mi, że wróciłeś niedawno z wojny w Ophirze — zaczął rozmowę.

— Istotnie — odparł Kuulvo, jednym haustem opróżniwszy kielich do połowy.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tej wojnie, ponieważ zamierzam niedługo wyprawić się tam z moimi ludźmi. Kto się bije i o co?

— W tej chwili panuje tam zupełne pomieszanie z poplątaniem — powiedział

Kuulvo. — Mniej więcej tuzin wielmożów zawiązało rokosz przeciwko królowi, popiera ich może ze dwudziestu następnych. Wszyscy są gotowi w jednej chwili zmienić stronę, jeśli da im to większe korzyści. Na przykład u mojego ostatniego pracodawcy, Asnana z Khalkatu, stoczyłem trzy bitwy za króla i dwie przeciwko niemu. W ostatniej żaden z nas nie wiedział dokładnie, po czyjej jesteśmy stronie.

— Wyśmienicie! — rzekł Taharka. — Doskonałe miejsce dla takich jak my.

Na pewno tam wyruszymy.

— Na ile zdołałem się przyjrzeć twoim ludziom, niewielu kapitanów najemników zechce was przyjąć w swoje szeregi — odparł Hyperborejczyk.

— Nie to miałem na myśli — rzekł Taharka. — Byłem generałem i nie mam ochoty służyć pod rozkazami byle kapitana. Ponieważ nie obchodzą mnie wewnętrzne kłopoty Ophiru, nie muszę decydować, po której stronie się opowiedzieć. Poza tym wierność jednej sprawie często kończy się nie tylko klęską, ale i zagładą. Wolelibyśmy unikać walki i krążąc po kraju przy sposobności gromadzić kapitały — przemawiał głębokim, wpadającym w ucho głosem, pomagając sobie efektownymi gestami. Pierścienie na jego palcach migotały tęczowo w świetle świec.

— Masz na myśli szaber i rabunek, co? — spytał Kuulvo. — Można zyskać fortunę, jeśli potrafi się przemykać między licznymi krążącymi po kraju armiami.

— Znający Ophir przewodnik i doradca byłby dla nas cennym

sprzymierzeńcem. Wyglądasz na dzielnego człowieka i dobrego szermierza.

Wiem, że skończyły się ci pieniądze i potrzebujesz zajęcia. Proponuję ci miejsce w swojej kompanii. Po tajemniczej śmierci Bossończyków zostało nas tylko czterech, ale nasza liczba wzrośnie, gdy znajdziemy się w Ophirze.

Hyperborejczyk namyślał się przez chwilę.

— Nie zamierzasz zostać tutaj i dalej prowadzić walk niewolników? Można na tym wiele zarobić.

— Znudziła mnie ta zabawa — powiedział Taharka. — Już wkrótce, może pojutrze, wyruszamy.

— Rozumiem. Przez przedstawicieli prawa nawet najlepsze plany biorą czasami w łeb. Tak, miałbym ochotę wybrać się jeszcze raz do Ophiru. W

większości państw panuje w tej chwili pokój. To stan, który mi nie odpowiada

— uśmiechnął się na moment, zaś Aksandrias skulił się wewnętrznie na widok błysku w jego oku. — Jak rekin w oceanie, kieruję się wonią krwi, chociażby była słaba i zalatywała z daleka.

— Tacy ludzie bliscy są mojemu sercu — stwierdził Taharka, wznosząc kielich do toastu. — Witaj wśród nas. Ze mną zostaniesz bogaty i nigdy nie będzie ci brakowało rozrywek.

Gdy przyłączyli się do nich dwaj Gunderlandczycy, Taharka ogłosił przyjęcie Kuulvy w ich grono. Bracia pozdrowili go, z fałszywą serdecznością poklepując po plecach i zapewniając o wiecznej przyjaźni. Żaden z nich nie brał tego poważnie. Bezustannie balansując na granicy katastrofy, bandyci zawsze byli gotowi zdradzić siebie nawzajem, by zachować życie lub po prostu dla zysku.

Oderwawszy wzrok od uczujących współników, Taharka ujrzał nową postać wkraczającą do izby biesiadnej, która już zdążyła się zapełnić. Był to łysy mężczyzna w nieokreślonym wieku, ubrany w osobliwe szaty. Gdy zagadnęła go dziewczka służebna, powiedział coś do niej, ta zaś odwróciła się, rozejrzała po izbie, wyciągnęła rękę, na której pobrzękiwały tanie bransolety i wskazała stół, przy którym siedział Taharka i pozostali bandyci. Mężczyzna w kapłańskiej szacie zaczął przedzierać się przez zatłoczoną salę. Taharka szturchnął

Aksandriasa.

— Znasz tego łysiego, który się do nas zbliża?

Na twarzy Aquilończyka odmalowało się zdumienie.

— To kapłan, który sprzedał mi narkotyki. Ciekawe, czego chce.

Prosta szata kapłana wzbudziła w Taharce nieokreślony niepokój.

Przypominała mu stroje, które widział wcześniej i nie chciał ich nigdy więcej oglądać.

— Taharka z Keshanu? — spytał kapłan, skłoniwszy się głęboko.

— To ja — powiedział herszt przestępców, celowo nie prosząc kapłana, by usiadł. — Czym mogę służyć?

— Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, panie.

— Odpowiada mi to miejsce, a także towarzystwo. Dlaczego miałbym się od niego odłączyć? Ostrzegam cię, mam jeszcze duży zapas leku, który od ciebie kupiłem i nie potrzebuję go więcej.

— To zupełnie inna sprawa — odrzekł kapłan. — Możesz na tym wiele zyskać, jeśli tylko zgodzisz się mnie wysłuchać. Nie zabiorę ci więcej niż godzinę. Wrócisz, nim zaczną się wieczorne atrakcje.

Kapłan patrzył na niego rozkazującym wzrokiem, jednak Taharka nie chciał

ustąpić byle świętoszkowi w obecności swoich ludzi.

— Zawsze jestem chętny do rozmowy o zysku — powiedział obojętnym

tonem. Wstając od stołu, zwrócił się do swoich kompanów: — Zaczekajcie na mnie. Zjem po powrocie.

Aksandrias poczuł niepokój, gdy jego szef odszedł. Nie powiedział Taharce o swoich obawach, związanych z niesamowitą świątynią, ponieważ się ich wstydził. Wzruszył ramionami. Gdyby Taharka nie wrócił, on zostałby przywódcą bandy. O wiele bardziej niepokoiła go tajemnicza jednooka kobieta i towarzyszący jej Cymmerianin.

Taharka wyszedł za kapłanem na pogrążające się w zmierzchu ulice

Crotonu. Idąc do uliczki wybrukowanej wygładzonymi przez czas kamieniami nie zamienili ani słowa. Taharka poczuł, jak gdyby zimna dłoń zaciskała się na jego sercu, gdy ujrzał fasadę pradawnej świątyni. Dlaczego ten głupiec Aksandrias nie powiedział mu o tym? Uświadomił sobie, że dla Aksandriasa, podobnie jak dla prawie wszystkich innych, było to tylko na poły zapomniane miejsce mało znanego kultu. W każdej krainie pełno było takich budowli.

Dotarłszy do wejścia, kapłan odwrócił się i powiedział:

— Jestem kapłanem...

— Wiem jakim bogom służysz — przerwał Taharka, spoglądając bacznie w głąb uliczki. Nikogo nie było widać, ale nie chciał ryzykować. — Wejźmy do środka.

— Rozumiem — rzekł kapłan, gdy znaleźli się we wnętrzu. — Nawiązywano już z tobą kontakt?

— Tak — odparł Taharka, wyciągając sztylet. Wbił go po rękojeść w kark kapłana dokładnie między

kręgi. Nim mężczyzna upadł, Taharka wbił ostrze jeszcze dwukrotnie. Kapłan wyzionął ducha z konwulsyjnym rżeniem.

Taharka rozejrzał się niespokojnie, wycierając ostrze o szatę kapłana.

Rzadko odczuwał lęk, a nigdy wyrzuty sumienia, mimo to atmosfera

przekłętego miejsca kazała mu mieć się na baczności. Podniósł głowę i zobaczył szydercze twarze posągów ludzi-węży. Widział już ich podobizny.

Ukrywając ciało, starał otrząsnąć się z ponurego nastroju. Schwyciwszy nieruchome zwłoki, spowite w prostą szatę, zaciągnął je za jedną z kolumn tak, by nie były widoczne w mroku. Nie miał ochoty szukać bardziej odpowiedniego ukrycia. Tę świątynię odwiedzało najwyżej dziesięciu ludzi rocznie, więc prawdopodobne było, że trup zostanie odnaleziony dopiero po wielu dniach. Do tego czasu zamierzał być już daleko.

Wychodząc pomyślał, że żywiące się padliną psy mogły wywęszyć zwłoki i przyciągnąć ludzką uwagę, więc zamknął za sobą wrota świątyni. Gdy to czynił, wydało mu się, że z jednego z kapiteli w kształcie wężowego łba obserwuje go maleńka ludzka główka. Zadrżawszy zatrzasnął drzwi i szybko odszedł, powtarzając sobie, że nie ma powodów do zdenerwowania. Nawet gdyby odkryto, że zabił kapłana, kto prześladowałby go z powodu usunięcia tak mało znanej osoby? Mimo to nie mógł się uspokoić. Na przyglądającej się mu twarzyczce widniało rozbawienie.

Aksandrias podniósł głowę, gdy Taharka wszedł z powrotem do zajazdu.

Wstrząsnął nim wyraz twarzy herszta. Zadając swoim ofiarom wymyślne tortury Keshañczyk zawsze okazywał niezmałony dobry humor, zachowywał

też spokój w obliczu niebezpieczeństwa, tym razem jednak wyglądał, jak gdyby ujrzał demona. Nim Keshañczyk wrócił do stołu, zdążył przybrać obojętny wyraz twarzy, jednak Aksandrias widział, ile wysiłku go to kosztowało.

— Czego chciał kapłan, wodzu? — spytał. Jego zaciekawienie nie było udawane. Jeśli Taharka miał jakąś słabość, chciał ją poznać.

— Drobiazg — odpowiedział ciemnoskóry południowiec. — Człowieczyna myślał, że może uda mu się sprzedać drugą porcję narkotyków. Proponował

też nowe zaklęcia, ponoć bardzo potężne, ale powiedziałem mu, żeby nie marnował czasu. Wiesz, jacy są ci zbiedniali kapłani, zawsze chcą wyciągnąć pieniądze z naiwnych.

Aksandrias przypomniał sobie, jakie skarby kryły się w pradawnej świątyni.

Zrozumiał, że Taharka kłamie.

— Wszyscy są tacy sami, panie — rzekł.

Taharka zaczął krajać niedawno używanym sztyletem świeżo upieczonego kapłona.

— Set mi świadkiem, umieram z głodu!

Nalał sobie do pełna wielki puchar wina i osuszył go z niezwykłą dla siebie, jak ocenił Aksandrias, szybkością.

— Słuchajcie — rzekł Taharka, kiedy trochę ochłonął. — Nie mogę się doczekać, kiedy wyjedziemy z tej dziury. Z tego, co opowiedział nasz nowy towarzysz, Ophir to miejsce wymarzone dla nas.

Gunderlandczycy pokiwali posłusznie głowami, chociaż w rzeczywistości odpowiadało im słodkie życie w Crotonie. Jak większość im podobnych, nie mieli ochoty się wysilać.

— Prawdę mówisz, wodzu.

Wydarzenia tego dnia były zagadką dla Aksandriasa, lecz czuł on, że gdyby tylko zdołał odkryć, co się za nimi kryło, poprawiłby swoją pozycję. Musiał to jeszcze przemyśleć.

W pograżonej w ciemnościach świątyni coś się poruszało. W cieniach nad rzeźbionymi na kształt ludzi — węży kolumnami przemykały miniaturowe człekopodobne sylwetki, porozumiewając się ze sobą skrzeczeniem,

przypominającym głosy nietoperzy. Jedna z istot zeskoczyła ze swej grzędy pod sklepieniem i sfrunęła z łopotem skórzastych skrzydeł ku nieruchomemu kapłanowi. Mamrotała i cmokała, spacerując obok zwłok, po czym uniosła łeb i wydała donośny zew. W powietrzu rozległ się łopot wielu skrzydeł i dołączyło do niej kilkanaście jej towarzyszek.

Miniaturowe istoty były podobne do człowieka, lecz ich pokryte krótkim, ciemnym futerkiem, twarzyczki stanowiły karykatury ludzkich. Palce rąk i nóg kończyły się czarnymi szponami; miały też gołe, jaszczurcze ogony. Złożone skórzaste skrzydła wystawały im nad głowy.

Po kilku minutach szeptanej narady, istoty przycupnęły w różnych

miejscach na ciele kapłana i rozpoczęły szaleńczą, pełną przeraźliwych wrzasków żalobną pieśń, kołysząc w rytm zaśpiewu głowami i ogonami. Od czasu do czasu któraś z istot zmieniała pozycję, ani na chwilę nie przerywając rytmu zaklęć. Demoniczna ceremonia ciągnęła się nieprzerwanie przez kilka godzin. W końcu ciało kapłana zaczęło się poruszać. W jednej chwili było nieruchome, w następnej ożywiła je seria spazmatycznych podrygów.

Homunkulusy zawyły radośnie i wznowiły swoje zawodzenie. Kapłan zaczął

chwycić powietrze przeciągłymi, charczącymi westchnieniami, jego usta pokryły się pianą i krwią. Gdy po kilku minutach jej wypływ ustał, zaczął

oddychać normalnie.

Zatrzepotały powieki i kapłan otworzył oczy. Przez długie minuty patrzył w górę rozszerzonymi,

nieruchomymi źrenicami. W końcu źrenice zwęziły się, a w spojrzeniu pojawiła się świadomość, po której zaraz przyszło zrozumienie.

Wychudzone oblicze przybrało najpierw wyraz wstrząsu, następnie strachu, i wreszcie ślepego gniewu, po czym na twarzy kapłana pojawił się powoli zwykły, niezmałcony spokój.

Obolały kapłan podniósł się ostrożnie i usiadł, opierając się plecami o kolumnę. Miniaturowe demony zaczęły wirować wokół niego triumfalnie, wywijając kozły i śpiewaniem rozgłaszając swój sukces. Pieśń, zbyt piekielna dla ludzkich uszu, sprawiła że na ustach kapłana pojawił się uśmiech.

— Dobra robota, moi tyci słudzy. Czeka was za to wspaniała nagroda. — Z

jękiem dźwignął się na nogi i oparł na chwilę o kolumnę, zbierając siły. Powrót do życia nawet dla kogoś takiego jak on był wyczerpującym doświadczeniem.

Niepewnie utykając przeszedł do następnej kolumny. Gdy wreszcie dotarł do misy zielonego płomienia, szedł prawie normalnie. Kiedy nachylił się nad szmaragdowym ogniem, siły poczęły wlewać się w jego ciało ze zdwojoną szybkością. Wyciągnął dłoń, pogrążając ją w płomieniu. Palce zakreśliły w ogniu skomplikowany kształt, pozostawiając za sobą jaskrawy rozmigotany ślad.

— Wiesz zatem trochę, Taharko z Keshanu, o swoim przeznaczeniu —

powiedział kapłan, wpatrując się jakby w odległy horyzont. — Lękaś się tego, co ujrzałeś. Bardzo dobrze. Bez względu na twą niechęć i tak się z nim spotkasz.

Jego palce kontynuowały taniec wśród płomieni. Nad misą poczęła formować się twarz.

ROZDZIAŁ 7

Kalia była wściekła. Przez całe swoje krótkie życie bała się mężczyzn i nie ufała im. Potem prawie zawierzyła zwalistemu Cymmerianinowi, ponieważ także szukał zemsty. Okazał się jednak równie fałszywy jak wszyscy inni.

Skoro dla jakichś pokrętnych powodów nie chciał powiedzieć, gdzie spędził

poprzednią noc, nie mogła już na nim polegać. Uznała, że sama poradzi sobie z Aksandriasem. Przecież dążyła do tego jeszcze zanim spotkała Conana.

Krążąc po targowisku rozpamiętywała obrazę, która spotkała ją ze strony Cymmerianina. Ludzie unikali spojrzenia w jej szalone oko. Większą część poranka błąkała się bez celu.

Niewiele miała do roboty, chyba że wróciłaby do pokoju, w którym spał

Conan. Przedtem zawsze potrafiła spędzać długie godziny na beczynnym siedzeniu w kącie, opatulwszy się opończę i nie myśląc o niczym. Ten zwyczaj w znacznym stopniu przysłużył się do rozpowszechnienia opinii, że jest szalona. Wiedziała jednak, że w obecnym stanie ducha nie jest zdolna tak postąpić.

Parę godzin spędziła na miejskim murze. Dzięki temu, że nie było tam nikogo, mogła odpocząć od ulicznego gwaru. Zdjęła opończę i zaczęła ćwiczyć walkę szablą i sztyletem. Parowała wyimaginowane pchnięcia i obracała się, by stawić czoło zachodzącym ją z tyłu przeciwnikom. Zbroja i broń błyskały w nieprawdopodobnie zawitym tańcu. Zachowywała się jak łowna kocica igrająca ze swoją ofiarą.

W końcu przerwała ćwiczenia pokryta potem, łapczywie chwytając powietrze.

Wysiłek uspokoił ją, aczkolwiek ani trochę nie zmniejszył jej gniewu.

Schowawszy broń, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na opończy. Nie

poruszając żadnym mięśniem czekała, aż popołudniowe słońce osuszy pot na jej skórze.

Z medytacji wyrwało ją dalekie rżenie konia dochodzące zza muru. Wyrzała na roztaczającą się na wschodzie pofalowaną równinę. Ujrzała, że do miejskiej bramy zbliża się kawalkada. Z powodu dużej odległości nie była w stanie ustalić, kim są jeźdźcy, lecz skurczona postawa kilku z nich sugerowała, że są związani. Zaczęło jej mocniej bić serce. Wstała, by się lepiej przyjrzeć. Czyżby to byli ci, których szukali? Którego szukała, poprawiła się, potrząsając głową.

Interesował ją tylko jeden człowiek, a całą resztę palicho. Nie obchodzili jej, mogli żyć nawet tysiąc lat.

Jeźdźcy dotarli do bramy. Jeżeli rzeczywiście był to Taharka z bandą łowców niewolników, po drodze do zajazdu musiał przejechać przez główne

targowisko. Kalia błyskawicznie narzuciła na siebie opończę i zbiegła po schodach na ulicę. Zmusiła się do zwolnienia kroku i skierowała ku targowisku. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Dotarłszy do rynku, ukryła się w zacienionej bramie jednego z przyległych domów. Gdy tylko zajęła tę pozycję, na targowisko wjechali witani gromkimi okrzykami łowcy

niewolników.

Zesztywniała, gdy w jej polu widzenia pojawiło się dwóch jasnowłosych jeźdźców. Odpreżyła się nieco, gdy stwierdziła, że żaden z nich nie jest Aksandriąsem. Byli to najwidoczniej gunderlandcy bracia — para północnych wilków, równie groźnych jak najgroźniejsi łotrowie, których przyszło jej spotkać. Dwóch Gunderlandczyków wiodło za sobą szereg koni, dźwigających ludzi ze związanymi rękami. Więźniowie milczeli i wpatrywali się przed siebie pustymi oczami, co dowodziło, że już znajdują się pod działaniem narkotyku.

Widok następnego jeźdźcy zaparł jej dech z podziwu. Górujący nad

pozostałymi, postawny śniady mężczyzna mógł być tylko Taharką. Jechał

dumnie jak król. Jego barwny wyszywany strój wyglądałby absurdalnie na mężczyźnie mniej przystojnym, jemu zaś dodawał splendoru. Widok tego ideału męskości sprawił, że o mało nie przegapiła niższego mężczyzny, jadącego obok Taharki. Dopiero po chwili dotarło do niej, kto to

jest.

Na szczęście jeździec przystanął na chwilę, by napić się z fontanny.

Przyjrząwszy się mu, Kalia stwierdziła, że niewiele się zmienił. Wciąż był

przystojny, jednak w jego rysach pojawiła się przebiegłość i podstępność, przez co stał się odpychający. Niezle trzymał się na koniu; wychylił się z siodła, by zaczerpnąć wody z arogancką gracją. Wtedy ją zobaczył.

Nie ruszała się z miejsca, zbyt dumna, by się kryć. Ujrzała, że się jej badawczo przygląda. Zrozumiała, że jej nie rozpoznał. Mogła się tego spodziewać. Ostatni raz widział ją wiele lat temu i na pewno nie przypominała teraz dziewczyny, którą wtedy była. Ujrzała stropiony wyraz jego oblicza. W

końcu, udając brak zainteresowania, odjechał w kierunku zajazdu.

Kiedy Aksandrias zniknął jej z oczu, Kalia uświadomiła sobie, że cała dygocze. Nie ze strachu, bo go nie odczuwała. Było to przemożne uczucie ogarniające łowcę, który podszedł swoją ofiarę. Całą młodość spędziła na tropieniu tego człowieka. Przez cały czas nie natknęła się na niego ani razu, nie była nawet pewna, czy nie umarł wymykając się zemście. Teraz wiedziała, że jest w jej zasięgu, że nadszedł najważniejszy moment jej życia.

Gdyby była bardziej skłonna do filozoficznych rozważań i mniej ogarnięta graniczącą z szaleństwem obsesją, może pomyślałaby, że dziewczyna zaledwie dwudziestoletnia może jeszcze wiele oczekiwać od życia, i że za wcześnie było spodziewać się już teraz jego najważniejszego momentu. Jednak od tak dawna była ogarnięta pragnieniem zemsty, że podobna myśl nie przyszła jej do głowy.

Gdyby ktokolwiek powiedział jej, że nie warto tracić życia na rozpamiętywanie krzywdy i nienawiść, wyszłaby tę radę jako niegodną.

W świecie Kalii i Conana nie było miejsca na zwykłą codzienną egzystencję i staranne planowanie długiego i owocnego żywota. Były to troski pospolitych zjadaczy chleba. Ci, których serce wzywało do heroicznego podążania drogą królów, musieli wyrzec się marzeń o spokojnym życiu. Jeśli życie miało mieć smak, należało być gotowym oddać je w każdej chwili.

Nic podobnego jednak nie przyszło jej na myśl, gdy przemykała się krętymi uliczkami starego Crotonu. Na przemian zaciskała i rozluźniała pięść na rękojeści szabli, ogarnięta uniesieniem, nieomal ekstazą. Wreszcie miała nieprzyjaciela w zasięgu swej dłoni w stalowej rękawicy!

Wiedziała że ponoszą ją emocje, że oznacza to śmiertelne niebezpieczeństwo dla człowieka mającego stoczyć walkę na śmierć i życie. Ujrząwszy sztyld jakiejś oberży, zanurkowała w niskie wejście, usiadła przy jedynym oknie i zamówiła wino. Popijając schłodzony, wytrawny czerwony trunek, rozmyślała, jakie ma szansę. Jak nauczyli ją mistrzowie szermierki, starała się zapomnieć o wściekłości i beznamiętnie rozważyć stojące przed nią problemy. Gdy z pełną jasnością ogarnie sytuację, będzie w stanie obmyśleć plan, pozwalający dopiąć celu i samej nie zginąć. Jej nauczyciele

podkreślali też, że w pewnych przypadkach, gdy zwycięstwo było niemożliwe, należało zarzucić cały plan. O

takiej możliwości nawet nie chciała myśleć.

Powiedziano jej jednak, że istnieje i trzeci sposób. Można było osiągnąć cel, ale tylko kosztem własnego życia. Należało uciekać się do niego jedynie w najdonioślejszych sprawach, na przykład w sytuacji, gdy trzeba było przekraść się do domu wroga, po czym nie bacząc na straż rzucić się na niego ze sztyletem. Nie można było beztróska decydować się na takie postępowanie, lecz Kalia wolała zginąć dokonawszy zemsty, niż jej zaniechać.

Zastanowiła się, jakie ma szansę. Po śmierci Bossończyków Aksandrias miał

trzech kompanów. Ujrzawszy ich przekonała się, że Bossończycy byli najmniej groźni. Dwóch Gunderlandczyków sprawiało wrażenie wytrawnych

wojowników. Podejrzewała, że mają duże doświadczenie w walce parami. Ktoś, kto samotnie wdałby się z nimi w starcie, nie miałby większych szans.

Keshańczyk wyglądał na jeszcze groźniejszego. Widziała wielu

nieudaczników, u których bojowa poza kryła w istocie strachliwość.

Doświadczenie powiedziało jej jednak, że Keshańczyk rzeczywiście jest tak groźny, na jakiego wygląda. Drobnym gest — poprawienie się w siodle —

wystarczył, by zdradzić koordynację ruchów mistrzowskiego szermierza.

Zastanawiała się przez moment, jaki kaprys bogów sprawił, że tak wspaniały mężczyzna stał się podłym bandytą, po czym odrzuciła to pytanie jako nieistotne. Liczył się tylko Aksandrias. Jak mogła zabić go, sama nie tracąc życia? Poprzedniego dnia odpowiedź na to pytanie była prosta:

porozmawiałyby z Conanem i razem wymyśliliby plan uśmiercenia całej czwórki. Z pomocą Cymmerianina byłoby to wykonalne. Jej duma nie

pozwalала jednak dłużej szukać u niego wsparcia.

Zamordowanie Aksandriasa z ukrycia byłoby względnie proste, ale od razu odrzuciła taki plan. Musiał wiedzieć, z czyjej ręki ginie i dlaczego. Musiał ją sobie przypomnieć. Nic innego nie mogło jej zadowolić. Na nic by się zdało wyzwanie go na pojedynek. Aksandrias wyciągnąłby broń, stając z nią twarzą w twarz, a pozostali ze śmiechem uśmierciliby ją ciosami w jej plecy.

Miała jedną drobną przewagę. Aksandrias jej nie rozpoznał. Mogła zbliżyć się do niego bez obawy, że wie, kim jest i czego się po niej spodziewać. Może nawet zdołałaby do pewnego stopnia zdobyć jego zaufanie. Choć czuła obrzydzenie na samą myśl o tym, wiedziała, że Aquilończyk jest przekonany o swoim zniewalającym wpływie na kobiety. To również można było wykorzystać przeciw niemu.

Słońce zaszło za dach domu naprzeciwko oberży. Stolik, przy którym siedziała Kalia, pogrążył się w cieniu. Czas było iść. Dziewczyna dopiła wino i wyszła z oberży.

Nie ona jedna kierowała się w stronę Raju Wędrowca. Cowieczorne atrakcje przyciągały po zwinięciu targowiska wszystkich spragnionych rozrywki.

Tubylcy pospołu z kupcami z przejeżdżających przez Croton karawan tłoczyli się w wielkim zajeździe, by szukać uciechy, zakładać się i sycić oczy widokiem krwi. Tej nocy Kalia również marzyła o przelaniu krwi.

Jak co wieczór, zajazd rozbrzmiewał zgiełkiem. Kalia wcisnęła parę monet w garść odźwiernego i została wpuszczona do środka. Służebna podeszła do niej z tacą pełną kubków z winem, ale Kalia zbyła ją machnięciem ręki. Za plecami wojowniczkii dziewczka wykrzywiła się szkaradnie. Kalia nie należała do ulubionych gości, ponieważ piła niewiele i zadowalała się wyłącznie przyglądaniem walkom.

Wszedłszy do głównej izby, Kalia wspięła się na zdobną skrzynię z egzotycznego drewna z okuciami z brązu, inkrustowaną kością słoniową. Jak się spodziewała, łowcy niewolników zajęli miejsce przy długim stole koło dołu, w którym toczono walki. Już miała ruszyć do działania, gdy ujrzała, że dołącza do nich piąty mężczyzna. Zdusiła przekleństwo, rozpoznawszy

Hyperborejczyka.

W ciągu spędzonych w zajeździe długich nocy Kalia i Conan dla zabicia czasu oceniali gości pod względem ich przydatności do walki. Zjawiało się tu wielu twardych ludzi, wyraźnie obeznanym z bronią. Było wśród nich wielu strażników karawan, bandytów lub najemników, lecz Cymmerianin uznał, że prawie żaden nie okazałby się wymagającym przeciwnikiem, gdyby przyszło mu z nim walczyć. Jedynym wyjątkiem był wysoki Hyperborejczyk. Conan oznajmił, że nie znosi tej nacji i wszystkich jej przedstawicieli, lecz Kalia wiedziała już, że mieszkańcy północnych krain nienawidzą siebie nawzajem. W

końcu Cymmerianin niechętnie przyznał, że Hyperborejczyk byłby dla niego poważnym przeciwnikiem.

Czyżby Hyperborejczyk chciał się przyłączyć do bandytów? Powtórzyła sobie, że to nie jej zmartwienie. Conan będzie musiał sobie z nim poradzić, kiedy zabierze się do pozostałych przy życiu łowców niewolników. Ona zaś zamierzała zadbać, by wśród nich nie znalazł się Aksandrias. Zaczerpnęła głęboko powietrza, przybrała obojętny wyraz twarzy, i ruszyła ku stołowi bandytów.

Przy stole Taharka siedział pogrążony w rozmowie z nowym podwładnym.

— Powiedz mi, przyjacielu, czy wiesz coś o młodym, wysokim

Cymmerianinie, który tu codziennie przychodzi?

— Cymmerianinie? — Kuulvo uniósł brew. — Widziałem go. Mało rozmowny.

Prawie zawsze jest razem z dziewczyną z przepaską na oku. Któregoś wieczoru pogadałem z nim chwilę o co lepszych momentach walki tam, w dole. To zapewne dobry szermierz, jak wszyscy z jego narodu, ale mimo to jest jeszcze żółtodziobem. Chcesz go zwerbować?

— Myślisz, że stanowiłby dla nas cenny nabytek? — powiedział Taharka, nie chcąc ujawnić powodów swej ciekawości.

— Jest na pewno nie gorszy niż reszta twoich ludzi, ale nasze narody są sobie wrogie. Prędzej czy później doszłoby między nami do walki. Zabiłbym go i nie miałbyś... — urwał, gdy tłum rozstał się, ukazując dziewczynę w opończy z przepaską na oku. — A oto i... — mruknął Kuulvo — ta dziewczyna we własnej osobie. Chyba jej towarzyszy gdzieś się zapodział.

Kalia podeszła do stołu i obrzuciła siedzących beczelnym spojrzeniem jedyne oko, omijając nim Aksandriasa i zatrzymując je na Taharce.

— To ty jesteś cudzoziemcem, który prowadzi walki niewolników? — w jej nieprzyjemnie chrapliwym głosie brzmiało wyzwanie.

— Owszem — powiedział Taharka z zamyślonym wyrazem twarzy. — Chcesz wystawić swojego zawodnika przeciwko mojemu?

— Słyszałam, że dasz sakiewkę złota każdemu, kto podejmie wyzwanie.

Mężczyźni przy stole przestali rozmawiać. Zapadło milczenie. Po całym zajeździe błyskawicznie rozeszła się wieść, że przy stole Taharki dzieje się coś ciekawego. Wszyscy wytężali słuch, by nie uронić ani słowa.

— Proponowałem coś takiego: tysiąc złotych aquilońskich koron za wejście do nory i stoczenie walki z jednym z moich niewolników oraz kolejny tysiąc, jeśli rzucający wyzwanie wyjdzie stamtąd żywy. Jeśli nie, wypłata pierwszej części temu, kogo wskaże przed walką — rzekł Taharka. — Do tej pory nie zgłosił się jednak nikt, kto chciałby stanąć do walki. W czym imieniu przyszłaś? Tego Cymmerianina, o którym już nieco słyszałem?

— Nie — odparła. — Swoim własnym — zrzuciła opończę przez głowę i pozwoliła jej spaść na podłogę.

Przez chwilę panowało pełne zaskoczenia milczenie, po czym rozległy się gwizdy, tupanie i rozproszone okrzyki podziwu. Dziwna kombinacja nagości i zbroi wywołała zainteresowanie przyzwyczajonych do niejednego gości.

— Ty chcesz walczyć w norze? — Taharka potarł nasączoną pachnidłami brodę, zastanawiając się, co może na tym skorzystać.

— Nie ma żadnej szansy, wodzu — mruknął Hyperborejczyk.

— I co z tego? — spytał Taharka ze szczerym zdziwieniem. Zwrócił się do Kalii: — Jaką bronią władasz?

— Tym, co widzisz — powiedziała, wyciągając szablę oraz sztylet i krzyżując ręce na piersi. Polerowane ostrza zabłysły w świetle pochodni, wywołując krwiożercze okrzyki widowni.

Taharka powiódł wzrokiem po twarzach zwróconych w stronę jego stołu. Na wszystkich widniała żądza krwi lub cielesnych rozkoszy. Sytuacja rozwijała się po jego myśli. Co prawda niewolników nie szkolono w posługiwaniu się taką bronią, ale nie miało to większego znaczenia. Nafaszerowany narkotykami człowiek nie mógł poczuć ciosu tak lekkich ostrzy. Gdyby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu dziewczyna zwyciężyła, wywołana tym sensacja warta byłaby straty. Najlepiej zaś, gdyby zginęło obydwójce walczących.

— Jesteś wolną kobietą — powiedział. — Masz prawo stracić życie w sposób, jaki ci się podoba. Przyjmuję twoje wyzwanie. — Słyszając to, widownia podniosła dziki zgiełk. — Stawką będzie opiekować się gospodarz — skinął

głową na tłusciocha, który spiesznie zaczął napełniać sakiewkę złotem ze szkatuły, z góry ciesząc się na myśl o korzyści, jaką mogła mu przynieść ta walka. Wyobraził sobie rozciągnięte na piasku ciało martwej wojowniczkii.

Byłoby to wydarzenie sezonu, podwajające jego zyski.

— Mój człowiek będzie walczyć krótkim mieczem i sztyletem, zgoda? —

powiedział Taharka z błyskiem rozbawienia w oczach. — Nikogo nie

kształciłem w posługiwaniu się szablą.

— Wszystko mi jedno — Kalia wzruszyła ramionami. Dobrze ukształtowane mięśnie barków przesunęły się wdzięcznie pod jej gładką skórą. Taharka zwrócił się do Hyperborejczyka:

— Idź do stajni i wybierz jednego z tych, którzy mieli walczyć dziś wieczorem.

Kogoś szybkiego, kto wie, jak się posługiwać mieczem.

— Jak rozkażesz, wodzu — odrzekł Kuulvo i wyszedł.

— Dzielna kobieto — zwrócił się Taharka do Kalii — wchodząc do dołu musisz mieć pomocnika. Będzie trzymał pochwy na broń, by nie przeszkadzały ci w walce. Powinien także namaścić twe ciało. Taki jest zwyczaj.

— Zwykle nie pozwalam mężczyznom mnie dotykać, jednak jeśli jest taki zwyczaj, zgadzam się. — Natychmiast rozległa się wrzawa chętnych do wypełnienia tego zadania.

— Wspaniale — rzekł Taharka i zwrócił się do jednego z Gunderlandczyków:

— Wolf, przynieś olejek.

— Nie! — Dziewczyna schowała broń do pochwy i podeszła do Aksandriasa.

Obnażone palce prawej dłoni dotknęły jego starannie ostrzyżonej brody. —

Jest najmilszy z was wszystkich. Założę się, że ma też najdelikatniejsze dłonie.

Pozwolisz, że wyświadczy mi tę przysługę? — spytała Taharkę.

W izbie biesiadnej i na przyległych balkonach rozległy się głośnie gwizdy i sprośne komentarze. Taharka wybuchnął rubasznym śmiechem.

— Jak sobie życzysz! Niech ten piękniś czyni wobec ciebie honory.

Aksandrias, nie każ się prosić!

Aquilończyk wpatrywał się w dziewczynę z półotwartymi ustami od chwili, gdy zrzuciła opończę. Nigdy w życiu nie widział tak idealnie ukształtowanego ciała. Lwia muskulatura doskonale podkreślała oszałamiająco zmysłowe kształty. I co z tego, że miała tylko jedno oko? Kiedy przesunęła dłonią po jego podbródku, poprzednie podejrzenia stopniały jak płatki śniegu w pustynnym słońcu. Wstał i, szeroko rozłożywszy ręce, wykonał najbardziej dworski ukłon, jaki potrafił.

— Być na usługach tak pięknej damy to dla mnie zaszczyt.

Mężczyźni nie przestawali czynić lubieżnych uwag, zaś Aksandrias odciągnął

na bok jedną z dziewczek służebnych i kazał jej przynieść buteleczkę perfumowanego olejku. Gdy kobieta wróciła, Aksandrias i Kalia zeszli do dołu, w którym odbywały się walki. Kalia z niezmaconym spokojem wykonała szereg wstępnych ćwiczeń, po czym odwróciła się do Aquilończyka.

— Na co czekasz? Namaść mnie.

Pośród mnóstwa sprośnych zachęt i obleśnych uśmiechów Aksandrias

zaczął nacierać olejkiem barki i plecy Kalii. Dziewczyna uśmiechała się i wyginała przed publiką, równocześnie starając się nie uchylać przed dotykiem człowieka, którego planowała zabić. Aquilończyk natarł jej obnażone lewe udo, trzymając na nim dłoń o wiele dłużej, niż było to konieczne, po czym przeniósł

ją na naprężone mięśnie brzucha. Przesunął kilkakrotnie dłonią po żebrach pod okrytą kolczugą prawą pierś, po czym położył ją na lewej — nagiej. W tej samej chwili stalowa rękawica rąbnęła go w szczękę. Rozciągnął się jak długi.

Wybuchły rozradowane krzyki, które natychmiast ucichły, gdy dziewczyna wyszarpnęła szablę i wymierzyła jej ostrze w gardło Aquilończyka.

— Nie przybyłam tu walczyć z jakimś otępiałym od narkotyku niewolnikiem, ale z tobą, Aksandriasiu! — syknęła. — Wstawaj i walcz!

Aquilończyk dźwignął się na równe nogi, pocierając szczękę.

— Co to ma znaczyć, więdźmo?! Co ci...

— Chcesz zobaczyć dzieło swoich rąk, tchórz? Chcesz ujrzeć, co rozpalone żelazo zrobiło z Kalia? No to patrz! — uniosła przepaskę, ukazując pokrywającą cały oczodół koszmarną bliznę.

— Kalia! — Aksandrias łapczywie zaczerpnął tchu. Jego twarz przybrała popielatą barwę, pojawił się na niej wyraz niebotycznego zdumienia. — Ale ty od dawna nie żyjesz!

— Nie miałaś tyle szczęścia, morderco! — prychnęła, podkradając się ku niemu jak pantera. — Przebiłeś mi gardło sztyletem, przez co nie mogę śpiewać, ale nie umarłam. Wiem, dlaczego myślałeś, że nie żyję. Taka rana powinna była uśmiercić dziewięcioletnie dziecko. Wyciągaj miecz, robaku, albo nadzieję cię na moje ostrze! — skoczyła do przodu, zadając sztych szablą, Aksandrias jednak zdążył uskoczyć i wyciągnąć swoją broń. Dwa ostrza szczęknęły o siebie. Aquilończyk odepchnął się od ściany dołu i zmusił Kalię do cofnięcia się.

— Powinnaś zdechnąć wraz ze swoją matką, ladacznico! Cóż, nie udało mi się wtedy, ale teraz to naprawię!

Zasypał Kalię gradem błyskawicznych ciosów, lecz udało się jej odbić wszystkie. Parując jego ataki, uśmiechała się prowokacyjnie. Wkrótce zaczęła odzyskiwać utracone pole.

Widzowie przywitali niespodziewane widowisko entuzjastycznymi okrzykami.

Taharka przyglądał się walce, gdy podszedł do niego Kuulvo, prowadzący niewolnika na krótkim, umocowanym do obroży na szyi łańcuchu.

— Co się dzieje? — zapytał Hyperborejczyk. — Nie mogli się doczekać walki?

— Wygląda na to, że dziewczka ma jakąś urazę do Aksandriasa. Udało się jej podstępem wciągnąć go do nory.

— Nie brakuje jej talentu — stwierdził Kuulvo. — Możesz lada chwila stracić zastępcę. I bardzo słusznie, jeśli nie potrafi poradzić sobie z dziewczyną.

— Och, nie dopuszczę do tego — powiedział Taharka. — Mimo wszystko muszę dbać o moją reputację. Jak mógłbym zapewnić sobie posłuszeństwo swoich ludzi, gdyby myśleli, że pozwolę im ginąć w honorowych pojedynkach?

Wrzawa zdwoiła się, gdy Kalia przyparła Aksandriasa do ściany. Dokonała wypadu, który przyspiliłby go do desek, lecz udało mu się zrobić unik w bok i pad, których nie powstydziliby się najlepszy akrobata. Jedni widzowie nagrodzili ten manewr okrzykami pochwały, inni gwizdali, widząc w nim oznakę bojaźliwości.

— Dość tego dobrego — powiedział Taharka. — Wolf, Gunter, na dół!

Zakłujcie tę latawicę.

Gdy ponurzy, jasnowłosi mężczyźni zaczęli podchodzić do nory, rozległ się chóralny wrzask protestu: „Nie, chcemy uczciwej walki!” Dwóch

Gunderlandczyków nie zwróciło na to żadnej uwagi. Kalia zakłęła gorączkowo, gdy ich ujrzała. Jeszcze pięć, sześć wypadów i nadziałyby Aksandriasa na swoje ostrze, ale najwidoczniej walczyła za długo. Zamierzała go zabić, nim towarzysze przyjdą mu z pomocą, lecz Aquilończyk okazał się zbyt dobry.

Gdy Gunderlandczycy zbliżyli się do niej z obnażonymi ostrzami, oparła się plecami o skraj nory. Aksandrias stanął obok nich. Wyraz przerażenia na jego twarzy zniknął. Pojawił się zjadliwy uśmiezek. Gdy trzech mężczyzn zaczęło napierać na samotną kobietę, w tłumie rozległy się gniewne krzyki. Zmiana stosunku sił sprawiła, że Kalia zaczęła wyglądać na kruchą i słabą. Wszystkie głosy zamilkły, gdy z balkonu prosto do nory zeskoczył piąty człowiek, lądując jak kot za zbliżającymi się do Kalii mężczyznami. Obrócili się natychmiast, gdy usłyszeli jego przenikliwy okrzyk bojowy.

— Nie pójdzie wam tak łatwo, psy! — ryknął Conan. Może zmierzycie się z kimś, kto woli pić gunderlandzką krew niż piwo!

— Cymmerianin! — warknął Gunter. — Posiekamy twoją padlinę, kudłacz, nim zabawimy się z twoją dziewczką!

Obydwaj Gunderlandczycy natarli na Conana, podczas gdy Kalia ponowiła atak na Aksandriasa. Miała ochotę rozpłakać się z ulgi, nie dlatego, że Conan ocalił jej życie, lecz dlatego, że dzięki niemu zyskała jeszcze jedną okazję uśmiercenia swojego wroga.

W całym zajeździe zatrzęsło się od gorączkowych okrzyków zachęty do walki i obstawianych zakładów. Jedyne dwóch ludzi obserwowało rozwój wydarzeń z zimną krwią.

— Mam im pomóc, wodzu? — spytał Kuulvo.

— Nie — odrzekł Taharka, pocierając brodę upierścienionymi palcami. — W

sześciu byłoby tam za tłoczno. Zbyt łatwo mógłbyś ciąć kogoś z naszych. Nie, trzech ludzi na pewno da sobie radę z tą parą.

— Nie byłbym taki pewien — powiedział Kuulvo. — Ten Cymmerianin nawet dla mnie byłby trudnym przeciwnikiem.

W norze wrzała walka, żaden z szermierzy nie pogodziłby się z innym wynikiem niż śmierć przeciwników. Nie było szans na zmiłowanie.

Gunderlandczycy równocześnie zaatakowali Conana. Z trudem sparował ich nadlatujące ze świstem ciosy. Trzymał oburącz rękojeść, lecz nawet jego szybkość i pewność ruchów ledwo wystarczała do blokowania deszczu wściekłej stali.

Gdy jeden z braci zderzył się z rozgorączkowanym Aksandriaszem, Conan dostrzegł szansę dla siebie. Nim Wolf zdołał odzyskać równowagę,

Cymmerianin zadał poziome cięcie na wysokości pasa, rozcinając zbroję i zaścielając całą arenę trzewiami. Gunter ryknął z wściekłości i rzucił się do ataku ze zdwojoną furją.

Znalazłszy się w korzystniejszej sytuacji, Conan bez większej trudności parował ciosy przeciwnika. Gdy już szykował się do zadania rozstrzygającego walkę ciosu, pośliznął się na zaścielających dno nory skrwawionych jelitach.

Dzięki wspaniałej koordynacji ruchów nie upadł, ale przegięty w tył odsłonił

się całkowicie. Uśmiechając się dziko, Gunter rzucił się naprzód i wznosił

ostrze do cięcia mającego przerąbać Conana na pół.

Nacierając na Kalię, Aksandrias wychylił się za bardzo do przodu. Bijąc ręką szablą powaliła go na ziemię. Był całkowicie bezradny, podczas gdy dziewczyna zwlekała z decydującym pchnięciem, sycąc się swoim triumfem.

Wtedy ujrzała wzniesiony nad Conanem miecz. Nie namyślając się, odwróciła się od Aksandriasa i wbiła lewą dłoń sztylet pod pachę Gunderlandczyka.

Ostrze zachrobotło najpierw o kość, później bez oporu weszło po rękę.

Gunter znieruchomiał, po czym wydał z siebie agonálny krzyk. Ucięła go, błyskawicznie chlastając szablą po jego gardle.

Odwróciwszy się ujrzała, że Aksandrias gramoli się po stopniach, by uciec z nory. Krzyknęła z gniewu i rzuciła się za nim w pościg. Conan podążył tuż za nią. Na ten widok zgromadzeni w zajęzdzie zaczęli jeszcze głośniejsze dodawać im ducha. Podbiegł do nich gospodarz zajazdu ze spurpurowiałą twarzą.

— Pięć tysięcy! — krzyczał. — Pięć tysięcy za każdą noc, jeśli zgodzicie się walczyć w norze! Wszyscy będziemy bogaci!

Conan powalił go ciosem na odlew.

— Krew lepszych od ciebie spłynęła po dnie tej nory! Gdzie łowcy

niewolników?! Dawajcie ich tutaj! — obrzucił ciżbę rozgorączkowanym spojrzeniem. Trudno było cokolwiek dojrzeć między rojącymi się i

wrzeszczącymi gapiami.

Po drugiej stronie sali Taharka, Kuulvo i Aksandrias naradzali się spiesźnie.

— To demony, panie! — Aksandrias nie mógł złapać tchu. — Znikajmy stąd!

— Twoje rady są lepsze od szermierki — odrzucił Taharka. — Co więcej, tłum może zwrócić się lada chwila przeciwko nam. Aksandriasie, przyprowadź

nasze najlepsze wierzchowce. Zbiorę tyle złota, ile zdołam. Kuulvo, chodź ze mną!

Conanowi wydało się, że dostrzegł Taharkę. Zaczął przedzierać się pomiędzy gośćmi śladem bandyty. Kalia następowała mu na pięty. Gdy przecisnął się na drugą stronę izby, przy drzwiach wybuchło zamieszanie. Tych, którzy stali przy wejściu, wpychała głębiej grupa nowo przybyłych mężczyzn. „Ludzie króla! Ludzie króla!”, rozległy się okrzyki stłoczonych gości.

W tłumie zapanowało milczenie, gdy do środka wkroczyli żołnierze. Pierwsi dwaj byli oficerami, jeden w nemediańskiej zbroi, drugi w barwach aquilońskiej gwardii królewskiej. Za nimi widać było żołnierzy z mieczami i partyzanami o grotach najeżonych hakami.

— Spokój! Cisza! — krzyknął aquiloński kapitan. — Szukamy bandy łowców niewolników, grasującej na terenach obu naszych królestw. Wszyscy mają tu zostać, a my się rozejrzemy.

Oczy nemediańskiego oficera rozszerzyły się ze zdumienia, gdy powiódł

spojrzeniem po gościach zajazdu.

— Niech Mitra będzie pochwalony! Zebrała się tu połowa szubieniczników z pogranicza! Pilnujcie ich, żołnierze. Nagrody za złapanie tych łotrów wystarczą dla was wszystkich.

Gdy królewscy żołnierze rzucili się do środka, w zajeździe zapanowało istne pandemonium. Przestępcy wyskakiwali przez okna, wspinali się po belkach podtrzymujących balkony, zmykali do piwnic lub starali się przedrzeć przez żołnierzy. Pochodnie wyrwano z uchwytów i wrzucono do fontanny. W izbie zapanowały ciemności.

Kalia chwyciła Conana za ramię.

— Chodź, musimy wymknąć się stąd. Zgarniają wszystkich; miesiące miną, nim dojdą do ładu, kogo wsadzili do lochów.

— Gdyby do tego doszło, zgubimy ślad Taharki i Aksandriasa — odparł

Conan. — Chodźmy.

Wziął ją za rękę i zaczął przepychać się ku najbliższym schodom. Drogę w górę torował sobie siłą, czasem po prostu chwytając zagrządzającego mu przejście człowieka za pas i wyrzucając go przez balustradę lub za siebie. W

ten sposób dotarli do najwyższej galerii. Za nimi na schody zaczęli się wdzierać żołnierze. Conan chwycił za ramię jedną z dziewczek służebnych.

— Mów szybko, jak można wydostać się na dach?!

— Nie można! — zawołała przerażona dziewczyna. — Mój pan bał się, że niektórzy będą starali się wymknąć bez płacenia.

— A nich ich wszystkich Crom porwie! Kalia, zaczekaj tu chwilę.

Wskoczył na balustradę balkonu, mimo półmroku poruszając się pewnie jak górski kozioł. Wspiął się na palce i sięgnął do skraju dachu. Stwierdził, że ledwie dotyka palcami desek obitych ołowianą blachą. Kalia patrzyła z zapartych tchem, jak podskoczył, chwycił belkę, rozkołysał, wypchnął w przód i wykonawszy półobrót, padł brzuchem na dach. Usłyszawszy tupot podkutych żelazem butów, obróciła się i zobaczyła wyłaniających się z ciemności królewskich żołnierzy. Jeden z nich zmrużywszy oczy spojrzał w jej stronę i zawołał:

— Tam jest jeszcze jeden! Łapcie go!

Gdy rzucali się w jej stronę, Conan wyciągnął w dół rękę. Zdesperowana Kalia chwyciła jego grube przedramię nad ciężką, brązową bransoletą.

Napiąwszy mięśnie, Conan podciągnął ją w górę. Jeden z żołnierzy wyciągnął

rękę, by ją złapać za pas, jednak nie udało mu się wsunąć zań palców i został

z pustą garścią. Gdy Kalia zatoczyła łuk nad dziedzińcem zajazdu, żołądek podszedł jej do gardła, moment później jednak leżała już plackiem na zimnym ołowianym dachu obok Conana. Mimo poprzednich wyczynów Conana, i tym razem była zdumiona niezwykłą siłą Cymmerianina. Pod sobą usłyszała zaskoczony głos:

— Gdzież on się podział? Na Seta, ten łobuz miał najgładszy tyłek, jaki wymacałem u mężczyzny!

Kalia i Conan zatkali usta, by nie roześmiać się na głos.

— Chodź! — szarpnął Conan. — Musimy wrócić do naszego zajazdu, zostały tam konie i rzeczy.

Kalia podniosła się i podążyła za nim skrajem dachu. Między zajazdem i sąsiednim domem rozpościerała się wąska uliczka. Było ciemno, lecz i tak zakreśliło się jej w głowie na myśl o wysokości dzielącej ją od ziemi.

— Skacz! — rozkazał Conan — To niedaleko.

— Nie! — potrząsnęła głową. — Wolę stal. Zejdę na dół i wywalczę sobie odwrót.

— Skoro nie chcesz skoczyć... — chwycił ją za obydwa podtrzymujące jej zbroję pasy — ...to musisz polecieć, moja ptaszyno!

Pisnęła ze strachu, gdy uniósł ją i zaczął kołysać w tył i w przód. Poczowała przerażającą nieważkość, gdy wypuścił ją z rąk. W chwilę później spadła na strzechę sąsiedniego domu. Zaczęła się

ześlizgiwać, jednak udało się jej wyhamować zsuwanie, nim dotarła do skraju dachu. Nagły wstrząs obok oznajmił o dołączeniu do niej Conana.

— Teraz na drugą stronę — rozkazał.

Wgramoliła się za nim na grzbiet dachu i przelazła na drugi spad. Na szczęście ten budynek sąsiadował bezpośrednio z następnym, o płaskim dachu. Gdy go pokonali, zorientowali się, że ten z kolei przylega do miejskiego muru. Po krótkim biegu dotarli do własnego zajazdu. Weszli do środka oknem na najwyższym piętrze.

Gdy znaleźli się w swoim pokoiku, szybko zebrali rzeczy. W oddali wciąż było słychać nie słabnącą wrzawę.

— Na Croma, dziewczyno — powiedział Conan. — Kiedy się obudziłem i zobaczyłem, że ciebie nie ma, nie przejąłem się. Dopiero kiedy zaczęło się ściemniać, doszedłem do wniosku, że może strzelił ci do głowy jakiś szalony pomysł. Miałaś szczęście, że dotarłem do „Raju Wędrowca” na czas.

— Powinnam być na ciebie zła, jednak uratowałeś mi życie, więc jestem twoją dłużniczką — odparła, wpychając do sakwy ostatnie rzeczy.

— Ty uratowałaś moje, więc jesteśmy kwita. W każdym razie udało mi się zabić Gunderlandczyka. Szkoda, że tylko jednego, ale w tych okolicznościach to i tak nieźle. Chodź, znikajmy stąd, nim żołnierze obstawią bramę.

Zeszli do stajni i osiodłali śpiące wierzchowce. Tak szybko, jak tylko mogli w ciemnościach, dojechali do bramy. Stwierdzili, że nie musieli się martwić.

Przestępcy uciekali z miasta konno i pieszo, w takiej liczbie, że wojska królewskie nie miały żadnej szansy powstrzymać tej wędrowki narodów. Po drodze Kalia zerwała opończę z jednego z uciekinierów, by zastąpić tę, którą porzuciła w Raju Wędrowca. Niebawem rozplynęli się w bezksiężycowej nocy.

Kuulvo i Aksandrias jechali za swoim hersztem. Za nimi Croton niknął w ciemnościach. Wysoki Hyperborejczyk zdążył zauważyć, że Taharka garbi się w siodle. Czyżby został ranny w trakcie pośpiesznej ucieczki z zajazdu, a potem z miasta? Zrównał się z Keshanńczykiem. ujął go za bark i wyprostował. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że Taharka zaśmiewa się tak, że po jego policzkach spływały łzy.

— Widziałeś kiedyś coś podobnego? — zapytał Keshanńczyk, kiedy zdołał

złapać oddech. — Chaos i zamieszanie! Tak, na tym właśnie polega życie, przyjacielu. Tylko krew i szaleństwo sprawiają, że cała reszta jest warta zachodu!

Zastanowiwszy się nad jego słowami, Kuulvo również roześmiał się serdecznie.

— Tak, wodzu, masz rację! Widzę, że trafiłem na kogoś, kto patrzy na świat tak samo jak ja.

Obydwaj długo nie mogli pohamować szaleńczego śmiechu.

Aksandrias cieszył się z tego, że uszedł z życiem oraz że nie musi już zawracać sobie głowy Gunderlandczykami. Doszedł jednak do wniosku, że znalazł się w towarzystwie dwu szaleńców. Westchnął i potrząsając głową skierował się za nimi ku skrwawionym ziemiom Ophiru.

Gdy przestali obawiać się pościgu, pozwolili koniom iść stępa. Nie było sensu jechać przez całą noc, więc wybrali na obóz polankę przy niewielkim strumyku. Pełno było tu uschniętego drewna. Kalia przy pomocy krzemienia i stali rozpałała ognisko, podczas gdy Conan spętał wierzchowce i wytarł je do sucha. Gdy skończył, Kalia siedziała przy ognisku, podłożywszy pod siebie zwiniętą opończę. Uśmiechnął się, patrząc na nią z aprobatą.

— Pięknie wyglądałaś w norze. Pewnie dzięki temu olejкови.

— Widziałeś wszystko?

— Czegoś takiego nie mogłem przepuścić — odparł. — Gdybyś walczyła tylko z Aksandriąsem, nie wtrąciłbym się. Kiedy Gunderlandczycy wskoczyli do nory, wiedziałem, że nie mogę czekać bezczynnie.

— Patrzyłeś, kiedy pokazywałam, co zostało z mojego oka? — jej chrapliwy głos zabrzmiał osobiwie słabo.

— Wojownicy mają wiele ran, którymi się szczycą. To, że wyszłaś z tego żywa, mimo że byłaś zaledwie dzieckiem, świadczy, że płynie w tobie krew wojowniczkii.

— Dziękuję, że to powiedziałaś — oparła się na łokciu. Jej naoliwione ciało połyskiwało w świetle ogniska, a twarz miała nieobecny wyraz. — Moja matka była wdową. Bardzo samotną i bardzo bogatą. Mieszkałyśmy w pięknym domu w Tarancji. Pewnego dnia złożył nam wizytę młody przystojny mężczyzna —

Aksandrias. Pochodził z przyzwoitej rodziny. Twierdził, że był przyjacielem mojego ojca. Moja matka była równie ufna, jak samotna. Wkrótce ten gad odwiedzał ją codziennie. Gardziłam nim, ale matka nie pozwalała mi powiedzieć o nim złego słowa. — Zaczepnęła z drzeniem głęboki haust powietrza i kontynuowała: — Któregoś dnia wróciłam do domu od sąsiadów i znalazłam dwóch służących w kałużach krwi. Pobiegłam do pokoju matki.

Zastałam tam Aksandriasa i jeszcze dwóch mężczyzn. Matka siedziała naga, przywiązana do krzesła. Torturowali ją, wrzeszczeli, by powiedziała, gdzie ukryła pieniądze. Nim zdołałam uciec, Aksandrias złapał mnie, podniósł w górę i pokazał matce. Wyjął z ognia rozpalony do czerwoności sztylet i zbliżywszy go do mojej twarzy zagroził jej, że oślepi mnie, jeśli nie będzie mówić. Matka była tak przerażona, że straciła mowę. Aksandriasowi to się nie spodobało i przyłożył mi sztylet do oka. — Conan nic nie powiedział. Kalia mówiła dalej: — Straciłam świadomość. Potem obudził mnie potworny ból, lecz to, co zobaczyłam na krześle, było jeszcze gorsze. Nie uwierzyłabym, że to

moja matka, gdybym jej wcześniej na nim nie widziała. Próbowałam krzyczeć, ale nie mogłam. Prawie cały dzień minął, nim zdołałam dowlec się na ulicę i wezwać pomoc. Krewni przyjęli mnie do siebie i zadbali, bym otrzymała porządne wykształcenie. Mimo braku oka i okaleczonego gardła liczyli, że rodzinne koneksje zapewnią mi dobre małżeństwo. Nie musieli się martwić —

położyła dłoń na rękojeści szabli. — To mój małżonek.

— Chłodny związek — powiedział Conan.

— Ale odpowiada mi. Kiedy stwierdziłam, że wystarczająco długo uczyłam się szermierki, pożegnałam się z rodziną i wyruszyłam na łów. Tamtych dwóch dopadłam w ciągu roku. Nie umarli szybko, choć na pewno nie doznali nic podobnego do tego, przez co przeszła moja matka.

Conan ujął jej dłoń i podniósł ją z ziemi.

— Oboje dopełnimy naszej zemsty — przysiągł. — Dziś w nocy zapomnijmy jednak o tym.

Nim wtuliła się w jego ramiona, oparła dłoń na jego piersi.

— Zaczekaj. Czy wśród tych, których chcesz pomścić, była bliska ci dziewczyna?

— Tak — powiedział. — Ale ona już nie żyje. Zgniótł ją w ramionach, czując na piersi chłód jej kolczugi. Ten chłód nie trwał długo.

ROZDZIAŁ 8

Przed nimi rozpościerały się trawiaste równiny Ophiru. Nie był to step, jak dalej na wschodzie. Ophirskie równiny były łagodnie pofalowane, często przetykane grzędami niewielkich wzgórz, gęsto poprzecinane strumieniami i niewielkimi rzekami.

— To wielki kraj — powiedział Conan. — Zgubiliśmy ślad. Jak zdołamy ich odnaleźć?

W jego głosie nie brzmiało zniechęcenie. Byłby zadowolony, gdyby mógł

krążyć po tych równinach nawet do końca życia.

— Znajdziemy ich — zapewniła Kalia. — Błąkanie się bez celu po Ophirze w nadziei, że o nich usłyszymy, byłoby stratą czasu. Zamiast tego zaczekamy, aż sami na nas wpadną, albo dotrze do nas wieść o nich. Tacy ludzie nie mogą długo przebywać w jednym miejscu, by nie zaczęło się o nich mówić. Moja rada jest taka: jedźmy do ogarniętych wojną prowincji. Tam woń padliny z pewnością przyciągnie te sępy. Wybierzmy spore miasto, w którym przecina się kilka dróg. Na targowiskach takich miast można usłyszeć plotki z całego kraju.

— Rozumiem. — Conan pokiwał głową. — Jeśli zjawią się w tej prowincji, wcześniej czy później usłyszymy o ciemnoskórym południowcu, dowodzącym bandą grabieżców. Myślałaś już o jakimś konkretnym mieście?

— Nigdy nie byłam w Ophirze. Myślę, że wystarczy, jeśli pojedziemy dalej tym traktem, a niedługo dotrzemy do celu.

Spięli konie i zjechali z aquilońskich wzgórz na równinę.

Trakt — w tym miejscu już tylko zwykła droga — wkrótce zawiodła ich do pogranicznej wioski. Była to okolica zbyt odległa, by stać się przedmiotem zainteresowania walczących stron, lecz z wioski prowadził szerszy gościniec do handlowego miasta na granicy obszaru ogarniętego wojną. Tu też nie było jeszcze większych zniszczeń, lecz wiele oznak świadczyło o trwającej walce.

Przy drodze i w mieście widać było wielu wypoczywających rannych i kalekich żołnierzy. Owce i bydło zostało przegnane z okolicznych pastwisk na wyżej położone polany w nadziei, że przegapią je oddziały aprowizacyjne.

Nikt się nie dziwił, że para jeźdźców rozpytywała o drogę do ogarniętych wojną terytoriów. Sądono, że Conan jest poszukującym zajęcia najemnikiem.

Większość pytanym o drogę ludzi myślała to samo o jego towarzysze, ponieważ mało kto na pierwszy rzut oka orientował się, że okutana w opończę i srogo wyglądająca postać o jednym oku to kobieta.

Pomiędzy miastami dla urozmaicenia pożywienia polowali na okolicznych pagórkach. W bagażu Kalii znajdował się krótki, myśliwski łuk. Jej łucznicze talenty oraz sprawność Conana w posługiwaniu się włócznią i procą zapewniały im częste posiłki ze świeżego mięsa. W spokojniejszych czasach miejscowa szlachta i ich leśnicy ścigaliby kłusowników, jednak wojna uniemożliwiała pilnowanie takich drobiazgów.

Conan opowiedział Kalii o rodzinie Halgi, Naefie oraz o jatce, jaką sprawiono w niewielkiej cymmeriańskiej sadybie. Poza tym niechętnie opowiadał o swojej przeszłości. Kalia była tak pochłonięta swoją misją, że wystarczyło jej, iż Conan wyprawiał się w podobnym celu. Nic innego nie mogło ich bardziej połączyć.

W końcu dotarli do miasta Leukty. Leżało ono na równinie u styku trzech dużych i kilku mniejszych dróg, łączących główne trakty handlowe. Mury miejskie były wysokie i solidne. Nad basztami powiewały proporce jednego ze znaczniejszych satrapów. Mimo że miasto leżało w środku ogarniętych wojną ziem, jedynie wielka armia mogła liczyć na jego zdobycie.

— Chyba znaleźliśmy właściwą grzędę — powiedziała Kalia. — Widzisz, na murach aż jeży się od włóczni i zbroi. Założę się, że w tym mieście jest garnizon trzykrotnie liczniejszy niż zwykle. Tu zaczekamy na wiadomości o Aksandriasi i reszcie bandytów.

W jej głosie pobrzmiwał smutek, bowiem dotarcie do miasta oznaczało koniec ich krótkotrwałej idylli na trakcie.

— Tak jest — odparł Conan. — Co będziemy robić, nim dowiemy się czegoś?

Niewiele wiem o miejskim życiu, a większość tego, co wiem, dotyczy sposobów wymykania się

przedstawicielom prawa, by nie obudzić się na słomie więziennego lochu.

— Po pierwsze, musimy trzymać się z dala od jakichkolwiek kłopotów —

zaczęła mu tłumaczyć Kalia. — Mamy dość złota, by przez jakiś czas płacić za siebie, więc nie wolno nam kraść i wdawać się w awantury. W mieście roi się od żołnierzy, widać to z daleka. Nie wyciągaj miecza z pochwy i trzymaj na wodzy swój temperament. Jeśli zaczną nam się kończyć pieniądze, wtedy zastanowimy się co dalej.

Bramy miejskiej strzegła liczna warta. Łucznicy na murach, ze strzałami nałożonymi na cięciwy, podejrzliwie obserwowali zbliżających się wędrowców.

Conanowi i Kalii przyszło czekać na wpuszczenie do środka w pstrej grupie wędrownych handlarzy i cyrkowców. Dla uprzyjemnienia oczekiwania kilku cyrkowców zaczęło wykonywać akrobacje i żonglować. Conanowi wyjątkowo spodobał się człowiek żonglujący równocześnie sześcioma sztyletami. W jego rękach ostrza zamieniały się w lśniące srebrne tarcze, jednak nieomylnie udawało mu się chwytać je zawsze za rękojeść. Cymmerianin podziwiał ludzi wyjątkowo utalentowanych, zwłaszcza gdy talenty te dotyczyły broni.

— Są naostrzone? — zapytał, gdy mężczyzna przestał żonglować.

Na obliczu cyrkowca pojawiło się rozdrażnienie.

— Sam zobacz.

Cisnął jeden ze sztyletów w stronę Conana. Cymmerianin złapał go bez trudu, gdy przelatywał tuż koło jego twarzy. Sztylet był idealnie wyważony, a rękojeść wygodna. Conan przesunął dłonią po brzeszczocie i stwierdził, że jest równie ostry, jak jego własny miecz. Twarz żonglera rozpromieniła się na widok zręcznego chwytu.

— Wygląda na to, że znasz się na broni, przyjacielu! Większość ludzi cofnęłaby się w popłochu na widok sztyletu przelatującego tak blisko ich twarzy.

— Większość ludzi boi się stali — odparł Conan. — Ja kocham ją tak, jak inni namiętą kobietę.

Odrzucił sztylet cyrkowcowi, który chwycił go i natychmiast rzucił w górę, błyskawicznie rozpoczynając żonglerkę pozostałymi nożami. Zrobił to tak szybko, że Conan nawet nie dostrzegł momentu, w którym mężczyzna dotknął

broni. Wyglądało to prawie jak magia, lecz Cymmerianin wiedział, że tym wypadku ma do czynienia jedynie z niezrównaną zręcznością.

Gdy dotarli do bramy, siedzący przy niej skryba popatrzył na nich niełaskawym wzrokiem. Przed nim na niewielkim składanym stoliku stało kilka kałamarzy, rząd piór z brązowymi stalówkami i arkusze stygijskiego papirusu. Miał poplamione atramentem palce i zachowywał się z nadęciem charakterystycznym dla mało ważnych biurokratów. Conan i Kalia podali mu swoje imiona, a on skrętnie zapisał je na papirusie.

— Po co tu przybyliście? — spytał.

— Po prostu wędrujemy — odparła Kalia. — Może poszukamy roboty.

— Jesteście najemnikami? — spytał urzędnik. — Wiedźcie, że w naszym mieście nie potrzebujemy już najemników.

— Czasy są niespokojne — odpowiedziała. — Przez wasz rynek przejeżdża mnóstwo karawan. Może zaciągniemy się do którejś jako strażnicy.

— Jeszcze dwóch włóczęgów — sarknął skryba. — W mieście i tak jest ich zbyt wielu. Wiedziecie, że niespłacanie długów jest tu karane chłostą?

— Mamy czym zapłacić — odparła, potrząsając pełną sakiewką, podczas gdy Conan szykował się, by na głowie urzędniczyny rozbić jeden z kałamarzy.

— Bardzo dobrze — odrzekł skryba. — Musicie wynająć mieszkanie dla siebie i stajnię dla koni. Nie wolno spać na ulicach ani placach publicznych.

Gdy tylko coś wynajmiecie, musicie o tym zameldować na posterunku straży miejskiej. Każdego dnia przed południem musicie potwierdzić swój pobyt, inaczej straż odnajdzie was i wtrąci do lochu, o ile nie będziecie w stanie zapłacić grzywny. Kiedy będziecie wyjeżdżać, zgłóście się do mnie, żebym mógł

wykreślić wasze nazwiska z listy. Zrozumiano?

— Doskonale — odparła Kalia przez zaciśnięte zęby. Zapłacili myto i weszli do miasta.

— Zwykle zabijam ludzi, którzy używają wobec mnie takiego tonu —

powiedział Conan. — Jeśli tacy właśnie żyją w miastach, wolę być

barbarzyńcą.

Kalia uśmiechnęła się, co się jej rzadko zdarzało.

— Bywałam w o wiele gorszych miastach, gdzie przybyszom wydaje się papirus, który codziennie musi podpisać przedstawiciel władz, i który trzeba okazywać na każde żądanie. Jeśli złapie się człowieka bez niego, wtrąca się go do lochu. Nie przejmuj się. Najgorzej jest właśnie w takich odległych, zabitych dechami mięścinach. Za wszelką cenę starają się udowodnić, jakie są cywilizowane, dlatego obstają przy podobnych głupawych przepisach. Wielkie miasta, takie jak Tarancja, stoją otworem dla wszystkich i w granicach rozsądku można w nich robić, co się żywnie podoba.

— Kiedy skończymy z tym, po co tu przyjechaliśmy, poszukam takich miast

— odparł Conan. Chociaż był barbarzyńcą, cuda cywilizacji miały dlań jednak nieprzeparty powab.

— Może ja również — powiedziała Kalia bez przekonania. Prawdę mówiąc, nie zastanawiała się, co będzie robić po rozprawieniu się z Aksandriąsem. Nie bardzo potrafiła sobie przypomnieć czasy, kiedy nie było to celem jej życia.

Znaleźli stajnię dla koni i pokoik dla siebie. Długie popołudnie spędzili na rynku, ostrożnie rozpytując o Keshanczyka i jego bandę. Nikt nie słyszał o tym wyrzutku.

— Za wcześnie, by popadać w zniechęcenie — powiedziała Kalia, gdy wychodzili z piątej z kolei oberży. — Jeśli skierowali się w tę stronę, mogli tu dotrzeć najwyżej parę dni przed nami. Trochę czasu zabierze im skrzyknięcie nowej bandy i zorientowanie się, na jakim terenie mogą grasować. Jeszcze trochę czasu minie, zanim rozniesie się wieść o nich. Musimy więc trochę poczekać. Może nawet kilka tygodni.

— Nudna przyszłość — powiedział Conan. — Nie jestem pewien, czy przez tyle czasu zdołam być uprzejmy dla cywilizowanych ludzi.

— W takim razie musimy znaleźć dla ciebie jakieś ciekawsze zajęcie — odparła.

Tego wieczoru trafili do wielkiej oberży przy placu targowym, w której jedzenie podawano także przed budynkiem. Sama oberża składała się jedynie z niewielkiej izby biesiadnej, jednak cały obszerny dziedziniec wybrukowano i ogrodzono zdobną, żelazną kratą. Rozstawiono na nim niewielkie stoliki, zajęte przeważnie przez żołnierzy miejscowego garnizonu i przejeżdżających przez miasto kupców. Na wolnym środku dziedzińca odbywały się występy akrobatów i cyrkowców.

— To chyba dobre miejsce na zbieranie plotek — powiedziała Kalia. —

Zobaczmy, czy uda się nam tu czegoś dowiedzieć.

Obydwoje weszli do środka, wzbudzając spore zainteresowanie, gdyż Kalia odrzuciła kaptur na ramiona. Wielu tych, którzy wcześniej wzięli ją za mężczyznę, zrozumiało swoją omyłkę. Conan również przyciągał uwagę. Młody barbarzyńca wzbudzał jednak respekt, nie podziw. Gospodarz zaprowadził ich uprzejmie do stolika obok miejsca dla cyrkowców.

— Czy to nie ci, z którymi czekaliśmy na wpuszczenie do miasta? — spytał

Conan.

— Rzeczywiście — odparła dziewczyna, podziwiając kunszt akrobatów. Było ich ośmioro, czterech mężczyzn i tyleż samo kobiet. Wyginali ciała pod nieprawdopodobnymi kątami i wykonywali salta z obrotami, wróżące

niechybne skręcenie karku. W ostatniej chwili łapani przez partnerów zawisali w stanie niepojętej równowagi, zdawałoby się przeczącej prawom natury.

Ośmioro akrobatów pięło się po sobie, tworząc rozmaite figury. Wiele z nich było lubieżnych, co wzbudzało brawa i hałaśliwe śmiechy.

Gdy spoceni akrobaci skończyli występy, zastąpili ich połykacze ognia i żonglerzy. Po nich przyszła pora na bardziej umiarkowaną rozrywkę. Na placu pojawiła się grupa minstreli, przy akompaniamencie lutni śpiewających pieśni z wielu krajów. Conan i Kalia z uwagą przysłuchiwali się piosence, lecz żadna nie wspominała o ludziach, których szukali.

Kiedy śpiewaków pożegnały skąpe oklaski, na środek wyszedł żongler, z którym rozmawiał Conan. Towarzyszyła mu młoda kobieta —

gibkie stworzenie o ciasno upiętych z tyłu włosach. Odziana była jedynie w najwęższą z możliwych przepaskę na biodra i trochę biżuterii. Mężczyzna żonglował

bronią z oszałamiającą zręcznością, podczas gdy pomocnicy wnieśli zbitą z desek tablicę wielkości drzwi. Kiedy ustawiono ją i podparto, żongler po kolei cisnął nożami wysoko w powietrze. Wszystkie spadając utkwily w środkach rozstawionych wokół stolików. Rozległy się okrzyki podziwu. Paru widzów przekonało się, biorąc sztylety do rąk, że są ostre jak brzytwa.

Conan wyciągnął sztylet, który utkwił w blacie ich stołu i odrzucił go żonglerowi, który skinął głową na znak, że rozpoznaje Cymmerianina. Kiedy żongler zebrał wszystkie noże, przy tablicy ustawiała się kobieta, on zaś rzucał

noże tuż koło niej, tworząc zarys jej ciała. Nie była to zbyt wyrafinowana sztuczka; przyniosła jedynie umiarkowane brawa. Ponownie ująwszy sztylety, mężczyzna zaczął rzucać nimi prosto w kobietę, która w ostatniej chwili, gdy ostrze niemal przyszpilało ją do tablicy, uchylała się szybko i zwinnie jak węgorz. Widzowie z zapartych tchem obserwowali, jak o włos wywija się śmierci. Żongler miotał sztylety jeden po drugim, a kobieta ani razu nie wychyliła się poza brzeg tablicy.

— To jakaś sztuczka! — powiedziała ze ściśniętym gardłem Kalia. — Masz dwoje oczu, Conanie, zatem powiedz mi, czy żongler jedynie markuje rzuty, a noże wyskakują dzięki jakiemuś mechanizmowi z tablicy? Słyszałam, że niektórzy kanciarze robią coś takiego.

— Nie — odrzekł Conan. — On naprawdę ciska nożami. Kiedy byłem

chłopcem w Cymmerii, bawiliśmy się rzucaniem nożami do celu, ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nie chciałbym obrazić tego człowieka, gdyby znajdował się poza zasięgiem mojego miecza.

— Muszę się dowiedzieć, jak on to robi — nalegała Kalia. — Rozmawiałeś z nim dzisiaj. Zaproś ich do naszego stolika, kiedy skończą.

Wśród entuzjastycznych oklasków kobieta skończyła uchylać się przed sztyletami, a żongler jeszcze raz wyrwał je z tablicy. Brawa ucichły, gdy widzowie zrozumieli, że przedstawienie się jeszcze nie skończyło. Kobieta oparła się sztywno o tablicę, złączywszy nogi i przycisnąwszy ręce do boków.

Mężczyzna zostawił sobie jedynie pięć sztyletów: trzy w lewej dłoni i dwa w prawej.

Znieruchomiał, wzmagając napięcie. Wszyscy wstrzymywali dech, zastanawiając się, co nastąpi teraz.

Obie ręce uniosły się równocześnie. Pięć sztyletów pomknęło ku kobiecie, która niespodziewanie podskoczyła, rozstawiając nogi i rozpościerając ręce na boki. W tej samej chwili zadudniły uderzające w drewno ostrza. Dwa ciśnięte lewą ręką noże wbiły się po obydwóch stronach szyi kobiety tak blisko, że dotykały skóry. Dwa sztylety z prawej ręki wylądowały tuż pod jej pachami.

Obciążone skórą rękojęści wsparły się o jej niewielkie piersi. Piąty nóż utkwił pomiędzy nogami. Jego jelec dotykał wąskiej przepaski na biodrach. Widownia zareagowała grzmiącymi oklaskami. Dwoje cyrkowców zaczęło się kłaniać.

Bystre oko Conana dostrzegło, że przy ostatnim numerze sztylety leciały nieco wolniej niż poprzednio, lecz i tak wykazana przez tę parę zręczność i odwaga zapierały dech w piersiach. Dał obojgu cyrkowcom znak, by

przyłączyli się do nich przy stoliku. Do czasu, nim żongler zebrał ostrza i dopilnował wyniesienia tablicy, kobieta przebrała się w oberży w krótką, barwną tunikę.

— Byliście wspaniali! — powiedziała Kalia, gdy usiedli obok nich. — Jak doszliście do takiej wprawy?

— To proste — odrzekł żongler. Miał ujmująco brzydką twarz o szerokich ustach. — Trzeba spędzić wiele lat na ćwiczeniach, a gdy się już umie dostatecznie wiele, ożenić się z ufającą ci kobietą.

— To coś więcej niż ufność — powiedziała Kalia. — Nie wystarczy ufność, żeby się tak poruszać! Uważam, że jestem szybka i zręczna, ale nigdy nie potrafiłabym zrobić czegoś takiego. Zaskarbiłaś sobie łaskę jakiegoś boga, że obdarzył cię takim talentem?

— Nie, rozwinęłam go zwyczajną, ciężką pracą — kobieta zaśmiała się dźwięcznie. — Jak mój mąż, jestem urodzona do tego fachu. Moja rodzina to od pokoleń akrobaci, tancerze i cyrkowcy. Od urodzenia rodzice ćwiczyli mnie, żebym miała giętkie stawy. Zanim nauczyłam się chodzić, wiedziałam już, jak upadać. W wieku siedmiu lat zaczęłam występować z rodziną. Dawaliśmy przedstawienia w Zamorze, kiedy przyłączyła się do nas żonglerska rodzina Vulpia.

Przyniesiono im kolację.

— Wcześniej się zorientowałem, że moją specjalnością będzie miotanie nożami — podjął opowieść Vulpio. — To dobra zabawa, ale tylko wtedy, gdy ma się żywy cel, najlepiej miły dla oka. Kiedy przyłączyliśmy się do rodziny Ryuli, ona sama dorosła do wieku odpowiedniego do zamążpójścia. W odróżnieniu od jej sióstr nie bała się noży.

— Przepięknie zakończyliście swój pokaz — powiedziała Kalia.

— Och, nie byliśmy ostatni — odrzekła Ryula. — Będzie jeszcze jeden, kiedy ludzie trochę zjedzą i

wypiją. Warto na niego popatrzeć.

Posilając się Conan dostrzegł, że cyrkowcy jedzą bardzo oszczędnie i ledwie moczą usta w kielichach z winem. Wystarczył im chleb, kilka porcji cienko krajanego sera i parę kawałków pieczonej ryby. Bez wątplenia ich zarobek, a nawet samo życie zależało od utrzymywania idealnej sprawności. Conan uznał, że taki żywot by mu nie odpowiadał. Lubił sobie od czasu do czasu pofolgować.

Gdy uprzątnięto naczynia, na środek placu wybiegł mężczyzna w

jaskrawych, wielobarwnych szatach i zaczął głośno obwieszczać dalsze atrakcje:

— Szanowni goście! Tej nocy mamy zaszczyt przedstawić wam

najwspanialszego maga, jaki kiedykolwiek odwiedził i odwiedzi ten wdzięczny gród! Jego sztuka nie ma sobie równych! Przygotujcie się na oszałamiające sceny. Do tej pory nigdy nie widziane nigdzie poza tajemniczymi klasztorami Vendhii i dalekiego Kitaju! Przedstawiam wam wielkiego Hurappę!

Rozległy się umiarkowane oklaski. Spora część widowni, która zwiedziła cały świat, była nastawiona sceptycznie do takich zapowiedzi. By ich zaintrygować, było trzeba czegoś więcej niż gładkich pochwał. Interesowały ich czyny, nie słowa.

— Patrzcie uważnie — szepnął Vulpio. — Przyłączył się do nas niedawno.

Zapewniam, że czegoś takiego jeszcze nie widzieliście.

Człowiek, który jakby nieśmiało wszedł na środek placu, nie wyglądał na typowego magika. Nie miał na sobie obszernej szaty, ozdobionej mistycznymi symbolami, nedorzecznego nakrycia głowy, fałszywych brwi ani farbowanej na jakiś osobliwy kolor brody. Nie miał żadnych magicznych narzędzi, nawet leszczynowej różdżki. Hurappa był bardzo wysoki i szczupły. Pozbawiona rękawów szata ukazywała długie, niezłe umięśnione ramiona, była czarna bez jakichkolwiek ozdób, o prostym kroju i sięgała do kostek. Hurappa był

całkowicie łysy. Jego głowa przypominała obciągniętą skórą czaszkę i była tej samej barwy. Usta wydawały się pozbawione warg, czarne jak wypalone gwiazdy oczy wyglądały z głębokich, ciemnych oczodołów.

— Na Seta! — wyszeptał ktoś niedaleko stolika Conana. — W porównaniu z tą zjawą królewski kat to wesoły widok.

— Dobry wieczór, przyjaciele — powiedział Hurappa głosem, jaki mógłby wydać z siebie ktoś świeżo wygrzebany z kurhanu. — Proszę, byście na krótką chwilę raczyli mi cierpliwie udzielić swojej uwagi. Postaram się zająć was paroma skromnymi przykładami mej sztuki. Bądźcie tak łaskawi i raczcie spojrzeć.

Wykonał gest jedną ręką. Przez widownię przeszedł szmer zaskoczenia. Cała oberża stanęła w huczących płomieniach. Podrywający się, bliscy paniki ludzie roztrzęsli siedzenia. Zamieszanie nagle

uspokoilo się, gdy płomienie zniknęły bez śladu.

— To tylko złudzenie, przyjaciele — powiedział grobowym głosem mag. —

Złudzenia to moja specjalność. Pamiętajcie, że wszystko, co ujrzycie, to czcza iluzja, płocha rozrywka dla wypełnienia letniego wieczoru. Nie uczynię wam krzywdy, ukazując mą niewartą wzmianki sztukę. — To ostatnie stwierdzenie zabrzmiało fałszywie nawet dla mało subtelnych uszu Conana.

Zachwyceni widzowie patrzyli, jak między stolikami rozkwitają gigantyczne kwiaty, tak wiernie imitujące rzeczywistość, że czuć było ich woń. Jednak wyciągnięcie w ich stronę dłoni sprawiało, że w mgnieniu oka znikwały. W kącie ogrodu znajdował się niewielki skrzydlaty sfinks o ciele lwa i złowieszczym obliczu jakiegoś przedwiecznego króla — kapłana. Była to dekoracja pozostawiona przez jakiegoś dawnego właściciela. Na rozkaz maga kamienny stwór powstał i zszedł z postumentu. Jedno słowo Hurappy wystarczyło, by rozpostarł nietoperzowate skrzydła i odleciał w noc. Po chwili rozległ się kobiecy okrzyk. Odwróciwszy się widzowie ujrzeli, że sfinks znów siedział na postumencie, jak to czynił od wielu lat.

Iluzja goniła iluzję. Zaczął padać śnieg i wszystko pokryła lodowa czapa.

Spod okapów zwisały wielkie sople, ludzie zaczęli dygotać mimo błogiego wieczornego ciepła. Po chwili śnieg i lód zniknęły, zastąpione rojną dżunglą, pełną jaskrawych ptaków i owadów. Dżungla rozwiała się, zaś gwiazdy nad głowami zaczęły zmieniać swe miejsca i tańczyć w rytm niesłyszalnej muzyki.

Zbladły, gdy nad horyzontem wstało słońce, tak rzeczywiste, że niektórzy wykrzykiwali, iż to rzeczywiście świt, dopóki nie zorientowali się, że wschodzi na północy. Słońce jednak zaszło i zapadła noc. — Dziękuję za łaskawą uwagę

— powiedział Hurappa. — Chciałbym wam pokazać jeszcze jedną, ostatnią iluzję. Pamiętajcie, proszę, że to tylko złudzenie.

Czarnoksiężnik po raz pierwszy przymknął oczy i zaczął śpiewać cichą, ledwie słyszalną inkantację. Spodziewając się jakiegoś szczególnego cudu, Conan z zaskoczeniem ujrzał, że przed nim tworzy się niewielkie zwierciadło.

Okrągłe, nie większe niż dłoń, szybko powiększyło się do rozmiarów stojącego człowieka. Z początku wiernie odbijało Conana, lecz po chwili obraz, jaki pokazywało, zmienił się. Przedstawiało teraz wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, którego czarne włosy i krótką brodę zaczęła przetykać siwizna.

Mężczyzna siedział za stołem z mahoni, czytając jakiś zwój. Conan nie widział jego twarzy, jedynie wspaniały strój i złoty diadem na czole. Na postumencie koło stołu leżały wspaniała, uroczysta szata i korona. Mężczyzna odwrócił głowę z zaskoczeniem, jak gdyby doszedł go jakiś dźwięk. Conan ze zdumienia wstrzymał dech. Człowiek ten był podobny do jego ojca, jednak skąd cymmeriański kowal wzięłby królewskie szaty? Dopiero po chwili uświadomił sobie, że patrzy na siebie samego,

starszego o trzydzieści lub więcej lat.

Król i jego komnata zniknęły. Conan spoglądał teraz w gigantyczną otchłań Kosmosu, w której ogarnięte śmiertelnymi konwulsjami gwiazdy wyrzucały macki zimnego ognia w nie dające się ogarnąć myślą przestrzenie. Conan czuł, że pokonuje ten bezmiar dążąc do jakiegoś niepojętego punktu przeznaczenia.

Po chwili znalazł się w innej komnacie, jeszcze wystawniejszej niż ta, którą widział przed chwilą. Złote płyty z wyrytymi na nich lubieżnymi scenami pokrywały wszystkie ściany prócz jednej, pokrytej półkami od podłogi do sklepienia. Na wszystkich półkach ustawione były odcięte ludzkie głowy, wiele z nich koronowanych. Po całej komnacie porozstawiane były kufry ze wspaniałymi klejnotami. Pośrodku tego dzikiego w swej istocie przepychu na wysokim podeście stał tron. Przed siedzącym na tronie człowiekiem korzyli się ludzie w bogatych szatach. Przy postumencie siedziały przykute łańcuchami piękne, nagie niewolnice. Władca w złotych szatach ze śmiechem pił wielkimi haustami wino z kielicha zdobnego rżniętymi rubinami. Jego pobrużdżoną, śniadą twarz okalały siwiejące włosy. Twarz tę Conan widział już w zatłoczonym zajeździe w Crotonie.

Moment później Cymmerianin patrzył na własne odbicie. Potem i ono rozplynęło się w nicość.

Conan zamrugał. W uszach mu huczało. Dopiero po chwili uświadomił

sobie, że to entuzjastyczne oklaski zachwyconych gości, którzy zerwali się ze swoich miejsc. Iluzjonista zniknął. Kalia patrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

Potrząsnął głową. Co się stało?

Vulpio i Ryula wstali i pożegnali się, obiecując spotkać się z nimi następnego wieczoru. Wracając z Kalia do wynajętego pokoju, Conan był pogrążony w myślach. Pamiętał tylko, by zasunąć rygiel w drzwiach. Kalia zapaliła jedyną lampkę. Gdy zdejmowała opończę i zbroję, Conan zapytał:

— Co widziałaś w lustrze?

Obróciła się ku niemu. Jej ciało bieląło w blasku lampki.

— Lustrze? Jakim lustrze?

— W ostatniej iluzji czarownika. Nie widziałaś wielkiego zwierciadła, a w nim dziwnych widoków?

— Nie widziałam żadnego lustra — odparła. — Zobaczyłam wielkiego smoka, jak wszyscy. Mag śpiewał przez parę chwil zaklęcie, po czym nad murami miasta uniósł się wielki łuskowaty łeb, jakby smok stał u bram. Wydawało się, że ma co najmniej tysiąc kroków długości. Kiedy rozpostarł skrzydła, zakryły większą część nieba. Zionął ogniem nad miastem, po czym odleciał jak sfinks, a ludzie wrzeszczeli ze strachu. Zobaczyłam, że dzieje się z tobą coś niezwykłego, bo kiedy iluzja znikła, siedziałeś w bezruchu. Patrzyłeś w moją stronę, ale wydawało się, że widzisz coś bardzo daleko stąd — usiadła koło niego i przytuliła się.

— Opowiem ci, co widziałem — rzekł, i najlepiej, jak potrafił streścił jej, co ujrzał w zwierciadle.

Kiedy skończył, Kalia w milczeniu zastanawiała się nad tym parę chwil.

— To nie zagadka — powiedziała wreszcie. — Złym cesarzem jest

niewątpliwie Taharka — tyle że postarzały. Drugi monarcha... cóż, może to proroctwo. Być może będziesz długo żył i zostaniesz królem.

Conan położył się i pociągnął za sobą Kalię. Wyciągnęła się obok niego.

— Mam nadzieję, że nie — stwierdził. — Król, którego widziałem, nie był szczęśliwy. Na jego twarzy widniało mnóstwo trosk.

Kolejne dni okazały się jałowe. Dużo czasu spędzili w towarzystwie wędrownych cyrkowców. Conan obawiał się odszukać maga i zapytać go wprost o zwierciadło. Lękał się, że ujrzana wizja nie wróży nic dobrego. Kiedy w końcu zdecydował się ostrożnie rozpytać o czarnoksiężnika, okazało się, że ten zniknął tej samej nocy, której pokazał się w oberży. Przyczyniło to trupie dużych kłopotów, ponieważ mag nie wykreślił się z listy skryby przy bramie.

Dla zabicia czasu Conan polował na pobliskich wzgórzach, sprzedając dziczyznę oberżystom. To na poły legalne kłusowanie sprawiło, że władze spoglądały na niego łaskawym okiem. Kalia udzielała lekcji szermierki młodym wartogłowom, którzy chcieli szlifować swoje umiejętności.

Pewnego wieczoru już pod koniec lata znajdowali się na wielkim dziedzińcu stajennym koło zajazdu, w którym zatrzymali się wędrowni cyrkowcy. Kalia uczyła się od Ryuli sztuki uniku, zaś Conan i Vulpio miotali sztyletami do drewnianego słupa. Rdzawe popołudniowe światło migotało na ostrzach mknących ze świstem, by z łoskotem utkwic w belce.

— Uczysz się szybciej niż oczekiwałem — powiedział Vulpio, wyciągając sztylety z drewna. Do tych, które rzucił Conan, musiał się solidnie przykładać.

Mimo pouczeń chłopak rzucał nożami z nadmierną siłą.

— Dobrze czuję broń, ale i tak nigdy ci nie dorównam — odparł

Cymmerianin.

— Nie potrafię nic poza zonglowaniem sztyletami — powiedział Vulpio wzruszając ramionami. — Ty zaś jesteś wojownikiem, więc musisz znać się na wielu rodzajach broni. Nie możesz spędzać tak dużo czasu na ćwiczenie w posługiwaniu się tylko jedną.

Kiedy zrobiło się zbyt ciemno, by dalej rzucać nożem, przyłączyli się do kobiet. Kalia ocierała ręcznikiem pot, pokrywający całe ciało. Ryula wyglądała elegancko i spokojnie jak zwykle. Podszedł do nich mężczyzna, w którym Conan rozpoznał Gorbala, szefa trupy.

— Nareszcie! — zawołał Gorbala, rozrzucając ręce teatralnym gestem. —

Nareszcie możemy opuścić tę miejscinę, gdzie ludzie znudzili się naszymi przedstawieniami i rzucają w nas częściej skórkami melonów niż monetami!

— Miła wiadomość — skomentował Vulpio. — Już dawno powinniśmy byli wyruszyć na południe.

— Zgadza się — odparł Gorbal. — Jutro duża karawana wyrusza

południowym szlakiem. W końcu zebrało się dość kupców i wędrowców zmierzających w tym kierunku. Mniejsza z łatwością padłaby łupem

grabieżców.

— Grabieżców? — zapytał Conan. — Jest ich wielu na południu?

— Tak! — potwierdził Gorbal. — Słyszałem, że chciałbyś nająć się jako strażnik karawany? Poszukaj Hazdrala, on dowodzi tą, która wyrusza jutro.

Powinien sownie zapłacić dobremu rębajle. Założę się, że najmie także tę wojowniczkę — skinieniem głowy wskazał Kalię i potrząsnął głową. —

Zwłaszcza że pojawiła się nowa banda.

— Nowa banda? — zapytała Kalia siląc się na obojętność.

— Na to wygląda. Doszły wieści o potężnej grupie, kryjącej się gdzieś na południu. Mówią, że jej wódz to wielki ciemnoskóry południowiec o manierach króla, ale sercu źmi. Jego pomagier to zajadły Hyperborejczyk, ponoć równie okrutny jak jego pan.

Na twarzy Conana powoli rozpostarł się uśmiech.

— Kalia, chodź, poszukamy tego Hazdrala.

— Oczywiście — odparła. — Mnie też znudziła się ta dziura.

— Z wami będziemy się czuli bezpieczniejsi — powiedział Vulpio. — Masz, jeśli chcesz nas pilnować, to przynajmniej używaj dobrej broni.

Rzucił Conanowi jeden ze swoich wyśmienicie wyważonych sztyletów.

Cymmerianin wetknął broń za pas.

— Dziękuję, przyjacielu. Pójdziemy porozmawiać o wynagrodzeniu. Póki będziemy was strzec, nie macie się czego obawiać.

Po raz pierwszy od kilku tygodni szczęśliwi, Conan i Kalia pośpieszyli na poszukiwanie przełożonego karawany.

Aksandrias znalazł idealną kryjówkę niemal przez przypadek. Od chwili, gdy bandyci przekroczyli granicę Ophiru, zatwardziali szubienicznicy wszelkiej maści garnęli się do nich jak kowalskie opiłki do magnesu. Łotrowie z uciętymi uszami, napiętnowanymi czołami i wytatuowanymi twarzami ściągali do nich pojedynczo i niewielkimi grupkami, gdy tylko zwiedzieli się, że jakiś Keshañczyk organizuje bandę w celu prowadzenia grabieży na szeroką skalę.

W ciągu kilku dni Taharka zgromadził grupę równie liczną jak ta, z którą wyprawił się do Cymmerii. Potrzebna była im jedynie bezpieczna baza.

Na poszukiwania wyruszył Aksandrias, chcąc sobie na nowo zaskarbić łaski szefa. Irytowało go, że Kuulvo błyskawicznie stał się prawą ręką Taharki.

Aquilończyk wyprawił się z dwoma milczącymi Shemitami na pół dnia z miejsca, w którym banda zatrzymała się na postój. W otwartym terenie przestępcy musieli wystawiać liczne straże. Podobna dyscyplina nie odpowiadała bandytom — ludziom z natury krnąbrnym, leniwym i beztroskim.

W południe trzech jeźdźców zatrzymało wierzchowce, by rozpakować suchy prowiant i odkorkować bukłaki z winem.

— Słuchajcie — powiedział jeden z Shemitów, przyłożywszy stuloną dłoń do ucha. — Słyszę płynącą wodę. Gdzieś w pobliżu jest strumień.

— Też go słyszę — rzekł Aksandrias. — Ale gdzie jest? Nic nie widzę.

Poszukajmy go, zanim zjemy.

Przejechali konno u podnóża pagórka, ale nie dostrzegli żadnego strumienia.

— Teraz słyszać go gdzieś z tyłu — powiedział drugi Shemita.

— To dziwne — rzekł zamyślony Aquilończyk. — Wjedźmy pod górę.

Ruszyli stokiem, aż dojechali do wąskiej, niewidocznej z dołu rozpadliny.

Gdy wjechali w nią, roztoczył się przed nimi nieoczekiwany widok na sporą kotlinkę o równym trawiastym dnie rozpościerającą się w miejscu, gdzie powinien być szczyt wzgórza. Po przeciwległej stronie kotlinki, w stoku ział

otwór wejściowy jaskini, z której wypływał niewielki strumień, ginący wśród skał po drugiej stronie. Najwidoczniej dalej płynął pod ziemią, ponieważ nie było go widać od podnóża pagórka.

Aksandrias zsiadł z konia i napił się wody ze strumienia. Okazała się czysta i smaczna. Shemici podjechali do jaskini i pozsiadali z koni. Niegdyś ktoś musiał ją wykorzystywać jako schronienie, ponieważ wejście przegradzał

surowy kamienny mur wysokości dorosłego mężczyzny. Przez szczelinę w murze mógł przejść tylko jeden człowiek naraz. Samą jaskinię oświetlały snopy słonecznych promieni, padające przez otwory w stropie.

— Cudownie! — powiedział Aksandrias. — Taharka musi to zobaczyć.

Następnego dnia Taharka obejrzał kotlinę i jaskinię, po czym stwierdził, że jest zachwycony.

— To miejsce będzie nam dobrze służyć, przyjacielu. Nawet nie potrzeba ogrodzenia, żeby paść zwierzęta. Jaskinia da nam równocześnie schronienie i świeżą wodę. Wystarczy jeden wartownik w tamtej skalnej szczelbie, by ostrzec nas o zbliżaniu się jakichkolwiek wrogów. Dobrze się spisałeś, przyjacielu, naprawdę wyśmienicie. Aksandrias uśmiechnął się i napuszył.

— To nie wszystko, wodzu, ale nie chcę, by inni to widzieli. Wejdz ze mną do jaskini.

Obydwaj weszli do środka. Niosący pochodnię Aksandrias zaprowadził

Keshańczyka w najgłębszy zakątek groty.

— Odkryłem to po tym jak odesłałem Shemitów, by cię sprowadzili —

powiedział. Wprowadził Taharkę do bocznego tunelu, kończącego się stertą suchych gałęzi. Aksandrias pociągnął za jedną z nich, odsłaniając niskie przejście. Okazało się, że gałęzie tworzą swego rodzaju drzwi, za którymi znajdował się krótki tunel prowadzący na zewnętrzny stok wzgórza.

— Przywiąż tu parę koni, panie, a worki z łupami trzymaj w przejściu —

powiedział Aksandrias. — Gdyby doszło do najgorszego, zawsze zdołamy zacząć wszystko od nowa.

Taharka zaśmiał się serdecznie i poklepał Aksandriasa po ramieniu.

— Ach, wielki mam z ciebie pożytek, przyjacielu, zawsze o tym wiedziałem.

Niech to będzie nasza wspólna tajemnica. Po co te łobuzy mają wiedzieć, że w każdej chwili mogę ich porzucić? Poza tym, gdyby rzeczywiście doszło do najgorszego, a wszyscy wiedzieli o tym przejściu, zrobiliby się tu za tłoczno.

Gdy tylko bandyci zapuścili korzenie w nowej kryjówce z zapalem zabrali się do roboty. Rzadko potrzebna była banda w pełnej liczbie, dlatego też Taharka dzielił ją przeważnie na trzy grasujące oddzielnie grupy. W ten sposób mogli spenetrować znacznie większe terytorium. Taharka dowodził jedną z grup, pozostałymi dwoma Aksandrias i Kuulvo. Keshańczyk stale zmieniał skład tych grup, by bandyci nie stali się lojalni wobec jego zastępców.

Herszt ustalił jedną niezmienną zasadę. Napaści miały się odbywać w odległości nie mniejszej niż pół dnia jazdy konno od kryjówki. Im dłużej jej istnienie pozostanie sekretem, tym dłużej bandyci będą swobodnie uprawiać swój proceder. Gdyby stali się w tej prowincji zbyt dokuczliwi, nawet swarzący się ophirscy magnaci mogliby pogodzić się na czas wystarczający do wytępienia

grabieżców.

Przez wiele tygodni bandyci wyprawiali się z kotlinki i wracali z bogatymi łupami. Nikt nie był przed nimi bezpieczny. Napadali na skromne

gospodarstwa i bogate karawany. Żądni łupu grabieżcy nigdy nie odchodzili z pustymi rękami. Jeśli podczas długiej wyprawy nie natrafiono na żadne skarby, w drodze powrotnej rabowali było jakiegoś nieszczęsnego wieśniaka na pożywienie dla swoich kamratów. Nic to, że dziś zdobyli tylko baraninę czy cielęcinę. Następną wyprawa mogła im przynieść bogactwo.

Grabież okazała się procederem wyjątkowo łatwym. Władca Ophiru był tak zajęty wojną domową, że nie miał czasu ani ochoty zajmować się

bezpieczeństwem swoich poddanych. Taharka wysłał paru swoich ludzi do pobliskich miast, w których stacjonowały garnizony. Dzięki temu natychmiast dowiadywał się, kiedy wojsko wyruszało do walki, i słał swoje bandy do nie strzeżonych prowincji.

Wkrótce jaskinia zapełniła się łupami. Przez Ophir wędrowało wiele karawan, a nawet w niewielkich miścinach znajdowały się domy bogatych kupców, które w tych trudnych czasach można było bezkarnie napadać.

Liczne były również posiadłości możnej szlachty. Chociaż płaciła ona haracz miejscowym wielmożom, by zostawiono ich w spokoju, nie znaczyło to nic dla bandytów. Pod ścianami jaskini zaczęły piętrzyć się skrzynie złota i klejnotów oraz pstre bele wschodniego barwionego jedwabiu, cenniejszego nawet niż złoto. Zapach dymu z ogniska zastąpiły aromaty kadzidła i drogich przypraw pospołu z jeszcze bardziej egzotycznymi narkotykami i żywicami leczniczych roślin.

Trawiastą kotlinkę podzielono na szereg zagród. Najbliżej wjazdu trzymano konie bandytów, tam zaś, gdzie rosła najlepsza trawa, umieszczono najwspanialsze okazy zrabowanych wierzchowców. Wytrzymałe konie

wojskowe, piękne wyścigowe ogiery, wierzchowce szkolone do polowań oraz ręce rumaki królewskich heroldów. Ludzki łup trzymano w innych

zagrodach, oddzielając co lepsze okazy. W największej trzymano tych, których planowano sprzedać do stygijskich kamieniołomów. W innej więziono rzemieślników — ci mieli trafić do warsztatów i manufaktur Południa oraz Wschodu. Była też zagroda dla wykształconych młodzieńców, na których istniał popyt w cywilizowanych domostwach.

Od reszty oddzielono i pilnie strzeżono piękne młode kobiety, za które zawsze uzyskiwano najwyższe sumy. Nad tą zagrodą wzniesiono dach z namiotowego płótna, by uchronić branki przed szkodzącym urodzie wpływem żywiołów.

Pewnego późnego popołudnia Taharka rozsiadł się z zadowoleniem w jaskini na prymitywnym, lecz efektownym tronie ze zwalonych zagłówków, poduszek i jedwabiu. Pił ze złotej czary wykwiłtne wino, podczas gdy jego ludzie ucztowali.

Na wielkim palenisku obracały się na rożnach tłuste sztuki z rasowego stada jakiegoś szlachcica. Obok stała wielka srebrna misa ze złupionej świątyni.

Kucharz przyrządził w niej sos z drogocennych przypraw, którym niewolnice polewały teraz pieczenie na rożnach.

Bandyci ustrojeni byli w niedobre bogate szaty, wspaniałe zbroje i zdobną w klejnoty broń. Podobnie jak herszt, pili najlepsze wina z kielichów z kryształu lub cennych metali. Usługujące im kobiety były niebrzydkie, lecz nie na tyle piękne, by zaliczyć je do grupy przeznaczonej do sprzedaży w nie naruszonym stanie.

Niespodziewanie Taharka podniósł się i nakazał ciszę. Gwar ucichł w jednej chwili. Aksandrias uśmiechnął się cynicznie, pociągając wino z ozdobionego ametystami srebrnego kielicha. Wiedział, co ich teraz czeka. Zbyt często słyszał w przeszłości tę mowę we wszelkich możliwych odmianach, kierowaną do innych band, już wybitych lub rozproszonych.

— Przyjaciele — zawołał Taharka, zataczając krąg złotym kielichem. — Czy ktokolwiek z was jest niezadowolony z mojego przewodnictwa czy życia, jakie dzięki mnie toczycie? — uczujący wydali z siebie zbiorowy okrzyk zaprzeczenia. — Jeśli tak, wystarczy, że powiecie, a dam wam wszystko, czego wam brakuje! — na chwilę zapadła cisza. — To znaczy, że jesteście zadowoleni? — Tym razem rozległy się gromkie potakiwania. — Wspaniale! Co do mnie, nie potrafię sobie wyobrazić lepszego żywota! — z wypiętą pierśią podszedł do paleniska i wciągnął nosem powietrze. — Zaducho, że siekierę można powiesić! — oświadczył. Zgiął się nad jedną ze skrzyń i wyjął z niej garść skryształizowanej żywicy, którą wrzucił do ognia. Jaskinia natychmiast wypełniła się aromatycznym dymem. — No, od razu lepiej, dzięki wartemu fortunę kadzidłu, które miało trafić do wielkiej świątyni Mitry w Numancji, a zamiast tego dodaje woni powietrzu w naszej jaskini i poprawia smak naszego mięsa. Czyż nie tak powinno być, moi przyjaciele?

— Odpowiedział mu zgiełk pochwał. — Tak właśnie będziemy żyć zawsze! —

oświadczył dźwięcznym głosem.

— Będziemy jedli najdelikatniejsze mięsa, przyrządzone z najbardziej wyszukаныmi przyprawami i będziemy pili wykwintne trunki królów. Ubierać się będziemy w jedwabie i atłasy, nosić ozdoby ze złota, klejnotów, północnego bursztynu, wschodnich pereł i południowego koralu! Nasze konie będą pochodzić z królewskich stadnin. Najpiękniejsze niewolnice spełnią każdą naszą zachciankę!

Bandyci krzyczeli bez opamiętania, ogarnięci ekstazą, wywołaną wizjami fantastycznych łupów. Zaledwie kilka tygodni wcześniej byli głodującymi opryszkami, podrzynającymi gardła za garść miedziaków. Teraz roili sobie życie pełne rozpusty i pławienia się w bogactwach.

— Tymczasem — zakończył gromko swą przemowę Taharka — jedźmy i

pijmy do syta, a jutro ruszajmy po jeszcze większe łupy!

Z dzikimi okrzykami bandyci rzucili się do paleniska, wycinając sztyletami co lepsze kawałki mięsa i

wpychając ociekające sosem pieczone w gęby przywykłe do suchego chleba i stęchłej wody, którymi karmiono ich w lochach i kamieniołomach. Co leniwi nie wstając ze stert jedwabi kazali posługującym kobietom przynieść jedzenie na masywnych srebrnych tacach.

Taharka obserwował tę bandę z zadowoleniem. Jak zawsze dziwił się niepomiarnie, że tak łatwo jest zaskarbić sobie cudzą wdzięczność i lojalność.

Ujrzał wysoką postać uśmiechniętego sardonicznie Kuulva, przepychającego się ku niemu między poszturchującymi się, napychającymi brzuchy

bandytami.

— Wodzu — powiedział Hyperborejczyk — sądzę, że powinieneś pójść ze mną. Chciałbym ci coś pokazać.

Kuulvo nie zwracał większej uwagi na uczujących. Podobnie jak w

przypadku Taharki, jego gust w jedzeniu, piciu i kobietach był raczej umiarkowany. Największą rozkosz czerpał z zamieszania i rozlewu krwi.

Taharka wiedział, że Kuulvo jest poważnym człowiekiem. To, co chciał mu pokazać, musiało być więc ważne.

— Oczywiście, mój drogi zastępcu. Znakomity wieczór na przechadzkę. I tak planowałem obchód zagród dla niewolników. Prowadź.

Obydwaj wyszli z jaskini. Bandyci pozdrawiali ich po drodze, jedynie Aksandrias zachował milczenie, krzywiąc się kwaśno. Mimo usilnych starań Aquilończyk nie mógł wypędzić z myśli obrazu jednookiej kobiety. Dlaczego ten upiór przeszłości zjawił się, by go prześladować? Nie dość, że wróciła niemal zza grobu, to jeszcze publicznie go upokorzyła! Byle dzierlatka pokonała go, ba, o mało nie zabiła w obecności jego herszta. Poza tym, kim był

towarzyszający jej Cymmerianin?

Po ucieczce z Crotonu opowiedział Taharce, czym zasłużył sobie na nienawiść jednookiej dziewczyny.

— Byłem bardzo młody, panie — tłumaczył się. — Brakowało mi ostrożności i trzeźwości sądu. Teraz nie byłbym tak nieostrożny, by pozostawić przy życiu świadka swoich uczynków.

Taharka zareagował z typową dla siebie fałszywą sympatią:

— Młodzi ludzie zawsze popełniają pomyłki, przyjacielu. Sam w młodości narobiłem wiele głupstw, ale przecież wszyscy się na nich uczymy, czyż nie?

Co do mnie, uważam, że ta dziewczyna okazała się wyjątkowo małoduszna, biorąc sobie tę sprawę do serca.

Od walki w zajeździe Aksandriasa wychudł; jego twarz jak gdyby się postarzała. Pił o wiele więcej niż przedtem, jadł zaś niewiele. Bez przerwy tkwiąca mu w głowie myśl o Kalii pozbawiała go apetytu. Jakie piekielne machinacje przemieniły martwe dziecko w pałającego żądzą zemsty demona o pokaleczonej twarzy, wspaniałym ciele i błyszczącym mieczu — zamieniającym się w koszmarach Aksandriasa w krwiożerczego węża?

Aquilończyk popatrzył z zamyśleniem w głąb kielicha, po czym krzyknął, by przyniesiono mu więcej wina.

Na zewnątrz Taharka bez pośpiechu przeszedł przez obozowisko. Zatrzymał

się przy zagrodzie, w której uwięzione były piękne kobiety. Strażnicy odsunęli się na bok, a Keshkańczyk wszedł do środka. Tu i ówdzie przesunął dłonią po delikatnych ciałach, wypróbowując miękkość skóry, krągłość kształtów lub ich sprężystość — zależnie od miejsca, w którym zatrzymała się jego dłoń. Dźgnął

palcem w jakiś brzuch, badając jego przyjemną elastyczność, po czym rozchylił dziewczynie usta, by sprawdzić czy ma wszystkie zęby. W zagrodzie panowała wstrętna woń, lecz tak już było z niewolnikami. Towar był myty przed sprzedażą.

Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by ocenić kondycję pozostałych więźniów.

Więcej czasu poświęcił koniom. Uważał się w tej kwestii za znawcę. Kilka wierzchowców zarezerwował wyłącznie dla siebie. Najszybszy z nich był już uwiązany z drugiej strony stoku, przy odkrytym przez Aksandriasa

zapasowym wyjściu. Ponieważ jego ludzie nie byli z natury dociekliwi, istniała nikła szansa, że odkryją zabezpieczenie swojego herszta.

— W zagrodach dla niewolników robi się zbyt tłoczno — oświadczył Taharka.

— Przyszła pora wysłać karawanę na targowiska Stygii.

— Trzeba też będzie podjąć parę innych kroków — odparł Kuulvo. — O tym właśnie chciałem porozmawiać. Odejdźmy jeszcze trochę dalej.

Wszedł na wąską ścieżkę, prowadzącą po stoku ku rozpadlinie. Obydwaj przeszli przez szczyrbę na odsłonięty skraj wzgórza. Pełniący wartę rzezimieszek uklonił się, gdy go mijali. Ze stoku roztaczał się widok na bezkresną, lekko pofalowaną równinę.

— Wspaniała okolica — powiedział Taharka. — Co chciałeś mi pokazać?

Niby przypadkowo wsparł dłoń na rękojeści miecza. Nigdy nie przestawał węszyć zagrożenia.

— Spójrz, wodzu — powiedział Kuulvo, wskazując stok, a następnie

przyległą połąć równiny. — Kiedy przybyliśmy, nie prowadziła tu żadna droga.

Widać było jedynie nie poruszoną trawę. Popatrz, jak to teraz wygląda —

obszernym gestem wskazał wydeptany końskimi kopytami szeroki trakt, biegnący po stoku. Na równinie rozchodził się on na trzy mniej wyraźne, wciąż jednak widoczne drogi, którymi grupy bandytów wyruszały, by grabić i rabować. — Widać je każdego dnia coraz wyraźniej — stwierdził

Hyperborejczyk. — Nie ma na to rady. Porusza się tędy za dużo ludzi i koni. To tylko kwestia czasu, aż jakiś magnat zarządzi przeszukanie prowincji. Gdy tylko jego zwiadowcy zjawią się w okolicy, nasze godziny są policzone.

— Rozumiem — odparł Taharka, gładząc brodę. — Jednak jest to tak

wysmienite legowisko, że nie mam ochoty go porzucić.

— Miejsce jest dobre — rzekł Kuulvo — ale tylko dopóki jest naszą tajemnicą. Nie widać go z dołu, to prawda, ale te ślady wskazują do niego drogę. Moja rada jest taka: opuśćmy to miejsce jak najszybciej. I tak nieźle obłowiliśmy się w tej prowincji. Jest bogata, ale nie warto doprowadzać jej do ruiny. Pojedźmy na wschodnią rubież kraju, gdzie nikt o nas jeszcze nie słyszał, i poszukajmy sobie nowego legowiska. Możemy tu wrócić za sześć miesięcy czy rok. Do tego czasu trawa odrośnie i znikną wszystkie ślady naszej bytności. Co więcej, prowincja odrobi straty i znów warto będzie ją łupić.

— Wspaniała rada — powiedział Taharka. — Jak mówiłem, w zagrodach dla niewolników robi się tłoczno. Poczekajmy jeszcze trochę, aż zbierzemy ich dość na całą karawanę. To potrwa parę dni, potem ruszysz z nią na południe.

Zabierzesz jedną trzecią ludzi. Kiedy wrócisz, przeniesiemy się do bezpieczniejszej prowincji.

— Radziłbym, byśmy wynieśli się natychmiast — odparł Kuulvo. — Zabiorę niewolników na południe, lecz radzę, byście w tym samym czasie z

Aksandriasem i pozostałymi opuścili to miejsce. Możemy się umówić, gdzie spotkamy się po moim powrocie.

Taharka klepnął go w ramię ze śmiechem.

— Dobrze być ostrożnym, ale przesadziłeś, przyjacielu. Kiedy człowiek zamartwia się za bardzo, życie traci smak. Chodź, wracajmy na ucztę. Do tej pory nie natknęliśmy się na choćby jednego człowieka, służącego któremuś z lokalnych magnatów. Za trzy, cztery dni wyruszysz z niewolnikami. Dla nas zostało jeszcze mnóstwo nietkniętych, wartych złupienia miejsc. Nie obawiaj się, wyniesiemy się na długo przedtem, nim ogary prawa wywęszą nasz trop.

— Jak chcesz, wodzu — powiedział Kuulvo z wzruszeniem ramion. Już wcześniej dostrzegł to samo co Aksandrias. Taharka miał skłonność do zbyt ryzykownej gry, pozostawiał sobie zbyt wąski, bądź wręcz żaden margines bezpieczeństwa. Zupełnie jakby w umyśle herszta było coś, co uniemożliwiało

mu uświadomienie sobie, jakie wzburzenie wywołują jego zbrodnie. Kuulvo pomyślał jednak, że to nieistotne. Wkrótce wyruszy z częścią ludzi i niewolnikami na południe. Jeśli po powrocie okaże się, że bandę Taharki wybito, no to co? Zawsze były jakieś wojny, jakieś godne złupienia prowincje, jacyś ludzie gotowi wesprzeć go w tym dziele. Dla wyjątego spod prawa człowieka znaczenie miało jedynie przedłużenie własnej egzystencji.

— Chcę, byś jutro pojechał na południe — powiedział Taharka, gdy wracali do jaskini. — Dziś przed wieczorem wrócił jeden ze zwiadowców z

wiadomością, że głównym szlakiem z Leukty zdąża jakaś wielka karawana.

Porusza się powoli, ponieważ wielu jej członków wędruje pieszo. Gdybyś jutro zasadził się z ludźmi przy trakcie, zapewne już pojutrze mógłbyś ją dopaść.

— Jest silnie strzeżona? — spytał Kuulvo.

— Raczej nie — odpowiedział Taharka. — Będzie paru strażników, ale przewodnicy karawan zawsze skąpią pieniędzy na takie wydatki. Zamiast tego zbierają jak najwięcej motłochu. Liczą, że w ten sposób odstraszą takich jak my, tak jakby wilk przejmował się wielkością stada owiec.

— Czyli czeka nas łatwy łup — rzekł Kuulvo z uśmiechem.

— Tak, ale jego zdobycie trzeba starannie zaplanować. Ja ruszam na zachód, powinienem wrócić jutro w nocy. Aksandriasa zamierzam wysłać na południe po bydło. Powinien sobie poradzić z tym zadaniem.

— Nie ufasz już temu przystojniakowi? — Kuulvo uniósł sardonicznie brew.

— Niestety, nie jest już człowiekiem, którego zwerbowałem — Taharka westchnął głęboko. — Wtedy był szybki, zręczny, a nawet umiarkowanie odważny. Przede wszystkim jednak był interesujący. Teraz coś go gryzie; jestem pewny, że to z powodu tamtej jednookiej dziewczki.

— Wciągnięcie do walki i porażka z ręki kobiety to bolesny cios dla kogoś, kto uważa się za wielkiego wojownika — stwierdził Hyperborejczyk. — Gdyby ograniczył się do myślenia głową, zamiast...

Rozmowa urwała się, gdy z jaskini wytoczyła się zgraja pokrzykujących i szturchających się mężczyzn. Dwóch z nich obrzucało się kwiecistymi wyzwiskami. Gdy tylko znaleźli się na otwartym terenie, odskoczyli od siebie i sięgnęli po miecze. Pozostali szubienicznicy otoczyli ich szerokim kręgiem.

— Co to ma znaczyć?! — zagrział Taharka, przedzierając się przez ludzki krąg i mając tuż za sobą Kuulwę. Ujrzeni, że jednym z roześlonych mężczyzn był Koryntiańczyk imieniem Parva, a drugim, ku ich zdumieniu, nikt inny jak Aksandrias.

— Wytłumaczcie się natychmiast! — zażądał herszt.

— Ten pies podrywa mój autorytet! — krzyknął Aksandrias, celując palcem w Parwę.

— Powiedziałem, że jesteś tchórzliwym cwaniakiem, podlizującym się wodzowi i migającym się od udziału w robocie i ryzyku! — zawołał drugi mężczyzna — I mogę to powtórzyć! Wyciągaj broń, jeśli jesteś choćby w połowie tak dzielny, za jakiego chcesz uchodzić!

Coś podobnego, pomyślał Taharka. Może jego zastępca odzyskiwał odwagę, chociaż i tak nie miał jej nigdy za wiele.

— Wiecie, jakie są zasady naszego bractwa — powiedział Kshańczyk. —

Nikogo nie faworyzuję. Jeden z was rzucił oskarżenie, a drugi temu zaprzeczył; musicie walczyć. Jeden z was ma zginąć! Jaką broń wybieracie?

— Tę, którą mam w ręku! — Parva uniósł swój zakrzywiony miecz.

Aksandrias również podniósł własne proste ostrze.

— A ja tę! Chodź no, posmakuj jej!

Nie zwlekając, rzucili się do walki. Chóralne okrzyki przywitały pierwsze szczęknięcie stali. Taharka był zadowolony z tej awantury. Skoro Aksandrias przestał nadawać się do swojego rzemiosła, lepiej, żeby zginął teraz. Mężczyźni nie tracili czasu na okrażanie się czy wypróbowywanie swoich umiejętności.

Taharka był zdziwiony. Wiedział, że Aksandrias uważał się za utalentowanego szermierza i polegał bardziej na zręczności i zwodach niż sile i gwałtowności ataku. Teraz jednak zaatakował przeciwnika natychmiast. Ostrza uderzały w siebie bez chwili przerwy i dźwięczały donośnie. Obydwaj szermierze cięli i parowali cięcia, zadawali sztychy i zastawiali się z zadziwiającą zajadłością, miarkowaną jedynie przez przebiegłość.

Aksandrias zaczął spychać Koryntiańczyka w stronę zagród dla niewolników.

Parwa ustępował mu pola, szurając podszwami poitańskich butów, by nie potknąć się przypadkiem o kamień. Nim jednak został zepchnięty pod ogrodzenie, zaatakował z furią, blokując wypad Aquilończyka, ściągając w bok jego parujący cios i równocześnie kopiąc wysoko. Trafił przeciwnika w ramię.

Broń Aksandriasa wyleciała mu z ręki i wpadła do zagrody, przebijając niewolnika. Krzyk bólu nieszczęśnika zagłuszyły owacje, nagradzające mistrzowski manewr i stanowiące zachętę do krwawego rozprawienia się z Aquilończykiem.

Ten z gardłowym okrzykiem wy dobył swój sztylet zingarańskiej roboty. Jego lekko zakrzywione, dwustronne, starannie wyszlifowane ostrze miało półtorej piędzi długości. Nie czekając na kolejny ruch przeciwnika, Aksandrias skrócił

dystans. Parva nie spodziewał się takiego posunięcia. Odskoczył w tył, zasłaniając się na ukos szablą

i starając się ciąć Aquilończyka w ramię. Cios był jednak zbyt słaby i źle wyliczony. Aksandrias odtrącił go sztyletem, lewą ręką chwycił Parwę za nadgarstek i stosując dźwignię, rąbnął ręką przeciwnika w ogrodzenie. Parva upuścił broń ze stęknieniem bólu. Aksandrias zamachnął

się sztyletem ku jego gardłu, jednak ze zrodzoną z desperacji siłą przeciwnik szarpnął się w tył, pociągając Aquilończyka za sobą. Sztylet minął cel o grubość palca. Impet ciosu w połączeniu z szarpnięciem sprawiły, że Aksandrias zatoczył się o pół obrotu. Nie starał się jednak zatrzymać, lecz wykonał przewrót i wylądował znowu na nogach twarzą do wroga. Parva zorientował się, że zginałby, nim zdążyłby podnieść szablę. Z wściekłym uśmiechem wyciągnął własny, wąski sztylet wschodniej roboty.

— No, nie taki z ciebie mięczak, na jakiego wyglądałeś — rzucił zjadliwie Koryntiańczyk. — Zaskoczyłeś mnie, przystojniaku, ale nawet dzięki swoim sztuczkom nie pozdziesz już długo.

Aksandrias wyciągnął dłoń z przykurczonymi palcami, jak gdyby zachęcając Parwę, by się do niego zbliżył.

— Chodź, dokończymy taniec. Ludzie się nudzą. Przez cały dzień patrzyli tylko na krowie flaki. Czas, żeby zobaczyli flaki wieprza!

Dwaj mężczyźni z wykrzywionymi wściekłością twarzami znów rzucili na siebie. Parva schylił się, jak gdyby zamierzał wypruć trzewia z Aksandriasa.

Gdy Aquilończyk zgarbił się, chroniąc brzuch, Parva wyprostował się i zadał

szeroki cios z boku, starając się ugodzić Aquilończyka w szyję. Z wyśmienitą koordynacją i szybkością ruchów Aksandrias wyciągnął lewą rękę, odtrącił

dłoń z nożem w górę i w bok tak, że ostrze minęło cel o pół dłoni, i podskoczył

do przeciwnika, zadając cios.

Sztylet ugodził Parwę w dół brzucha. Widzowie zamilkli na moment, gdy dwóch mężczyzn stanęło przy sobie, nieruchomo jak posągi. Dłoń

Koryntiańczyka powoli kontynuowała ruch za głową Aksandriasa.

Znieruchomiała dopiero po chwili, zaś sztylet wypadł z bezwładnych palców.

Aquilończyk skręcił swój sztylet wypukłym ostrzem w górę i podciągnął go, rozcinając mięśnie i trzewia aż do mostka. Jeszcze raz obrócił ostrze, pchnął

głębiej i zatoczył pełny obrót, rozpruwając serce i płuca. Wsparłszy się lewą dłonią o pierś Parwy, Aksandrias odepchnął się od przeciwnika, teraz już stojącego trupa. Parva stał jeszcze przez chwilę. Przewrócone oczy ukazały białka. Potem krew i trzewia trysnęły z niego, jakby w środku coś wybuchło.

Trup zatoczył się i padł na twarz w rozszerzającą się kałużę posoki i treści jelit.

Ludzie niemalże oszaleli, wiwatując na widok zdumiewającego wytrzewienia pokonanego Koryntiańczyka. Stłoczyli się wokół Aksandriasa, poklepując go po plecach i gratulując mu zwycięstwa. Aquilończyk uśmiechał się w odpowiedzi na pochwały. W końcu wydostał się z tłumu i zataczając ruszył w stronę strumyka. Uklęknął na brzegu i napił się, zanurzając twarz w wodzie.

Gdy ugasił pragnienie, wetknął w wodę okrwawioną do łokcia rękę. Obmył ją i sztylet do czysta. Gdy chował nóż, podszedł do niego Taharka.

— Doskonale się spisałeś, przyjacielu. Nie sądzę, by od tej pory ktoś sprawiał ci kłopoty.

Aksandrias wstał i skinął głową. Patrzył trzeźwo, ale wyglądał na wyczerpanego.

— Mam nadzieję. Zaczęły mnie drażnić kpiny za moimi plecami. Kiedy ten pies odważył się obrazić mnie otwarcie, postanowiłem położyć temu kres.

— Bardzo dobrze — powiedział Taharka. — Idź, odpocznij trochę. Chcę, żebyś jutro wyruszył na małą wycieczkę.

— Zrobię wszystko, co każesz — stwierdził stanowczo Aksandrias. — Nie jestem gorszy od tego Hyperborejczyka.

— Wiem o tym doskonale — zapewnił go Taharka. — Jutro czeka cię

bardziej wymagające zadanie, ale teraz odpocznij. Walka na śmierć i życie z godnym przeciwnikiem kosztuje wiele sił.

Aksandrias skinął głową i odwrócił się. Gdy szedł w stronę jaskini, Taharka wiódł za nim zadumanym spojrzeniem. Pomyślał, że musi zwrócić na

Aquilończyka jeszcze baczniejszą uwagę.

Powłócząc nogami, Aksandrias dotarł do swojego legowiska w niewielkim zagłębieniu w ścianie pieczary w pobliżu tajnego wyjścia. Kobieta, która mu zwykle towarzyszyła, podeszła do niego, lecz machnięciem ręki kazał jej odejść.

Przy świetle kaganka zajrzał do małej drewnianej skrzyneczki. Miał jeszcze duży zapas pigułek, które kupił od kapłana w Crotonie.

Usłyszawszy obrazę Parvy wypowiedzianą tak głośno, iż nie mógł udać, że do niego nie dotarła, wrócił tu i zażył jedną z kulek zielonej żywicy. Gdy tylko poczuł jej działanie, wyzwiał Koryntiańczyka. Przecież kapłan powiedział, że każdy może zażyć narkotyk bez większego uszczerbku na zdrowiu. Gdy znalazł

się na zewnątrz i przyszło do wyciągnięcia broni, wyszeptał zaklęcie, by dodatkowo się zabezpieczyć. Jak się okazało, warto było zaryzykować.

Nie zamierzał przecież zrobić tego jeszcze raz.

ROZDZIAŁ 10

Conan wjechał na szczyt niewielkiego wzgórza i popatrzył na karawanę. Tuż za nim podążała Kalia. Miała ze sobą długą lancę, której koniec opierała o strzemię w siodle. Cymmerianin dotąd nie uczył się walczyć lancą z końskiego grzbietu, dlatego polegał na swoim mieczu.

Karawana rozciągała się na pół mili. Na przedzie jechało kilku strażników w lśniących zbrojach. Podobnie odziani jeźdźcy tworzyli straż tylną. Pomiędzy nimi rozciągał się długi rząd wyładowanych wozów, zwierząt pociągowych, pieszych wędrowców, a nawet lektyk dźwiganych przez niewolników. Widok był barwny i egzotyczny, jednak Conan nie był w nastroju do podziwiania jego piękna.

— Niech Crom przeklnie ich głupotę! — powiedział, gdy Kalia dołączyła do niego. — Popatrz tylko, wloką się jak wąż z przetrąconym grzbietem! Ta zbieranina to doskonały cel dla wszystkich okolicznych bandytów. Gdyby trzymali się bliżej siebie, jedynie silna grupa mogłaby zaatakować ich bezkarnie, a tak nawet mała banda poradzi sobie z nimi — machnął ręką zirytowany.

— Spróbuj porozmawiać o tym z Burrą — powiedziała zachęcająco Kalia.

Burra, dowódca straży, był aroganckim prostakiem, którego rozsądek był równy znikomej inteligencji. Uważał Conana za niewiele lepszego od zwierzęcia barbarzyńce i wcale tego nie taił. Wyznaczył Cymmerianina i Kalię na straż boczną, by mieć jak najmniej do czynienia z — w swoim mniemaniu —

przedstawicielami motłochu.

— Pewnie, że mu powiem — rzekł Conan. — Powiem też temu durniowi

Hazdralowi.

— Równie dobrze możesz pogadać także z tamtą jaszczurką na kamieniu.

Poza tym, czy nie byłoby dla nas najlepiej, gdyby bandyci rzeczywiście napadli na karawanę? Gdybyśmy nie byli kuszącym celem, ludzie Taharki trzymaliby się od nas z daleka i nie mielibyśmy żadnej szansy spotkać się z nimi.

— Owszem — powiedział Conan. — Masz rację, mimo to złość mnie ogarnia, gdy widzę, że ludzie, którym przyrzekłem ochronę, są bezbronni.

— Nie możemy chronić wszystkich. To obowiązek całej straży. Poza tym, co nas obchodzą te barany? — zamyśliła się na chwilę i dodała: — Cóż, Vulpio i Ryula to nasi przyjaciele, ale resztę mam serdecznie w...

— Jedźmy — powiedział Conan. — Spróbujemy jeszcze raz przekonać tych głupców. Jeśli nie będą

chcieli nas posłuchać, niech krew wędrowców spadnie na ich głowy.

Kopnął piętami końskie boki. Potrząsnąwszy bezradnie głową, Kalia podążyła za nim.

Kiedy dojechali do spalonego Hazdrała, pod którym uginał się umęczony koń, przywódca karawany rozmawiał właśnie z Burrą. Obydwaj popatrzyli zimno na młodego Cymmerianina i jednooką dziewczynę.

— Dlaczego nie jesteście na swoim miejscu? — zapytał ostro dowódca straży.

Jego doskonała turańska zbroja lśniła w promieniach słońca. Był to przysadzisty człowiek o wygolonej, kwadratowej głowie i sumiastych wąsach, opadających znad warg prawie po pierś.

— Bo moja straż ani tam, ani gdziekolwiek indziej nie ma najmniejszego sensu — odparł Conan. — Jesteśmy tak rozciągnięci, że byle kto może napaść na karawanę w każdym jej miejscu i odjechać z łupami, zanim strażnicy zdążą cokolwiek zrobić.

— Jesteś zbyt lękliwy, młody człowieku — powiedział Hazdrał. — Nie masz pojęcia, jak się prowadzi karawanę. Wędrowałem tymi szlakami od wczesnej młodości. Ta karawana jest trzykrotnie większa od wszystkich, jakie prowadziłem. Bandyci są tchórzami, inaczej byłiby wojownikami. Nie zaatakują tak licznej wyprawy.

— Gdyby to było Pustkowie Piktyjskie, już dawno rozsiekano by nas wszystkich — stwierdził Conan.

— To nie żadna z twoich północnych puszczy, chłopcze, ale cywilizowane ziemie, o których nie masz pojęcia — odparł szyderczo Burra. — Lepiej zamilcz, zamiast wtrącać się do rozmowy bardziej doświadczonych ludzi.

Wracaj na swoje miejsce!

— Sam jesteś głupcem i zginiesz jak głupiec! — wykrzyknął Conan. Zawrócił

konia i odjechał. Pogoniły za nim głośnie przekleństwa Burry.

Conan dojechał do środka karawany, gdzie posuwał się rząd ładownych wozów z cennymi dobrami. Między nimi poruszały się mniejsze zaprzęgi z dobytkiem trupy cyrkowców. Większość z nich maszerowała koło wozów, ćwicząc swe sztuczki. Przestali żonglować, śpiewać i wywijać kozły, gdy podjechali do nich Conan i Kalia.

— Trzymajcie się razem — doradził im Cymmerianin. — Znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie. Tuż koło was jest najcenniejszy łup dla bandytów

— wskazał na wielkie wozy, jadące obok z przeraźliwym skrzypieniem drewnianych kół. — Gdybyśmy zostali napadnięci, straż na nic się nie przydadzą.

Zawrócił konia i odjechał, wzniesając wielki obłok kurzu. Za nim narastał

niespokojny gwar.

Tego dnia Conan i Kalia jechali po lewej stronie karawany.

— Powinniśmy trzymać się wzgórz — stwierdził Conan. — Bandyci uderzą na karawanę z boku. Chcę wiedzieć z góry, kiedy to się stanie.

Wysforowali się przed karawanę i znaleźli pagórek wyższy od okolicznych wzgórz. W dole widać było sunący wolno orszak. Słońce zniżyło się na niebie, opadając ku wzniesieniom za karawaną.

— Mylisz się — stwierdziła Kalia stając w strzemionach. — Atakują z przodu.

— Co?! — Conan popatrzył na szlak przed karawaną. Blokowała go grupa uzbrojonych ludzi, wymachujących bronią i coś krzyczących. Straż przednia nie pozostawiała im dłużna. Widząc, że strażnicy są liczniejsi niż bandyci, Burra nakazał atak w szyku. Po chwili wahania przestępcy zawrócili i odjechali galopem. Strażnicy z zapalem ruszyli za nimi w pościg.

— Przyłączymy się do nich? — spytała Kalia.

— Nie — odrzekł Conan. — Patrz! — wskazał na zachód, gdzie widać było dwie maleńkie sylwetki jeźdźców, z całych sił poganiających wierzchowce w kierunku karawany. — Główne siły zaatakują z boku, tak jak powiedziałem, mając słońce za plecami. — Nim zdążył dopowiedzieć te słowa, zza wzgórz na zachodzie wynurzył się duży orszak konnych, w pędzie zbliżających się do karawany. Trudno było ocenić ich liczebność, ponieważ posuwali się na tle zachodzącego słońca.

— Jedziemy — powiedział Conan. — Zobaczymy, czy zdołamy cokolwiek pomóc, ale walka jest już przegrana. Nie ma sensu, byśmy również zginęli.

Wspólnie zjechali ze wzgórz i dołączyli do potyczki. Bandyci dotarli pomiędzy zaprzęgi i zeskakiwali już z koni na wozy z towarami. Mordowali woźniców, rozcinali bele, otwierali skrzynie. Dwóch napastników ujrzało zbliżających się jeźdźców i wyjechało na ich spotkanie. Jeden z nich, Shemita, próbował

przeszyć Conana włócznią, lecz Cymmerianin chwycił ją tuż za grotem i wyrwał z ręki mężczyzny, a w chwilę później rąbnął go mieczem w hełm.

Martwy bandyta zwałił się w trawę z rozszczepioną czaszką. Odwróciwszy się Conan ujrzał, jak Kalia wyciąga swą lancę z wijącego się w agonii drugiego napastnika. Szybkim spojrzeniem ogarnął chaotyczną rzeź i zobaczył, że jeden z bandytów zatrzymał się z boku, wydając rozkazy pozostałym. Conan ruszył

ku przywódcy bandytów, który obrócił się w jego stronę. Cymmerianin dostrzegł w tym momencie, że twarz pod hełmem jest blada, więc nie był to Taharka. Moment później rozpoznał tego człowieka. Hyperborejczyk!

Przynajmniej trafili na właściwą bandę!

Wysoki mieszkaniec Północy obrócił konia w stronę Conana, zarzucając przy tym kitą białego końskiego włosia przy hełmie. Wydobyl wielki miecz i spiał

wierzchowca ostrogą. Dwukrotnie wymienił ciosy z Conanem, po czym minęli się z rozpędu i jeszcze raz zawrócili konie. Z jednego z wozów karawany jakiś bandyta skoczył z nożem na Cymmerianina, ten jednak jednym ciosem niemalże przepołowil go w powietrzu. Za chwilę barbarzyńca zderzył się z Hyperborejczykiem. Koń Conana zatoczył się przygniatając nogę

Cymmerianina do drewnianego boku wozu. Ze stłumionym okrzykiem gniewu i nienawiści Conan zadał cios na odlew, trafiając Hyperborejczyka w skroń i strącając mu hełm z głowy. Jego własny koń stanął dęba, a Conan zeskoczył

na ziemię i wtoczył pod wóz, uciekając przed kopytami rozszalałych wierzchowców. Udo przeszywał mu silny ból, jednak szybkie spojrzenie upewniło go, że kość jest cała, a krwawienie niewielkie.

Usłyszał trąbienie rogu i tupot kopyt oddalających się koni. Wyczołgał się spod wozu i zobaczył, że bandyci umykają, przerzuciwszy przez siodła paru porwanych wędrowców. Kulejąc i sycząc z bólu, powlókł się wzdłuż wozów ku jęczącym kobietom i krzyczącym rannym.

— Kalia! Gdzie jesteś? — zawołał.

Podjechała prowadząc jego konia.

— Kiedy zobaczyłam co się dzieje, myślałam, że już po tobie — powiedziała.

— Na szczęście wtoczyłeś się pod wóz.

Podala mu wodze, a Conan krzywiąc się z bólu wdrapał się na siodło.

— Spisywałem się lepiej w walce — powiedział krytycznie — ale przynajmniej żyję. Jesteś ranna?

— W każdym razie nic nie czuję. Ty zobacz.

Obróciła się w siodle. Conan przyjrzał się jej skąpo odzianemu ciału.

— Nie widzę żadnych ran. Na tobie nie dałoby się ich ukryć. Ilu ludzi straciliśmy?

— Czy to ważne? — odrzuciła. — Zobaczmy, co z Vulpiem i Ryulą.

Podjechali truchtem do mniejszych wozów. Jak można się było spodziewać, cyrkowcy lamentowali chórem. Wśród nich znajdowały się najpiękniejsze kobiety w karawanie. Znaleźli Vulpia pochylonego nad martwym bandytą.

Właśnie wyciągał z jego gardła jeden ze swoich sztyletów. Gdy zbliżyli się do niego, sztukmistrz podniósł ku nim wzrok, w którym malowało się cierpienie.

— Porwali Ryulę! — powiedział gorączkowo. — Jeden z tych łotrów

przerzucił ją sobie przez siodło jak worek mąki, a mnie nie został ani jeden sztylet!

— Taka zwinna jak węgorz kobieta dała się porwać? — spytała Kalia.

— Dostała od tyłu w głowę drzewcem włóczni, gdy pomagała wstać

przyjaciółce — odpowiedział Vulpio. Ujrzał, że inny bandyta próbuje wstać, i cisnął w niego sztyletem, trafiając w oko. — Była ogłuszona, kiedy wciągnięto ją na konia. Musimy ruszać za nimi w pościg.

— Nie musisz mi tego mówić — odparł Conan. — Zamierzamy dopaść tych łotrów. Znajdź dobrego konia i jedziemy.

Ujrzeni zbliżającą się od czoła karawany grupę jeźdźców. Prowadzili ich Hazdrał i Burra.

— Co się tu stało? — spytał przywódca karawany.

— Porwano kilka kobiet — powiedział Conan. — Ruszamy w pościg.

— Nic podobnego — odparł Hazdrał. — Mamy lepsze rzeczy do roboty, niż ratowanie jakichś cyrkówek. Mam dość kłopotów z obrabowanymi kupcami.

Dołączcie do pozostałych strażników.

— Ruszamy za bandytami — warknął Conan. — Kalia również. Co do

strażników... — z pogardą powiódł wzrokiem po Burrze i pozostałych — ...nie widzę, by którykolwiek miał zakrwawioną broń.

Burra podjechał do Conana.

— Za dobry jesteś, żeby dalej z nami jechać, dzikusie? — spytał groźnie. —

Dosyć mam twojej bezczelności!

Zaczął wyciągać miecz z pochwy. Zdążył wydobyć go do połowy, gdy Conan ściął mu głowę. Spadła na ziemię razem z dwoma kawałkami wąsów.

— Proszę — powiedział Conan do Hazdrała. — Zarobiłem na swoją zapłatę —

twoja karawana jest teraz o wiele bezpieczniejsza. Możesz jednak zatrzymać swoje złoto, grubasie — gniewnie powiódł wzrokiem po pozostałych

strażnikach. — Ktoś jeszcze chce mi się naprzykrzać? — Odpowiedziało mu milczenie. Wszyscy unikali jego wzroku. — I bardzo dobrze.

Wiele koni pozostało bez jeźdźców. Conan, Kalia, Vulpio i czterech innych akrobatów, którzy postanowili przyłączyć się do pościgu, spieszenie zebrali trochę zapasów, wsiedli na konie i ruszyli pod wodzą Cymmerianina. Nim minęła godzina, Conan nakazał postój.

— Robi się za ciemno, by dziś dalej ich ścigać — stwierdził.

— Ależ oni się nie zatrzymają! — zaprotestował Vulpio. — Zanim wzejdzie słońce, wyprzedzą nas o wiele

godzin.

— To prawda — rzekł z niezmaconym spokojem Conan. — Jeśli jednak teraz ruszymy dalej, możemy całkowicie zgubić ich trop. Lepiej trzymać się ich śladu od samego świtu, niż szukać go jutro przez cały dzień.

— Ma rację — poparła go Kalia. — Rozbijamy tu obóz.

Pozostali cyrkowcy szemrali i przeklinali, lecz wypełnili rozkaz Conana.

Kiedy spętano konie, Kalia podeszła do Cymmerianina.

— Ten, którego strąciłeś z konia, to był Hyperborejczyk, prawda? — spytała.

— Tak. Następnym razem będzie ostrożniejszy, wchodząc mi w drogę. Nie wątpię, że niedługo zobaczymy Aksandriasa i Taharkę — ujrawszy błysk w jej oku, dodał: — Może okaże się, że jest z nimi setka innych. Musimy się dobrze zastanowić, co dalej.

Taharka wyszedł z jaskini by przyjrzeć się nowym łupom. Juki z towarem i półprzytomnych ludzi zwałano na trawę. Rosła na niej sterta jaskrawych tkanin, błyszczących metali i białych ciał.

— Dobry połów — powiedział herszt do zsiadającego z konia Kuulva.

Zauważył zakrwawiony bandaż, owinięty wokół głowy swego zastępcy. —

Natknąłeś się na opór?

— Niewielki, lecz jeden ze strażników popisał się lepiej niż cała reszta —

odparł Kuulvo. — Był to ten cymmeriański młodzik, którego spotkaliśmy w Crotonie. Na Ymira, jeszcze mi dźwięczy w uszach po jego ciosie. Gdybym nie miał na głowie dobrego hełmu...

— Cymmerianin? — rzekł Taharka. — Któż to jest? Dlaczego się włóczy za nami?

Usłyszał te słowa Aksandrias, nachylający się nad jedną z jęczących kobiet.

— Była z nim jednooka dziewczyna? — w jego oczach znów pojawił się błędny wyraz.

— Nie widziałem jej — odpowiedział Hyperborejczyk wzruszając ramionami tak, że zazgrzytała jego karacena.

— Ja ją widziałem — powiedział Stygijczyk o zwierzęcej twarzy i w hełmie z błękitnej stali. — Półnaga dziewczka w przepasce na oku? Była tam. Zabiła lancą trzech naszych.

— Równie zręcznie posługuje się lancą jak mieczem — zauważył Taharka. —

Ta kobieta ma wiele talentów. Podejrzewam, że mogli się tam znaleźć zupełnie przypadkowo. Ponieważ oboje potrafią posłużyć się bronią, najęli się na strażników karawany i dotarli do naszego terytorium. Pamiętajcie, że to myśmy zaatakowali karawanę, a nie oni nas.

— Nie! — zaprzeczył Aksandrias. — Tych dwoje to demony, zesłane przez jakichś mściwych bogów, by nas zniszczyć!

— Jesteś przemęczony, przyjacielu — powiedział surowo Taharka. —

Przestań pleść bez zastanowienia, bo wystraszysz ludzi.

Aksandrias uspokoił się i pochylił głowę.

— Wybacz, wodzu. Bez przerwy myślę o tej parze szakali.

— Nie masz za co przeproszać — odrzekł herszt. — Jest ich tylko dwoje, a nas o wiele więcej. Gdyby nadal sprawiali nam kłopoty, poradzimy sobie z nimi. Przejdźmy do ważniejszych spraw — z aprobatą popatrzył na jeńców. —

Kto to?

— Akrobatki, zonglerki i śpiewaczki — powiedział Kuulvo. — Z karawaną podróżowała wielka trupa cyrkowców. Wybraliśmy najładniejsze okazy.

— Wspaniale. Za kobiety o tak rzadkich talentach dostaniemy przyzwoitą cenę w zamtuzach na Południu. Dom Najwyższej Rozkoszy w Khorshemish zawsze starał się dobierać kobiety o wyjątkowej gracji i giętkości członków.

— Kiedy zabierzemy je na Południe? — zapytał Kuulvo.

— Mnie też udało się wczoraj zebrać sporo przyzwoitych jeńców —

powiedział Taharka. — Łącznie z tymi zrobi się nam zbyt duży tłok. Dobierz sobie ludzi, zakuj jeszcze dzisiaj wszystkich niewolników w kajdany.

Wyruszysz jutro wczesnym świtem. Umówimy się wieczorem, gdzie spotkamy się po twoim powrocie.

Tej nocy, po ucztach Taharka rozsiadł się zamyślony na swoim tronie. Było to dla niego dość

niezwykle, ponieważ zazwyczaj żył chwilą, a przeszłość i przyszłość nie miały dla niego większego znaczenia. Brał z życia to, na co miał

ochotę, a inni ludzie stanowili dla niego jedynie narzędzia do spełniania zachcianek. Luksus i bogactwa sprawiały mu przyjemność, więc przywłaszczał

je sobie bez zgody właścicieli. Świat był dla niego martwy, o ile nie dawał

żądanych rozrywek. Ponieważ tymi rozrywkami były chaos i zniszczenie, Taharka siał je, gdzie popadło. Jeśli ludzie sprawiali mu kłopoty, grozili mu, czy po prostu stawali się dla niego niewygodni, zabijał ich bez wahania. Z

równą beztronską zdradzał tych, którzy mu ufali. W swojej działalności wspierał

się inteligencją, talentem stratega, a przede wszystkim wyjątkowymi zdolnościami przywódczymi i umiejętnością zaskarbiania sobie sympatii i zaufania. Jak dotąd, te zdolności zawsze wystarczały mu do osiągnięcia przewagi nad światem wypełnionym ludźmi pośledniejszego gatunku.

Teraz jednak świat zdawał się rzucać mu wyzwanie. Ktoś starał się wytropić go i zabić. Nie jednooka kobieta, tej bez wątpienia chodziło o Aksandriasa.

Taharka był pewny — chociaż sam nie wiedział dlaczego — że cymmeriański młodzik jest jego osobistym wrogiem. Zapewne stało się to w rezultacie niefortunnej wyprawy do Cymmerii. Keshanńczyk nie potrafił zrozumieć tak gwałtownej żądzy zemsty, wiedział jednak, że często stanowi ona potężny motyw ludzkich działań. Cóż on takiego zrobił, że Cymmerianin podążał za nim przez pół świata, zabił Bossończyków oraz Gunderlandczyków i zdawał się być gotów przeznaczyć resztę życia na przemierzanie pozostałej części świata?

I to przedstawiciel narodu, który był znany z tego, że nie lubił opuszczać rodzinnej ziemi.

Była to zagadka. Taharka nie lubił zagadek. Zadowolony był, mogąc manipulować światem i jego mieszkańcami. Ten irytujący drobiazg stanowił

zakłócenie właściwego porządku rzeczy.

Ogarnięty przygnębiającymi myślami, uniósł do ust srebrny puchar.

Zatrzymał rękę w półruchu, ponieważ nagle dostrzegł migoczący zielony blask.

Wiedział, że kielich nie jest ozdobiony żadnym zielonym klejnotem. Rozejrzał

się po jaskini. Wszędzie chrapali pijani bandyci. Dogasające po uczcie palenisko świeciło mętną czerwienią. Tu i ówdzie w ścianę powtykano obejmy na małe pochodnie i oliwne lampki, służące do oświetlania sypialnych nisz.

Taharka odwrócił głowę. Ujrzał, że zielony blask pada z tyłu pieczary. Włosy stanęły mu dęba gdy zobaczył, że jego źródłem jest niewielki, boczny tunel. W

czasie swoich wędrówek widywał już takie światło. Po raz ostatni w pewnej świątyni w Crotonie. Powoli wstał i zszedł z tronu. Podszedł do chrapiącego strażnika i potrząsnął nim za ramię. Mężczyzna nie obudził się.

Zniecierpliwiony, Taharka kopnął go w żebra, również bez skutku.

Przeklinając wszystkich pijaków, starał się obudzić innych. Wszyscy chrapali w najlepsze. Keshanczyk zrozumiał, że ich sen nie jest naturalny.

Zastanowił się czy nie powinien uciec, lecz powiedział sobie, że wie, jak poradzić sobie w takiej sytuacji. Nie było na razie potrzeby wpadać w panikę.

Przypasał zostawiony przy tronie miecz i powoli, ostrożnie ruszył w głąb jaskini.

Nie zauważył wcześniej tej odnogi, z której padał tajemniczy zielony blask, ale też nigdy dokładnie nie spenetrował pieczary. Odnoga była na tyle wysoka, że mógł iść nią, nie schylając się. Uszedł ledwie dziesięć kroków, gdy ujrzał

źródło światła.

Zielony ogień płonął w zagłębieniu dna jaskini. Nie dawał w ogóle ciepła.

Koło ognia siedział trupio wychudzony człowiek z gorejącymi czarnymi oczami, w pozbawionej rękawów czarnej szacie.

— Witaj, Taharko z Keshanu — powiedział siedzący mężczyzna.

— Witaj, kapłanie — odparł bandyta, wsparłszy dłoń na głowicy miecza. —

Co cię sprowadza do mojej skromnej siedziby?

— Twoje przeznaczenie, jak dobrze wiesz. Nie myśl nawet o użyciu wobec mnie przemocy, to bezcelowe. Kapłan świątyni w Karutonii, znanej ci pod nazwą Crotonu, był nieostrożny. Za długo przebywał w zbytnim oddaleniu od Potęg, gdzie biorą źródło wielkie wydarzenia, wpływające na Wszechświat od jego początków. Ja jestem zbyt potężny, byś mógł mi wyrządzić szkodę swoją żalosną bronią.

— Rzeczywiście, kapłanie — powiedział Taharka rozumiejąc, że udawanie niewiniątka nie ma sensu. — Zabiłem go przy pierwszej sposobności, ponieważ nie chcę mieć więcej do czynienia z waszą sektą.

— Nie zabiłeś go — odparł siedzący człowiek. — On doniósł o twoim czynie w parę godzin po jego popełnieniu.

Taharka poczuł się urażony, że zarzucono mu brak fachowości w rzemiośle zabójcy.

— Nie zabiłem go? Wydawało mi się, że zabrałem się do dzieła dokładnie.

Mam pewną wprawę.

— Nie tak łatwo nas zabić — wąskie usta kapłana wykrzywiły się w

sardonicznym uśmiechu. — Powiedziałbym nawet, że to niemożliwe. Jedyne niektórzy bogowie mogą pozbawić nas życia.

— Czego ode mnie chcesz? — zapytał herszt, czując bezradność w obliczu tak potężnego przeciwnika. Podejrzewał, że kapłan, czarnoksiężnik czy ktokolwiek to był, łągał na potęgę, lecz nie żywił złudzeń, że rozporządza wielką mocą.

— Siadaj! — rozkazał kapłan, wskazując miejsce po przeciwnej stronie ognia. Taharka usłuchał. — Cofnij się myślą o parę lat, do pewnej świątyni w Kutchmes. Przypominasz sobie, co się tam stało, prawda?

— Skoro tak twierdzisz — rzekł niechętnie Taharka. — Podczas napaści na Zamboulę porwałem pięć czy sześć wysoko urodzonych panien — uśmiechnął

się na to wspomnienie. — Same ślicznotki. Żadna nie miała więcej niż czternaście lat, a dla wszystkich była to pierwsza wycieczka tak daleko od domu. Powiedziano mi, że w pewnej świątyni w Kutchmes, poświęconej jakiemuś zapomnianemu bogowi, dostanę za nie dobrą cenę.

— Tak — przytaknął człowiek po drugiej stronie zielonego ognia. — Takie stworzenia są niezbędne do niektórych rytuałów. Co się stało, kiedy sprzedałeś swój towar?

Bandyta nachmurzył się.

— Jeden z kapłanów kazał mi iść za sobą w głąb świątyni. Chciał mi coś pokazać. Wiedziony kaprysem, usłuchałem go. Prowadził mnie bardzo długo, aż zacząłem myśleć, że padam ofiarą jakiegoś złudzenia. Z zewnątrz świątynia nie wyglądała na aż tak wielką. Kolumny też były niezwykle, rzeźbione na kształt ludzi z węzowymi łbami. Gdy pod nimi przechodziłem, miałem wrażenie, jakby mi się przyglądały. Zatrzymaliśmy się przy czarze z zielonym ogniem, który płonął nie dając ciepła, tak jak ten. Kapłan kazał mi zajrzeć weń i włożyć w niego dłoń. Nie wiem czemu, ale zrobiłem to. Wyjawiał mi parę sekretów waszej sekty oraz to, że urodziłem się w określonym miejscu pod określonym układem gwiazd i innych potęg, i dlatego moim przeznaczeniem jest odegrać wielką rolę w dziejach świata.

— Nie pociągał cię taki los? Czy kapłan nie ukazał ci, jakie rozkosze może dać ci twoje przeznaczenie?

— Och, uczynił to. — Taharka zaśmiał się gorzko. — Ukazał mi, jak triumfalnie wjeżdżam do podbitych miast, jak własnoręcznie ścinam pokonanych królów. Ujrzałem się wśród nieopisanych luksusów. Korzyli się przede mną szlachcice, tysiące najpiękniejszych niewolnic było gotowych oddać się mi na skinienie dłoni. Cały świat leżał mi u stóp, istniał tylko dla mojej rozrywki.

— Prawda, prawda — stwierdził kapłan. — Nadeszły czasy, gdy mocarni śmiałkowie, jeśli tylko okażą się dostatecznie dzielni, będą mogli skrwawionymi dłońmi wstrząsać tronami świata.

Niektórzy z nich, jeśli będą wystarczająco nieugięci, pozakładają imperia. Jest paru, zaledwie garstka, którzy dzięki wyjątkowemu brakowi skrupułów w pogoni za władzą absolutną mają szansę zdobycia panowania nad całym światem! Czy kapłan nie ujawnił

ci tego wszystkiego?

— Owszem — syknął Taharka. — Pokazał mi też, co czeka mnie u kresu panowania. Pokazał mi potwornego boga, którego wasza sekta przywoła z krwi ludzi wymordowanych przeze mnie po drodze do władzy. Oznajmił mi, że ów bóg pożre moją duszę, że zławszy się ze mną ta ohydna hybryda będzie rządzić przez dziesięć tysięcy albo więcej lat! — Taharka odchylił się z kamienną twarzą. — Nie, dziękuję, kapłanie, ale wolę być zwykłym bandytą, żyć w spokoju z dnia na dzień i cieszyć się prostymi przyjemnościami. Miło byłoby władać imperium, ale cena jest zbyt wysoka.

— Pokazano ci za dużo — stwierdził kapłan. — To nigdy nie przynosi pożytku. Trudno, znajdują się inni. Mieliśmy nadzieję, że możemy liczyć na ciebie, ponieważ jesteś zdolny do większego zła niż którykolwiek inny kandydat. Powtarzam jednak: nie jesteś jedyny!

Słowa kapłana nie sprawiły Taharce wiele zadowolenia, lecz zaczął liczyć na to, że wkrótce pozbędzie się intruza.

— Powiedz mi jedno, skoro wiesz tak wiele: kim jest ten Cymmerianin, który stara się zostać moim cieniem?

— Cymmerianin? — rzekł człowiek w czarnej szacie. — Nie wiem nic o żadnym Cymmerianinie.

Rozległ się potężny szum. Zielone płomienie wzniosły się aż pod sklepienie jaskini. Taharka oślepl na chwilę. Uniósł ramiona, jak gdyby broniąc się przed palącym ogniem. Kiedy ponownie otworzył oczy, zostały mu tylko plamy przed oczami.

— Kapłanie! — zawołał.

Odpowiedzi nie było. Wyciągnął przed siebie ręce i dotknął przeciwległej ściany pieczary. Klnąc soczyście, wrócił do jej najszerszej części. Po pewnym czasie migoczące mu przed oczami ogniki zbladły, ujrzał na nowo światło oliwnych lampek i pochodni. Wyciągnął jedną z nich z prymitywnej obejmy z wypalanej gliny, a potem prawie godzinę przeszukiwał głębszą część pieczary.

Nie znalazł ani śladu po odnodze, w której rozmawiał z czarownikiem. Tej nocy spał źle. Jego życie zanadto się skomplikowało.

W południe następnego dnia Conan zwątpił, czy rozsądnie zrobił, zabierając ze sobą ochotników. Chociaż obdarzeni licznymi talentami, akrobaci nie byli jednak dobrymi jeźdźcami. Zdeterminowani i uparci, szybko odparzyli sobie pachwiny od siodeł i tak często spadali z koni, że tylko cyrkowe talenty chroniły ich przez skręceniem karku lub połamaniem kości.

— Może powinniśmy ich zostawić? — spytała Kalia, jadąc u boku Conana.

— W ten sposób tracimy tylko czas.

Conan miał ochotę przyznać jej rację.

— Wiem, że chcą odzyskać swoje kobiety — powiedział. — Chciałbym, żeby jechali z nami, zwłaszcza Vulpio, obawiam się jednak... Co to? —

wyciągnąwszy dłoń, wskazał obłok kurzu na horyzoncie. — Jeźdźcy! Może to bandyci kierują się w tę stronę?

Kalia spojrzała we wskazanym kierunku.

— Nie powinni jechać stamtąd, chyba że zatoczyli wielkie koło. Co robimy?

— Zaczekamy tutaj — odparł Conan. — Damy trochę odpocząć koniom.

Kiedy będziemy wiedzieli, kto to taki, zdecydujemy czy uciekać, czy zostać.

Cyrkowcy dołączyli do nich. Czekali wspólnie, gotowi w każdej chwili do ucieczki. Okazało się, że podąża w ich stronę wielki oddział jeźdźców.

Uspokoili się nieco, widząc powiewające nad nim sztandary. Gdy konni zbliżyli się do grupki Conana, ich dowódca uniósł rękę. Oddział zwolnił i zatrzymał się w karny sposób. Kilku oficerów wyjechało do przodu.

— Jesteśmy Orlim Szwadronem wojsk króla Ophiru — powiedział wojak w najwspanialszej zbroi. — Szukamy wielkiej bandy grabieżców, grasującej w tej prowincji. Rabują i porywają tutejszych ludzi. Widzieliście ich?

Conan powstrzymał się od pytania, którego pretendenta do tronu reprezentuje to wojsko.

— Właśnie ich tropimy — powiedział. — Napadli na karawanę, z którą wędrowaliśmy, i wzięli do niewoli parę naszych kobiet. Jeśli chcecie, mogę was poprowadzić.

Oficer wyglądał na zaskoczonego.

— Potrafisz posuwać się ich śladem po tych bezdrożach?

— Bez trudności — zapewnił go Conan. Był zdziwiony, że wychowani w tym kraju ludzie nie potrafili wytropić na równinie wielkiej liczby poruszających się konno bandytów.

— Zaprowadź nas do nich, a nie minie cię szczodra nagroda — powiedział oficer.

— Będę jechał z przodu — rzekł Conan. — Niech twoi ludzie nie wyjeżdżają przede mną, bo zadcpczą tropy.

Oficer wydał niezbędne rozkazy. Conan poprowadził orszak. Królewscy żołnierze obrzucali Kalie zaskoczonymi lub pełnymi podziwu spojrzzeniami, ale trzymali języki za zębami.

ROZDZIAŁ 11

Słyszając gniewny krzyk strażnika, Aksandrias podniósł głowę. Bandyta wymachiwał włócznią, starając się zwrócić na siebie uwagę. Aquilończyk przeskoczył przez ogrodzenie, porzucając konia, którego właśnie oglądał.

Biegając pod górę, napawał się energią i siłą, które czuł w sobie.

Przebudził się tego ranka z szumem w głowie, uciskiem w żołądku i uczuciem, że śmierć nie byłaby czymś niepożądanym. Spał się na umór poprzedniego wieczora. Ostatnio stało się to jego nawykiem. Dla odzyskania dobrego samopoczucia przepołowił sztyletem jedną z zielonych pigułek i połknął ją. Tym razem nie wypowiedział zaklęcia, pewny, że pół pigułki na pewno mu nie zaszkodzi. Wkrótce poczuł się doskonale, jak gdyby odzyskał

utraconą młodość. Cały ranek spędził na szermierczych ćwiczeniach z kilkoma partnerami po kolei.

— Spójrz, panie! — powiedział wartownik, gdy się do niego zbliżył. — Jedzie tu mnóstwo konnych!

— Na Mitrę! — Aksandrias przez chwilę nie mógł złapać powietrza. Nie czuł

strachu, jedynie żywiej tętniącą w żyłach krew. — Zostań tutaj, a ja wezwę Taharkę — zbiegł przez kotlinkę do wejścia do pieczary. — Wodzu! —

krzyknął. — Wyjdź! Chyba będziemy mieli gości. Założę się, że odzianych w królewskie barwy!

Taharka wyszedł spiesznie z jaskini, dopinając rzemienie zbroi.

— Ilu? — zapytał zwięźle.

— Za wcześnie, by powiedzieć, ale wznoszą wielki obłok kurzu. Nie mieli kiedy się zjawić, tylko teraz, gdy brak nam jednej trzeciej ludzi.

— Może nas nie znajdą — powiedział Taharka. — Sam trafiłeś na kotlinkę tylko przez przypadek. — Powiedział to wyłącznie po to, by uciszyć wzbierającą wokół panikę. Wiedział, że teraz nie sposób było przeoczyć wydeptanego szlaku prowadzącego do kryjówki bandytów. — Idę się rozejrzeć. Zwołaj ludzi i rozstaw część pod szczytem kotlinki. Niech nie dopuszczają, by królewscy łucznicy mogli do nas strzelać jak do kaczek. Kiedy z tym skończysz — ciągnął

zniżonym głosem — sprawdź nasze zapasowe wyjście i konie. Zanieś tam świeżej wody i trochę żywności na wypadek, gdyby nasza nas ochota wyprawić się na spokojniejsze Południe.

— Tak jest, wodzu — odrzekł Aksandrias z uśmiechem.

Oddział konnicy zwolnił, zbliżając się do podstawy wzgórza. Od paru mil nawet najbardziej

gapiowaci żołnierze widzieli wydeptane w trawie ścieżki.

Teraz zauważyli również wyraźny szlak prowadzący w górę stoku i niknący w skalnej szczyrbie.

— Niezwykłe — powiedział ophirski oficer. — Wszystkie ślady wskazują, że bandyci wjeżdżają po tym zboczach, ale gdzie się podziewają? Nikogo nie widać.

Rozpłynęli się w powietrzu? Czyżby to były czary?

— Nie — odparł Conan. — Założę się, że wierzchołek wzgórza wygląda z góry zupełnie inaczej, niż wydaje się z dołu. Wychowałem się w górach i wiem, jak potrafią być zwodnicze. Zaczekajcie do zachodu słońca, przez ten czas wyprawię się na zwiad.

— Nie ma takiej potrzeby — oficer machnął dłonią. — Albo są tam, w takim razie moi ludzie bez trudu sobie z nimi poradzą, albo ich tam nie ma, a wtedy nie zamierzam tracić tutaj czasu.

— Jak wam się podoba. — Conan wzruszył ramionami i odwrócił się do Kalii oraz grupki cyrkowców. — Jedźcie za mną.

Ruszyli, podczas gdy oddział konnicy przygotowywał się do ataku.

— Ale oni mogą zabić Aksandriasa! — zaprotestowała żarliwie Kalia. — Nie dam pozbawić się mojej zemsty!

— Ani ja — odparł Conan. — Jednak nie sądzę, byśmy mieli powody do obaw. Wiemy przecież, że Taharka nie jest głupcem. Mogę się mylić, ale podejrzewam, że kiedy żołnierze zaatakują wzgórze, czeka ich niemiła niespodzianka. Trzymajmy się z dala od nich i nie pokazujmy się niepotrzebnie.

— Jak zamierzasz wydostać stamtąd Ryulę i pozostałe kobiety? — zapytał

Vulpio.

— Najpierw musimy zorientować się, jak wygląda ich legowisko —

powiedział Conan. — Dopiero wtedy zajmiemy się wymyśleniem planu.

Obawiam się, że do tego czasu kobiety są zdane na własne siły.

Rozległ się przenikliwy świst piszczalki. Konnica ruszyła do natarcia. Z

początku posuwała się w dobrym tempie, jednak po osiągnięciu stoku zwolniła. Naturalne zakłębienie terenu po drodze do szczyrbie sprawiło, że jeźdźcy stłoczyli się, wpadając jeden na drugiego. Nagle szczyrba i okoliczny wierzchołek wzgórza zaroily się od uzbrojonych ludzi. Wysunięci do przodu jeźdźcy zaczęli spadać z koni, przesycając strzałami. Zdezorganizowaną jazdę ze wszystkich stron poczęli atakować bandyci z długimi włóczniami. Szpica natarcia rozpoczęła

odwrot, co powiększyło tylko panujące zamieszanie.

Słychać było klnących oficerów, starających się zaprowadzić przynajmniej pozory porządku szczodrym płazowaniem podwładnych mieczami.

Conan posuwał się ze swoimi towarzyszami pod górę stoku z dala od ubitego traktu i głównego kierunku natarcia. Z boku szczyby ujrzał skalną półkę wystającą na zewnątrz jak zamkowy mur nad bramą. Stało na niej kilku ludzi strzelających z łuków. Na szczęście dla żołnierzy prawie wszyscy wyglądali na podłych łuczników, z wyjątkiem paru Shemitów — chłopcy z tego narodu ćwiczyli łucznictwo zanim nauczyli się chodzić. Chwilę później Conan dostrzegł

imponującą sylwetkę, z uwagą przyglądającą się rzezi.

— Taharka! — warknął Cymmerianin, wskazując mężczyznę w połączanej zbroi.

— Skoro ten łotr jest tutaj, jego żółty kundel nie może być daleko! — syknęła wściekle Kalia. Spięła konia ostrogą i pomknęła szybciej po stoku. Conan posuwał się tuż za nią.

Odwróciwszy się, Taharka spostrzegł dziewczynę i Cymmerianina. Na jego twarzy odmalowało się niebotyczne zaskoczenie. Zaczął krzyczeć do łuczników, wskazując ich mieczem. Łucznicy odwrócili się i zaczęli strzelać. Conan wychylił się z siodła i złapał wodze wierzchowca Kalii, zatrzymując obydwie konie w miejscu. Strzały spadły na stok przed nimi.

— Cofnijmy się! — krzyknął. — Nie mamy tarcz ani zbroi.

Kalia usłuchała go z jękiem zawodu. Cyrkowcom nie trzeba było powtarzać zaproszenia do odwrotu. Nie brakowało im odwagi, ale zdawali sobie sprawę, że ona nie uchroni ich przed strzałami. Zjechali w dół równolegle do również cofających się królewskich żołnierzy.

— Miałeś rację, cudzoziemcze — powiedział dowódca, gdy Conan podjechał

do niego. — Przed wydaniem rozkazu ataku powinienem był pozwolić ci dokonać zwiadu. Za tą szczybą musi być wielki krater, inaczej nie pomieściłoby się tam tylu ludzi i koni! — oficer zamilkł na chwilę z gniewnym wyrazem twarzy, po czym dodał: — Rozejrzysz się tam dziś w nocy? Jeśli zgodzisz się zostać naszym zwiadowcą, wynagrodzimy cię złotem.

Conan już miał się zgodzić, gdy wtrąciła się Kalia:

— Ile?

— Pięćdziesiąt sztuk? — rzekł mężczyzna pytająco.

— Sto — odparł pojętny Conan. — Przyprawdzą wam jeńca, którego

będziecie mogli przesłuchać.

— Zgoda — powiedział oficer. — Czego będziesz potrzebował? Broni? Zbroi?

Wystarczy, że powiesz.

— Mam wszystko, czego potrzebuję — odparł Conan. — Wyruszę po północy.

— Jak chcesz — dowódca odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy

podoficerom, polecając tak rozstawić wojska, by bandyci nie mogli się wymknąć. Conan odjechał kawałek i zsiadł z konia. Kalia dołączyła do niego.

— Zabierz mnie ze sobą! — powiedziała stanowczo.

— Nie ma mowy — odparł. — Potrafisz wymachiwać szablą, ale nie masz pojęcia, jak zakraść się niepostrzeżenie do wrogiego obozu. Ja nauczyłem się tego jeszcze w dzieciństwie. Gdybyś poszła ze mną i zobaczyła Aksandriasa, zaatakowałabyś go i postawiła na nogi całą bandę. Nie wyszlibyśmy z tego żywi. Nie. Zostaw mnie teraz w spokoju, muszę trochę wypocząć przed nocą.

Z tymi słowami położył się na trawie i w jednej chwili zapadł w sen, nie zdejmując dłoni z rękojeści miecza. Oburzona Kalia odeszła.

Późnym wieczorem dowódca oddziału siedział przy niewielkim ognisku, naradzając się ze swoim sztabem. Wszystkim zaparło dech, gdy między nimi wyrosła nagle upiorna sylwetka.

— Na Mitrę! A cóż to?! — wykrzyknął oficer z barwioną na niebiesko brodą.

— Tylko wasz zwiadowca — odrzekł Conan.

Oficerowie pochowali broń. Cymmerianin miał na sobie jedynie przepaskę biodrową i pas z bronią. Miecz przewiesił sobie przez plecy, a wszystkie metalowe elementy poowijał kawałkami tkaniny, by nie szczękały i nie odbijały światła. Od stóp do głów wysmarował się sadzą.

— Wyglądasz jak goblin z piktyjskich puszczy, o których opowiadałeś —

powiedział oficer. — Ponieważ jednak chcesz się wybrać na zwiad, a nie paradę, sądzę, że twój kostium jest odpowiedni. Wróc z planem ich obozu i więźniem, a dostaniesz złoto, o które prosiłeś.

Conan bez słowa skinął głową i wycofał się w mrok poza kręgiem światła.

Poruszał się bezszelestnie. Żaden z ophirskich wartowników nie zauważył jego odejścia. Po krótkim biegu dotarł do podstawy stromego wzgórza. Przez jakiś czas posuwał się wzdłuż niej, badając jego ukształtowanie i wynikające z tego możliwości. Nie zamierzał zbliżyć się do szczytu, to miejsce na pewno było dobrze strzeżone. Zamiast tego zaczął się wspinać po zboczu trzysta kroków w lewo od niej. Stok był tu tak stromy, że musiał przytrzymywać się rękami.

Posuwał się powoli i w absolutnej ciszy, podciągając się na wystających głazach i kępach trawy. Umazane sadzą ciało zlewało się z tłem tak dokładnie, że nie zauważyłby go nikt stojący dalej niż dwadzieścia kroków od niego.

Dotarł do wierzchołka zbocza i wyrzwał przez jego brzeg na sporą kotlinę, upstrzoną ogniskami. Obracając powoli głowę, przyjrzał się grani po obu stronach. Po prawej nie było widać nic, po lewej, trzydzieści kroków dalej, pochrapywał skulony w kucki strażnik. Cymmerianin zastanowił się, czy nie zabić wartownika od razu, zdecydował jednak, że ten nie stanowi chwilowo zagrożenia, a może przydać mu się w drodze powrotnej. Conan przelazł jak jaszczurka przez grań na stok opadający w kotlinkę. Kiedy znalazł się znacznie pod jej szczytem, wstał i dalej posuwał się chyłkiem. Jak podejrzewał, większość bandytów spała przy niewielkich ogniskach, trzymając broń koło siebie. Nie mieli powodów obawiać się nocnego ataku regularnej armii.

Żołnierze, nie przyzwyczajeni do walki w ciemnościach, znacznie częściej zabijali swoich niż wrogów.

Tu i ówdzie skuleni przy ogniskach ludzie rozmawiali zniżonymi głosami.

Conan nie rozumiał wszystkich języków, jednakże głosy nie świadczyły o zadowoleniu. Tego się spodziewał. Wczorajszy atak odparto bez trudu, lecz znaleźli się w okrążeniu i mieli znikome szanse ucieczki, podczas gdy ophirczycy mogli bez trudu wezwać posiłki.

Conan okrążył środek kotlinki. Wypatrzył zagrody dla bydła i owiec, ale gdzie byli niewolnicy? Dostrzegł kilka pustych zagród, po zapachu których ocenił, że niedawno więzieni byli w nich ludzie. Czyżby niewolników zabrano do jaskini, którą dostrzegł w zboczu kotliny? Bezszelestnie zaczął posuwać się noga za nogą w kierunku skał okalających wejście do pieczary.

Zbliżywszy się do wąskiego wejścia, usłyszał szmer głosów. Tak łatwo, jakby wchodził po schodach, podciągnął się w górę i położywszy plackiem, ukrył się za ograniczającym wejście skalnym występem. Grupa bandytów, siedząca przy wejściu wokół dopalającego się ogniska, uniemożliwiała mu bliższe podejście.

Ci, których mógł zrozumieć, rozmawiali o planach na dzień następny. Część była za ogólną ucieczką; każdy miałby uciekać w inną stronę zabrawszy tyle łupów, ile mógłby unieść. W jaskini nie było widać więźniów.

— Dostyc tego babskiego biadolenia! — rozległ się z jaskini głos pełen siły i stanowczości. Conan nie słyszał go nigdy wcześniej, lecz domyślił się, kim był

mówiący. Ujrzał, że w krąg światła ogniska wchodzi wysoki mężczyzna o władczej postawie. Ciemnoskóry południowiec wciąż miał na sobie lśniąca zbroję oraz wielobarwne klejnoty i złote łańcuchy. Bandyci umilkli zawstydzeni. — Rzeczywiście baby z was, skoro boicie się przegranej z garstką rozpieszczonych miejskich strażników!

— Obok Keshanicyka stał niższy, płowowłosy mężczyzna w jedwabnej

kamizelce. Conan domyślił się, że to Aksandrias. Aquilonczyk znacznie się zmienił. Miał zapadnięte policzki, oczy wyglądały z głębokich jam. Rzucił na wszystkie strony nerwowe spojrzenia jak otoczony drapieżnik, szukający szansy ucieczki. — Mieliście dziś kłopot z przegnaniem wroga? — zapytał

donośnym głosem Taharka. — Nie widzieliście, jak dzielny Aksandrias trzema ciosami miecza zarąbał trzech żołnierzy? Czy mamy się bać tej żalosnej garstki żołdaków z placu parad?!

Odpowiedziały mu niezbyt głośnie wiwaty bandytów.

— Będziemy pić ich krew! — wykrzyknął Aksandrias. — Niech nikt nie mówi o klęsce, bo uznam to za zdradę. Każdy zdrajca odpowie przede mną! Kto teraz chciałby doradzić ucieczkę?

Nikt się nie odezwał. Nikt nie podnosił wzroku. Gniewny, przypominający zjawę Aquilończyk wyglądał zupełnie inaczej, niż smukły, pełen gracji mężczyzna, którego Conan widział walczącego z Kalia. Jednak Cymmerianin nie zaprzętał sobie głowy tą zagadką. Gdzie był Hyperborejczyk?

— Zaatakujemy jutro o świcie! — zagrzmał Taharka. — Jednym uderzeniem rozbijemy ich w proch i pył!

Conan odepchnął się od ściany. Ujrzał i usłyszał dosyć. Miło by było wpaść do jaskini i zabić herszta oraz jego pomagiera, jednak szansę, że wyszedłby z tego żywy, były znikomo małe. Poranna walka zapowiadała się dużo ciekawiej.

W ophirskim obozie Conan rzucił do stóp dowódcy związanego jeńca. Gdy bandyta powoli odzyskiwał przytomność, Conan zdał sprawę z rozkładu obozu grabieżców i ich zamiarów. W tym czasie dołączyli Kalia i cyrkowcy.

— Doskonała robota — oświadczył dowódca, gdy Conan skończył mówić. —

Nie chciałbyś zaciągnąć się do mojego szwadronu jako zwiadowca? Zapłata byłaby szczodra, a nikt nie wymagałby od ciebie ćwiczenia musztry.

— Może później — odrzekł Conan. — Muszę wypełnić pewne zadanie, nim przyłączę się do kogokolwiek.

— Jak chcesz. Widzę, że ten łotr może już mówić. Jest tu kat?

Do oficera podszedł człowiek z niewielkim kociołkiem z węglami, w którym tkwiło parę rozżarzonych do czerwoności szczypiec.

— Czy mógłbym zadać mu najpierw kilka pytań? — spytał Conan.

— Zasłużyłeś sobie na to. Jest twój.

Więzień zdołał usiąść. Na jego twarzy widniał wyraz, fatalistycznej rezygnacji i krańcowej rozpacz. Widać było, że tortury nie będą potrzebne.

— Gdzie są niewolnicy? — spytał Cymmerianin.

— Zabrano ich na Południe — powiedział jeńiec. — Dwa czy trzy dni temu.

— Był z nimi Hyperborejczyk?

— Tak, z około dwudziestoma ludźmi. Szkoda, że nie zabrałem się z nimi.

— I tak czeka ich taki sam los. Do jakiego targowiska starają się dotrzeć?

— Khorshemish.

— Jak związano niewolników? — niespodziewanie zapytał Vulpio.

— W rzędach po dziesięciu — odrzekł bandyta. — Każdy ma na szyi obrozę, spiętą ze wspólnym łańcuchem.

— Fatalnie! — rzucił Vulpio i zaklął.

— Dlaczego? — spytał Conan.

— Gdyby skuto ich kajdanami lub spętano linami, Ryula uwolniłaby się w oka mgnieniu. To jedna z najprostszych sztuczek w naszym fachu. Nikt jednak nie potrafi uwolnić się od żelaznej obroży bez przepiłowania jej.

— Dogonimy ich, zanim dotrą do Khorshemish — zapewnił go Conan. — Nie mogą się posuwać szybciej niż najwolniejszy niewolnik, a my pojedziemy konno.

— Zostaje drobiazg: pokonać dwudziestu ludzi i Hyperborejczyka —

zauważyła Kalia.

— Może uda się nam uwolnić ich podstępem — powiedział Conan i zwrócił

się do dowódcy: — Oddaję go i życzę przyjemnej zabawy.

— Nie obawiaj się, wyjawi mi swoje sekrety. Idź odpocząć, młody

barbarzyńco, zasłużyłeś na to. Pamiętaj o mojej propozycji.

Wróciwszy do koni Conan i Kalia usiedli, otulając się płaszcami.

Cymmerianin szczegółowo opowiedział dziewczynie, co zdarzyło się w obozie grabieżców.

— Zatem obaj żyją — powiedziała gdy skończył. — Może już jutro dokonamy naszej zemsty. Jeśli tak będzie, czy dotrzymasz obietnicy i pomożesz uwolnić Ryulę i pozostałe kobiety? Przecież to właściwie nie twoja sprawa.

Hyperborejczyk nie zawinił ani mnie, ani tobie. Jeśli o mnie chodzi, może żyć wiecznie.

— To prawda, jednak skoro już coś zacząłem, chciałbym to skończyć —

stwierdził Conan. — Powiedziałem cyrkowcom, nieważne, że półzartem, iż nie mają się czego obawiać, skoro ja strzegę karawany, a jednak Ryulę porwano nam spod nosa. Do tego Vulpio jest naszym przyjacielem.

Kalia uśmiechnęła się, lecz było zbyt ciemno, by Conan to dostrzegł.

— Och, wiem, że jesteś wierny swoim przyjaciołom. Czuję to samo co ty.

Gdybym nawet zabiła jutro Aksandriasa, nie zaznam spokoju, dopóki nie dokończę tej sprawy. Teraz śpijmy; słońce wzejdzie za trzy godziny, a za nic nie chcę przespać walki.

Gdy nadszedł świt byli już gotowi do ataku. Wiedząc czego się spodziewać, ophirski dowódca odpowiednio rozstawił swoje siły. Zamiast płytkiej, pojedynczej linii natarcia, były ich trzy, obronne, gotowe na przyjęcie ataku bandytów. Na skrzydłach rozstawili się łucznicy, mający strzelać do nacierających przestępców, by osłabić ich, zanim zetną się z konnicą. Wojska królewskie czekały. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Atak z jakiegoś powodu nie następował. Kiedy w końcu się zaczął, nie był imponujący; zamiast jednego, zgranego natarcia, nieliczne grupki bandytów wyroiły się z szczytu wzgórza i jak najrychlej pierzchały na wszystkie strony w panicznej ucieczce.

Niektórzy, nie zważając na niebezpieczeństwo, pędzili w dół po stromym stoku, licząc że dzięki rozpędowi wyminą królewskich żołnierzy. Byli też tacy, którzy uciekali na własną rękę, nie bacząc na resztę grupy. Gdy tylko ophirski dowódca upewnił się, że nie jest to zwodniczy manewr, poprzedzający zasadnicze natarcie, wydał rozkaz wyłapania uciekających bandytów.

Spostrzegłszy Conana zawołał:

— I co teraz, Cymmerianinie? Co się stało z twoim atakiem?

— Nie wiem! — odkrzyknął Conan. — Proponuję się jednak dowiedzieć!

Ruszył konno po stoku i bez oporu dotarł do szczytu. Większość bandytów interesowała wyłącznie ucieczka. Gdy wjeżdżał w szczyt, wypadł na niego jakiś wymachujący mieczem opryszek. Conan rozplątał go jednym cięciem i po trupie wjechał do kotlinki.

Okazało się, że jest prawie całkowicie opustoszała. Nie było widać Taharki ani Aksandriasa. Kilku ludzi starało się skłonić swoje wierzchowce, by wspięły się po zboczu kotlinki. Nie chcieli uciekać przez szczyt, za którą czekali ophirczycy. Upewniwszy się, że żaden z nich nie jest tym, którego szukał, Conan podjechał do wejścia do pieczary. Kalia była tuż za nim.

— Kiedy wskoczę do środka, odlicz do dwóch i ruszaj za mną — polecił

Conan. — Nie wchodź za szybko, bo możesz się nadziać na mój miecz.

Z bronią w ręku wskoczył w wąskie przejście. Zamachnął się w lewo i prawo tak szybko, że ostrze wyglądało przez moment jak rozmazana smuga. Gdyby ktokolwiek czaił się tuż za wejściem, zostałby przepołowiony. Cymmerianin zrobił pełny obrót, osłaniając się mieczem. Zobaczył, że nikogo tu nie ma i wszedł głębiej.

W chwilę później do środka wpadła Kalia z wyciągniętym przed siebie ostrzem. Kiedy ujrzała, że Conan chowa miecz, zrobiła to samo. Oczy rozszerzyły się jej, gdy spojrzała na leżące w pieczarze skrzynie i bele tkanin.

Wiele z nich było poprzewracanych i zniszczonych przez bandytów, usiłujących zabrać ze sobą choć część bogactw.

— Gdzie oni są? — spytała Kalia. — Czyżby uciekli z innymi?

— Nie sędzę. — Conan potrząsnął głową. — Aksandrias mógł się wymknąć w ten sposób, ale zauważyłbym Taharkę. Odróżnia się od reszty jak lew od psów.

Obydwoje rozejrzeli się po jaskini, nie zapominając o przywłaszczeniu sobie paru wartościowych drobiazgów. Conan kilkakrotnie przemierzył ją wszerz i wzdłuż. Wkrótce dołączył do nich ophirski dowódca wraz z paroma swoimi ludźmi.

— Wyłapaliśmy większość, chociaż paru udało się wymknąć. Głowy tych łotrów udekorują wiele mil traktu! — rozejrzał się po jaskini. — Jeszcze tego mi brakowało! Będę musiał pilnować tego jak Set, by moi żołnierze utrzymali swe złodziejskie łapy z dala od tych skarbów. Co się dzieje, Cymmerianinie?

— Czuję wiatr.

— W takim razie masz wrażliwe zmysły — odparł dowódca. — Cóż to za tajemniczy zefirek?

— Oznacza to, że pieczara ma drugie wyjście. W mojej krainie jest wiele jaskiń. Chodźcie ze mną.

Poprowadził ich w głąb jaskini do bocznego tunelu. Zwłókł na bok leżącą w jego końcu stertę suchych gałęzi. Za nimi ukazał się blask dnia. Wyszli na zieloną murawę. Dowódca wskazał końskie odchody na ziemi.

— Tu przywiązali konie. Rzekłbym, że dwa. Wydaje się, że wodzowie bandytów byli przygotowani na nadejście losu, jaki ich spotkał.

Conan kłął paskudnie przez chwilę, po czym wybuchnął szalonym śmiechem.

— Co z tobą?! — wykrzyknęła Kalia. — Już mieliśmy ich w garści i znów prześliznęli się nam przez palce!

— To łotr! — powiedział Conan nie przestając się śmiać. — Taka dzielna mowa, tak odważne słowa, a przez cały czas był gotowy do ucieczki! Wzbudza w ludziach odwagę po to, by porzucić ich, kiedy go najbardziej potrzebują!

Widzieliście kiedyś takiego spryciarza?!

— Bez wątpienia, ich herszt jest przebiegły jak wąż i uczciwy jak dworzani!

— stwierdził oficer. — Cóż, nic na to nie poradzimy. Musimy porachować te dobra i wracać do garnizonu. Niech król Koth się nim martwi. Dwa lata temu przyszła się stamtąd zaraza. Może teraz los wyrówna rachunki.

— Nie zamierzacie spróbować uwolnić porwanych? — spytał Conan. —

Większość z nich to poddani waszego króla.

— Gdyby czasy były inne, na pewno bym tak zrobił — dowódca wzruszył

ramionami. — Teraz trwa wojna. Mamy o wiele większe zmartwienia, niż los paru nieszczęsnych więźniów. Rozkazano mi rozbić bandę grabieżców i natychmiast wracać.

Aksandrias i Taharka jechali przez całą noc. Przy siodle każdego z nich zwieszały się mocno wyładowane juki. Starannie dobrali ich zawartość, kierując się jak największą wartością przy możliwie najmniejszej objętości i ciężarze. Po wschodzie słońca okazało się, że na twarzy Keshañczyka widnieje zwykły wyraz błogiego ukontentowania. Aquilończyk był z początku przygnębiony, jednak o świcie rozpogodził się.

— Właśnie w tej chwili nasi przyjaciele powinni szturmować obóz

ophirczyków — powiedział Taharka. — Jeśli wykonają dokładnie mój plan, może nawet większości uda się ujść z życiem.

— Nie sądzę — odrzekł Aksandrias. — To tępe łotry. Bez dobrego wodza nie są w stanie poprowadzić zwycięskiego ataku.

— Wygląda na to, że nie jest ci już tak przykro z powodu odjazdu, jak poprzedniej nocy.

Taharka musiał niemal użyć siły, by skłonić Aksandriasa do ucieczki.

Aquilończyk wciąż był w bojowym nastroju, w jakim znajdował się przez parę ostatnich dni. Naprawdę chciał zostać i walczyć z żołnierzami.

— Poniosły mnie emocje — powiedział Aksandrias. — Miałem ochotę na porządną walkę. Po namyśle widzę, że byłby to marny sposób stracenia życia.

— Zgadza się — odparł Taharka. — Czasami trudno się oprzeć okazji stoczenia pojedynku. Niekiedy rozgrzana krew wzywa do chwalebnej rąbaniny.

— Tak mi się wydawało, jednak w przyszłości będę miał jeszcze dość okazji, by zabłysnąć szermierzem kunsztem — powiedział Aksandrias.

— Och, niewątpliwie — stwierdził Taharka, śmiejąc się w duchu. Nie miał

wątpliwości, że jego zastępca używał narkotyków. Zastraszające było to, jak szybko marniał zażywając tą diabelską substancję. Pod wpływem narkotyku stawał się szybki, zręczny i straszny, jednak w ciągu dziesięciu dni postarzał

się o tyleż lat. Lśniące dotąd płowe włosy przybrały barwę starego spiżu. Ciało, niegdyś silne i zwinne, stało się żylaste i wychudzone.

— Co teraz zrobimy, wodzu? — spytał Aksandrias. — Straciliśmy wszystko z wyjątkiem tych paru drobiazgów, które udało się nam zabrać.

— Czyżby? — odparł Taharka. — Złupiliśmy niewielkim kosztem całą

provincję. Czyżbyś planował ustatkować się jako szlachcic czy kupiec, ożenić się, wykorzystując łupy na dobry początek, i wychowywać tłuste berbecie? W

istocie co straciliśmy? Przez pewien czas żyliśmy jak królowie. Wkrótce znajdziemy się w innym kraju i tam będzie tak samo. Straciliśmy tylko trochę ludzi, i co z tego? Mogę się założyć, że tam, dokąd zmierzamy, znajdzie się dość.

— Tak, wodzu — mimo posępnego humoru Aksandrias musiał się

uśmiechnąć. — Muszę przyznać, że masz rację. Czym są mężczyźni, kobiety czy bogowie dla takich jak my? Jedźmy, niech kolejny kraj stanie się dla nas otwartą skrzynią skarbów!

Taharka zaśmiał się głośno i przechylił w siodle, by klepnąć Akwilończyka po ramieniu.

— Taki duch mi się podoba! Oto Aksandrias, którego poznałem trzy lata temu i ukochałem jak brata! To, co przyszło nam porzucić, to drobiazgi.

Wielkie dni są dopiero przed nami! Jedźmy, zobaczmy, jakie wspaniałości i cuda czekają na nas za horyzontem!

— Wspaniale, wodzu — powiedział Aksandrias, zdając sobie sprawę, że Keshkańczyk jest skończonym szaleńcem, który pewnego dnia zagra zbyt ryzykownie, strącając ich obojwóch w przepaść. — Co robimy?

— Dołączymy do Kuulva i karawany niewolników. Opowiemy mu, że

zaskoczyły nas i rozpedziły przytłaczające siły ophirczyków. Hyperborejczyk ma tylu dobrych ludzi co my, kiedy wyprawialiśmy się do Cymmerii. Za pieniądze, które uzyskamy ze sprzedaży niewolników oraz dzięki temu, co mamy ze sobą, bez kłopotów zaczniemy od nowa.

— Brzmi dobrze, panie — powiedział Aksandrias. — Będziemy grabić, jak w Ophirze?

Taharka namyślał się przez chwilę.

— Nie, to mi się już znudziło. Poza tym w Koth panuje spokój i nie ma tam teraz sprzyjających

warunków do grabienia. Nie, sędzę, że powinniśmy pojechać jeszcze dalej na południe, przez Shem, nad granicę ze Stygią.

— Panie, przecież Stygia jest rządzona żelazną ręką. Na pewno natkniemy się tam na wielkie przeszkody — zaprotestował Aksandrias.

— Ale w Shemie panuje bezhołowie — — stwierdził Taharka. — Granicą między tymi dwoma państwami jest Styks. Od jakiegoś czasu zastanawiałem się nad możliwością uprawiania piractwa na tym wielkim szlaku wodnym.

Przewozi się tą drogą więcej towarów, niż jakimkolwiek traktem lądowym w krajach hyboreańskich.

— Napadać na statki rzeczne? — rzekł Aksandrias, oszołomiony taką perspektywą. — Bandytami na lądzie można za psami rzucać, o piratach na morzach słyszano wszędzie. Proponujesz, byśmy stali się mieszańcami, piratami rzecznyymi?

— Byli już tacy w przeszłości — odparł Taharka. — Ponieważ jednak nie ja się tym zajmowałem, nie robiono tego jak należy.

ROZDZIAŁ 12

Kuulvo był znudzony. Cieszył się mogąc opuścić kryjówkę bandytów, ponieważ uważał, że jest to pułapka, która zatrzaśnie się, gdy tylko dowiedzą się o niej wojska królewskie. Mimo to jego obecna sytuacja była niewiele lepsza. Istniało niewiele nudniejszych zajęć, niż pędzenie karawany niewolników z jednego miejsca w drugie, zwłaszcza gdy te dwa miejsca oddzielała duża odległość. W takiej podróży jeźdźcom przypadała rola niemal identyczna jak widzom w teatrze. Niewolnicy maszerowali znacznie wolniej niż piechota. Piechurów uczono przynajmniej, jak szybko pokonywać odległości.

Jeśli w karawanie znajdowały się kobiety, tak jak w tej, sytuacja się komplikowała. Najgorsze były dzieci. Zwykłą metodą usunięcia takiej niedogodności było rozwalenie dzieciakom łbów o przydrożne kamienie, lecz lamentujące matki płaczem i szlochami wytrąciły wszystkich z równowagi.

Było to wyjątkowo męczące i gdyby nie spodziewane wielkie zyski przy względnie niewielkim nakładzie trudu, lepszy byłby żywot zwykłego najemnika.

Hyperborejczyk jeździł wzdłuż orszaku niewolników, używając bicia, gdzie było trzeba. Tylko jedna grupa towaru przysparzała mu mniej zmartwień niż pozostałe. Podobnie jak inne, liczyła dziesięć osób, jednak pięć z nich stanowiły kobiety. Trzymały się prosto, wydawało się też, że męczą się wolniej niż reszta. Zastanowiwszy się przypomniał sobie, że to łup z ostatniej napaści na karawanę. Skoro były cyrkówkami, nic dziwnego, że lepiej od innych znosiły trudy długiego marszu.

Wyjął chustę z pasa i otarł czoło. Czekala ich jeszcze długa droga do Khorshemish. Podniósł głowę, słysząc okrzyk jednego z poganiaczy:

— Kapitanie! Z północy zbliża się dwóch jeźdźców!

Kuulvo ściągnął wodze.

— Skoro jest ich tylko dwóch, nie stanowią zagrożenia — powiedział do najbliższych towarzyszy. Mimo to wiedziony starym nawykiem wyciągnął miecz z pochwy. Zmiana klimatu sprawiła, że ostrze stawiało opór w najmniej spodziewanych momentach. Utkwił wzrok w oddali, gdzie sylwetki jeźdźców rosły z każdą chwilą.

— O ile się nie mylę, ten wyższy to nasz wódz, Taharka — powiedział. — A kimże mógłby być jego towarzysz, jeśli nie Aksandriase z Aquilonii?

— Gdzie reszta ludzi? — zapytał bandyta w wielobarwnej emaliowanej zbroi ze stalowych łusek łączonych rzemieniami.

— Na to pytanie zapewne sami nam odpowiedzą — rzekł Kuulvo pewny, że zna odpowiedź z góry.

Taharka i Aksandrias przy galopowali do nich z fantazją.

— Witajcie, moi ludzie! — zawołał Keshkańczyk. — Jak podróż, przyjemna?

— Nie gorsza, niż można się było spodziewać — odpowiedział Kuulvo. —

Widzę, że podróżujecie bez świty, bagaży i taboru. Jak to się stało?

— Ach, to przykra historia — odparł Taharka. — Naprawdę przykra,

jednakże życie wyrzutka jest ryzykowne i pełne nieprzewidzianych zdarzeń.

Jedna z wypraw okazała się zbyt beztroska. Zauważono, jak wraca do naszej kryjówki. Wkrótce pod wzgórzem rozbiły obóz wielkie siły ophirskiej piechoty i konnicy. Doszło do straszliwej walki; bardzo dzielnie walczyliśmy... — Taharka westchnął głęboko — ...ale niestety, wynik mógł być tylko jeden. Wszyscy zginęli lub zostali pojmani. Tylko cud sprawił, że Aksandrias i ja zdołaliśmy wyrąbać sobie drogę przez tłumy wrogów.

Bandyci wydali z siebie pomruk przestrachu. Wielu obejrzało się w kierunku, z którego przybyło dwóch jeźdźców.

— Tropią was Ophirczycy? — zapytał ktoś.

— Nie, zgubiliśmy ich wiele mil stąd. Czyż to nie zdumiewające, że udało się nam uratować?

— Radujemy się, że uszliście cało ze szczęk śmierci, wodzu — powiedział

sucho Hyperborejczyk, oglądając nawet nie zarysowaną zbroję Keshkańczyka i brak jakichkolwiek ran. Wyglądało na to, że walczył tylko Aksandrias. Kuulvo żywił pewne podejrzenia względem tego, co w ostatnich dniach zmieniło Aquilończyka w srogiego lwa.

— Zbierzcie się wokół mnie, moi wierni wojownicy! — krzyknął Taharka. —

Planuję dla nas wszystkich wielkie rzeczy. Wysłuchajcie mnie, nim zapędzimy nasz towar na targowisko.

Bandyci słuchali uważnie. Herszt w kwiecistych słowach roztoczył przed nimi miraż rozlewu krwi, chwały i bogactw. Prócz jego głosu i jęków niewolników słyhać było tylko postukiwanie kopyt i okazjonalne trzaski bata.

— Jak to zrobimy? — spytała Kalia. Siedziała z Conanem na szczycie niskiego pagórka, spoglądając na południe. W oddali widać było karawanę niewolników, pomniejszoną do rozmiaru rzędu mrówek. Cymmerianin i dziewczyna pozostawili konie i resztę jeźdźców pod szczytem wzgórza, by jakiś poganiacz niewolników nie zauważył przypadkiem ich sylwetek na horyzoncie.

— Zaczekamy do zachodu słońca — odparł Conan. — Potem się zbliżymy.

Wygląda na to, że nie obawiają się pościgu i bardzo dobrze. Może nie wystawią silnej straży.

— Poganiaczy jest przynajmniej dwudziestu — powiedziała Kalia, starając się policzyć jeźdźców w oddali. — Może więcej. Jak myślisz, uda się nam podkraść do nich w nocy i zabić, zanim zorientują się, co się dzieje?

— Nie liczyłbym na to — odrzekł Conan. — Nie wtedy, gdy jest z nimi Taharka i Hyperborejczyk. Mam lepszy pomysł. Zabierze nam to parę dni, ale i tak wiele czasu upłynie, zanim oni dotrą do miejsca przeznaczenia.

— Co mamy zrobić?

— Nie my, tylko ja — odparł. Widząc pojawiające się w jej oczach dzikie lśnienie, dodał: — Nie bój się, nie zabiję Aksandriasa. Zostawię go tobie.

— Trzymam cię za słowo — odrzekła. — Zamierzasz ich pokonać w pojedynkę?

— Tak. Jak Pikt.

Tej nocy ponownie pomogła mu wymazać się sadzą. Pozostali siedzieli niepokieszeni wiedząc, że ich kobiety są niedaleko, a oni muszą beczynnie czekać, podczas gdy one znoszą upokorzenia niewoli.

Cymmerianin wstał, gotów do wyruszenia. Kalia podniosła jego pas z bronią.

— Twój miecz — powiedziała.

— Nie, to wszystko, czego potrzebuję — odparł, wyjmując tylko sztylet i wkładając go za przepaskę na biodrach. Nóż był ciężki, miał półtorej piędzi długości i szerokie ostrze, jednak był tak wyostrzony, że można było nim przeciąć spadający włos. Nie mówiąc nic więcej, Cymmerianin rozplątał się w ciemnościach.

Zamorańczyk Hyras czuł się nieszczęśliwy. Wraz ze swoim kompanem, innym Zamorańczykiem o imieniu Nargal, został wyznaczony do pilnowania do świtu północnego skraju obozowiska. Znacznie bardziej wolałby zabawić się w towarzystwie niewolnic.

— Dlaczego musimy męczyć się na warcie? — narzekał w obecności

przyjaciela. — Przecież herszt powiedział, że nie byli ścigani.

— Właśnie — podchwycił Nargal. — Uważa się za wielkiego wodza, dlatego musi mieć warty i...

— splunął dla podkreślenia swych słów — ...dyscyplinę —

wykrzywił szpetną, dziobatą twarz w jeszcze szpetniejszym grymasie. —

Gdybym chciał tak żyć, nie dezercerowałbym z armii Zamory.

— Czasami wydaje mi się, że w barakach w Shadizar było przyjemniej niż na tym wietrznym pustkowiu — powiedział Hyras.

— Tutaj przynajmniej nie karzą chłostą, ale i tak te warty są psu na budę potrzebne — rzekł Nargal.

— Niech Set porwie naszych wodzów. Pewnie śpią teraz w najlepsze. Zamierzam zrobić to samo.

Oparł się o siodło i przymknął oczy. Pozbawiony rozmówcy, Hyras stwierdził, że jemu również zaczyna się kiwać głowa. Po kilku niezbyt zdecydowanych próbach zachowania czujności on także zapadł w sen. Nie zauważyli człowieka, który cicho jak wąż podkradł się do nich na odległość ramienia.

Hyras obudził się nagle. Słońce było jeszcze pod widnokrzem na

wschodzie, lecz pierwsze promienie już barwiły niebo na różowo. Gwiazdy szybko bladły, ptaki rozpoczynały śpiewy. Hyras rozejrzał się wokół z niepokojem, wyglądało jednak na to, że jego zaniechanie pozostanie nie zauważone. Nargal dalej siedział oparty o siodło, tak jak zasnął, zgarbiwszy głowę na pierś. Gdy zrobiło się jeszcze jaśniej, a słońce poczęło zabarwiać niebo na błękitny kolor, Hyras ujrzał, że spiczasta, sinoczarna broda Nargala opiera się o szkarłatną koszulę.

Hyras ziewnął, podparł się i zastanowił, co kamrat wyznaczony na kucharza przygotował dla nich na śniadanie. Wtedy przyszła mu do głowy dziwna myśl.

Przypomniał sobie, że poprzedniego dnia Nargal miał na sobie żółtą koszulę.

Był z niej niezwykle dumny. Opowiadał, jak zabił jej poprzedniego właściciela, skręcając mu kark, by nie zaplamić krwią pożądanego stroju.

Podpełznął do przyjaciela i położył rękę na jego ramieniu, by go obudzić.

Natychmiast ją oderwał i wstrząśnięty utkwiał wzrok w pokrywającej dłoń lepkiej wilgoci. Nargal opadł bezwładnie w tył, wpatrując się martwym spojrzeniem w jaśniejące niebo. Gardło miał poderżnięte od ucha do ucha.

Hyras wybałuszył oczy i ze zduszonym okrzykiem zerwał się na równe nogi.

Potoczył dookoła przerażonym spojrzeniem, ale nie dostrzegł nic niezwykłego.

Z krzykiem pobiegł do obozu.

— Do broni! Zamordowano Nargala! Do broni!

Gdy wśród wołań i zamieszania dotarł między namioty, Taharka złapał go za kołnierz.

— Kto zabił Nargala? — zapytał gniewnie.

— Nie wiem! — wykrzyknął Hyras, bliski hysterii. — Musiały mi się na chwilę zamknąć oczy, a kiedy je otworzyłem, już nie żył! To dzieło demonów!

Taharka odepchnął go od siebie tak silnie, że Zamorańczyk potoczył się po ziemi.

— Demony! — prychnął gniewnie Keshaćczyk. — Głupek! Chodźmy

zobaczyć to dzieło demonów!

Razem z innymi ruszył na posterunek, który poprzedniego wieczoru

wyzaczył dwóm Zamorańczykom. Wokół ciała Nargala zebrała się grupa wykrzykujących i dyskutujących mężczyzn.

— Zaiste, to dzieło demonów — powiedział bandyta z Khoraji, znany wśród kamratów z mnóstwa przesądów. Obszernym gestem wskazał nie poruszoną trawę wokół miejsca zbrodni. — Widzicie, na trawie nic nie widać. Jak jakikolwiek wróg zdołałby zakraść się pomiędzy nas tak niepostrzeżenie?

Nigdzie nie ma nawet kępy krzaków, za którą mógłby się schować.

— O co poszło, Hyrasie? — spytał Taharka. — O kobietę, czy o

niesprawiedliwy podział łupów?

— Przysięgam, że to nie tak! — krzyknął Zamorańczyk. — Nargal był moim przyjacielem! Wspólnie zdezerterowaliśmy z zamorańskiej armii i przez wiele lat wędrowaliśmy razem!

— Myślę, że kłamiesz — stwierdził Taharka. — Nie mam nic przeciwko uczciwym pojedynkom między moimi ludźmi, ale nie dopuszczę, żeby

mordowali się we śnie — skinął głową na Aksandriasa, który dobył miecz.

Jednym pchnięciem przeszył serce bandyty, zanim zaskoczony Zamorańczyk zdołał choćby mrugnąć okiem. Taharka z satysfakcją popatrzył na dwa trupy.

— Hyras został słusznie ukarany za morderstwo, a Nargal zasłużył na śmierć za zaśnięcie na warcie

— orzekł. — Skoro załatwiliśmy już tę sprawę, chodźmy na śniadanie. Czeka nas dzisiaj długi marsz.

Wrócili do obozu, w którym z pozbawionymi wyrazu twarzami oczekiwali na nich niewolnicy i niewolnice. Gdy bandyci poczęli zwijać namioty, powietrze przeszył kolejny przerażony krzyk:

— To Pushta! — drżący głos należał do Nediańczyka. — Myślałem, że jeszcze śpi, a on nie żyje, jak Nargal!

Pozostali bandyci zebrali się przy następnych zwłokach. — Dwa morderstwa jednej nocy? — rzekł Taharka. To niedobrze.

Mimo pozornego spokoju, drżał z wewnętrznego lęku. Jak mogło do tego dojść?

— Spał koło mnie całą noc! — zawołał Nediańczyk. — Nic nie słyszałem!

— Ani ja — powiedział jakiś ophirczyk głosem pełnym przesadnego lęku. —

Spałem przecież po jego drugiej stronie.

— Może za szybko wydaliśmy wyrok na Hyrasa — rzekł Aksandrias.

— Wasi przyjaciele nie żyją dlatego, że spaliście, hultaje, zamiast czuwać! —

zagrzmiał Taharka. Dziwię się, że którykolwiek z was jeszcze żyje, skoro dzień w dzień spijacie się do nieprzytomności, łotry! Którejś nocy niewolnicy po prostu uduszą was łańcuchami i będę miał z wami spokój! Zwijajcie migiem obóz i wsiadamy na konie! Nie mam ochoty siedzieć w tym przeklętym miejscu.

Gdy odjeżdżali, Taharka rozmyślał nad dziwnymi wydarzeniami minionej nocy. Zastanawiał się, czy miało to coś wspólnego z poznanymi kapłanami i ich potwornymi bogami? Czy manipulowali nim, by spełnił jakieś im tylko wiadome zadanie?

Tej nocy ludzie byli bardziej czujni. Dyskutowali ściszonymi głosami i niespokojnymi spojrzeniami przeczesywali ciemności wokół obozu. Mimo wszystkich wysiłków, niektórzy jednak posnęli. Kiedy nadszedł ranek, znaleziono dwa świeże trupy z gardłami poderżniętymi od ucha do ucha. Tym razem wybuchła panika. Niektórzy poczęli siodłać konie, by natychmiast odjechać, porzucając niewolników i wszystko, co mogłoby opóźnić ucieczkę.

Taharka musiał kazać Aksandriasowi zabić dwóch ludzi, by przywrócić jaki taki porządek.

— Nie zniesiemy tego dłużej, wodzu — powiedział Kuulvo, gdy wreszcie ruszyli na południe.

— Kto to może być? — spytał Taharka czując, że sam znajduje się

niebezpiecznie blisko utraty zimnej krwi. — Co za siła nieczysta zakrada się pod osłoną ciemności do strzeżonego obozu i zabija ludzi w absolutnej ciszy?

To niesamowite.

— Niesamowite czy naturalne, jeszcze noc lub dwie, a ludzie ze strachu zaczną zabijać się nawzajem — stwierdził Aksandrias.

— Masz rację — powiedział Kuulvo. — Radziłbym, by od tej pory nas trzech nocowało w pewnym oddaleniu od obozu. Pozostali najwyraźniej i tak nie potrafią nas strzec, a gdyby przyszło co do czego, zabiją nas pierwszych.

Będziemy bezpieczniejsi, jeśli jeden z nas będzie stale czuwał.

— To lepsze niż nic — odrzekł Taharka. — Ile dni drogi zostało nam jeszcze do Khorshemish?

— Jeśli nie damy niewolnikom wytchnienia, powinniśmy tam dotrzeć

wieczorem za trzy dni. Jutro po południu znajdziemy się w nieco ludniejszej okolicy, gdzie jest więcej osad i wsi.

— Zatem czeka nas jeszcze jedna noc w dziczy — powiedział Taharka. —

Jeśli dotrzemy do jakiejś większej wsi, zajmiemy ją na nasz obóz. W jakiejś oborze z solidnymi ścianami powinniśmy być razem z naszym towarem bezpieczni.

— Co dadzą ściany, jeśli nasz wróg jest nie z tego świata? — spytał

Aksandrias. Miał zapadnięte oczy, a dziąsła obłaziły mu z zębów w takim tempie, że te ostatnie wydawały się dwakroć dłuższe niż zwykle. Włosy poprzetykały mu pasma siwizny. Odkąd zaczęto znajdować wartowników z podejrzanymi gardłami, zażywał narkotyk co kilka godzin.

— I ty, przyjacielu? — rzekł Taharka. — Myślałem, że po tobie najmniej mogę się spodziewać, że padniesz ofiarą przesądnych strachów.

— Nie sędzę, by to była robota demonów, ale też nie wygląda to na dzieło śmiertelnika — orzekł Aquilończyk.

Taharka nie chciał ujawniać własnych obaw, wiążących się z kapłanem, który ukazał się mu w pieczarze. Wydawało mu się jednak wątpliwe, by przeklęty zakon czarowników postanowił go nękać w taki właśnie sposób.

Tej nocy w koszmarze, który zaczął prześladować bandytów, pojawił się nowy element. Pozostali przy życiu poganiacze niewolników rozpalili wielkie ognisko i nie wychodzili z kręgu jego światła. Zachowywali się cicho, dlatego na godzinę przed świtem dała o sobie znać bezsenność poprzednich nocy.

Ludzie zaczęli drzemać. Z półsnu wyrwał ich przeraźliwy krzyk

Nediańczyka, który wpatrywał się w pierzastą strzałę, wystającą z jego piersi. W jednej chwili

pozostali zerwali się na równe nogi, gotowi do walki na miecze i włócznie. Rozszerzonymi z przestachu oczami wpatrywali się w otaczający ich mrok.

— W którą stronę Nemediańczyk był zwrócony twarzą, gdy dostał strzałę? —

spytał Kuulvo. Otrzymał pół tuzina rozmaitych odpowiedzi, z których żadna nie była pewna.

Wtem rozległ się dźwięk przypominający uderzenie szpicrutą w siodło. Jeden ze stojących obok trupa bandytów zatoczył się z wystającym z piersi koniuszkiem strzały. Gdy pozostali odwrócili się odruchowo w kierunku, z którego mężczyzna został trafiony, rozległo się kolejne stęknienie bólu. To ophirski rzezimieszek osunął się na kolana, a następnie padł na twarz. Tuż pod jego lewą łopatką sterczała rękojeść sztyletu.

— Wszyscy jesteście przeklęci! — wykrzyknął garbatonosy Shemita i

oszalały ze strachu rzucił się biegiem w ciemność. Jego krzyki zakończyły się potwornym wrzaskiem bulgoczącym w pełnej krwi gardzieli. Taharka

wyszarpnął bicz i wbiegł między skutych niewolników.

— Wstawać, psy! Raźniej! Włóżcie między to bydło! — krzyknął do

pozostałych bandytów. Wzniesiemy mur z ciał, skoro nie mamy szajców z kamienia!

Bandyci spiesznie skryli się między więźniami, szarpiąc łańcuchami tak, by żywy pierścień otoczył ich ze wszystkich stron. Niewolnicy byli przerażeni, jednak usłuchali, stając z pochylonymi ku ziemi głowami. Z jednym wyjątkiem. Gibka, czarnowłosa piękność szturchnięciami łokci wskazywała swoim sąsiadkom mężczyznę leżącego ze sztyletem w plecach. Odwróciwszy głowy tak, by nie dostrzegli tego ich strażnicy, pięć kobiet uśmiechnęło się radośnie.

— Niebo się rozjaśnia — powiedział Kuulvo. — Teraz zobaczymy, kto lub co tak nas dręczy.

Jednak wschodzące słońce ukazało bandytom wyłącznie lekko pofalowaną równinę.

— Zostało ich jedenastu — powiedział Conan. — Dziś w nocy napadniemy na nich ostatni raz.

— Jestem szczęśliwa, że wczoraj pozwoliłeś nam pójść ze sobą — rzekła Kalina. — Zaczęło mnie nużyć, że całą zabawę zostawiasz sobie.

— Zgadza się — powiedział Vulpio, podjechawszy do nich na swoim

krótkonogim wałachu. — Serce mi rośnie, że mogłem ulokować sztylet w grzbiecie jednej z tych świń. Cieszę się też, że ujrzałem moją Ryulę.

— Jutro o świcie znów będziecie razem — stwierdził Conan. — Chcę, byś mnie nie odstępował, kiedy zakradniemy się do obozu. Nie staraj się walczyć z bandytami na miecze. Nie masz o tym pojęcia. Kiedy ci kogoś wskażę, rzuć w niego nożem tak szybko, by nie zdążył się uchylić.

— Zapewniam ci, że nawet nie zdążą zobaczyć mojego ostrza. Będę celował

tylko w oko lub gardło.

— Kalia, ty nie próbuj walczyć z Taharką. On jest mój. Musimy uporać się z pozostałymi, nim dobierzemy się do Aksandriasa, Taharki czy

Hyperborejczyka. Gdy wdamy się w walkę z nimi, nie będziemy mieli szans, by poradzić sobie równocześnie z kimkolwiek innym.

— Obchodzi mnie tylko Aksandrias — zapewniła dziewczyna. — Zajmuj się resztą, jeśli chcesz.

— Uparta z ciebie kobieta — odparł Conan, patrząc na nią surowo.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Gdybym taka nie była, jaki miałbyś ze mnie pożytek?

Wieś była stara i zaniedbana. Gliniane chaty zbudowano na ruinach wcześniejszych budynków. Kamienna świątynia, która rozpadła się w gruzy, została rozebrana przez wieśniaków na budulec. Na skraju wsi stała wielka wspólna obora dla bydła. Jej podmurówkę zrobiono z pochodzącego z lepszych czasów kamienia. Pozostałą część ścian przez lata dolepiono z gliny. Taharka dobił targu z wójtem wsi. Owce zostały wyprowadzone z zagrody, by dać miejsce niewolnikom. Kiedy skutych nieszczęśników wprowadzono do środka i zagnano do pobieżnego uporządkowania obory, Keshaćczyk marszcząc nos rozejrzał się po nowym obozowisku.

— Ale smród! Owce cuchną jeszcze bardziej niż niewolnicy, ale woń przynajmniej nas nie zabije, a to już miła odmiana. Kuulvo, masz dopilnować, by żaden z ludzi nie spił się w miejscowej oberży.

— Ręczę za to, ale mamy na głowie nie tylko ich pijaństwo — odparł

Hyperborejczyk. — Bardziej należy liczyć się z próbami dezercji.

— W takim razie wszyscy muszą zostać tu na noc. Aksandrias, dopilnuj, by przygotowano dobrą kolację. Weź ze sobą kilku niewolników, niech ją przyniosą. To powinno trochę poprawić ludziom humory. Przynieście jednak tylko tyle wina, by popić posiłek. Upewnij się też, by było dobrze rozwodnione.

— Uważasz, że nie jesteśmy tutaj bezpieczni, wodzu? — spytał Aquilończyk.

— Dopóki nie wiem dokładnie, kto następuje nam na pięty, zakładam, że stale jesteśmy w niebezpieczeństwie — odparł Keshaćczyk. — Doradzam ci to samo. Kuulvo, stań przy bramie i nie wypuszczaj nikogo.

— Tak jest, panie — powiedział Hyperborejczyk, szykując się do spełnienia polecenia herszta.

Taharka wyjął grzebień z kości słoniowej i przeczesał natartą pachnidłami brodę. Po wydarzeniach

poprzedniej nocy był zupełnie pewny, że to nie siły nieczyste zamieniają jego życie w piekło. Strzały i sztylety były zdecydowanie ziemskimi narzędziami. Czyżby była to sprawka Cymmerianina i tej jednookiej dziewczki? Nie chciał pogodzić się z tą myślą. Jak dwoje szalonych młodzików mogło posiać aż takie zniszczenie? I dlaczego wlekli się za nim z uporem mściwych demonów?

Taharka znał pradawne legendy o królach i bohaterach, którzy nagrzeszyli tak straszliwie, iż nie uszło to uwagi bogów, którzy wyznaczali okrutne stwory, mające ścigać grzeszników nocą i dniem, wszędzie tam, dokąd starali się uciec, póki nie ogarnęło ich szaleństwo lub zadali sobie śmierć z własnej ręki.

Coś takiego zdarzało się jednak tylko w mitach. W każdym razie Taharka nie wiedział, czym zasłużył sobie na taką zemstę.

Nie, pomyślał, to musi być dzieło kapłanów w czarnych szatach i ich piekielnych planów. Gdy o nich pomyślał, na jego czoło wystąpił pot. Musiał

się im wymknąć za wszelką cenę, bez względu na to, co i kogo przyszyłoby mu poświęcić. Zdążając do jedynej oberży we wsi, Aksandrias nie zawracał sobie głowy takimi straceńczymi dociekaniem. Był pewny, że ścigała go Kalia, że to ona po kolei morduje jego kompanów, w ten sposób bawiąc się z nim jak kotka z myszą. Stała się główną postacią jego koszmarów, zwiadywała mu się we śnie i na jawie. Czasami pokazywała mu się jako dziecko, które kiedyś poznał, czasami jako jednooka wiedźma, z którą walczył w Crotonie. Często budził się w nocy z krzykiem, czując w nozdrzach woń palonego ludzkiego ciała.

W oberży rozkazał przygotować wystawny posiłek, lecz zalatujące z kuchni aromatyczne wonie nie sprawiały mu żadnej przyjemności. Taharka nie zabronił mu powstrzymać się od wina, więc zamówił kubek. Kiedy je dostał, stwierdził, że odrzuca go jego smak. Przez kilka ostatnich dni jadł mniej niż powinien. Wydawało się mu, że nic nie ma już znaczenia prócz krwi, walki i jednookiej dziewczyny, która powinna nie żyć od wielu lat.

Gdy zaczęło zmierzchać, a cienie wydłużyły się, Taharka odciągnął na bok Kuulva i Aksandriasa.

— Przyjaciele, jak wiecie, jestem człowiekiem zapobiegliwym, dlatego też podjąłem pewne środki ostrożności. Chodźcie ze mną.

Wyprowadził ich za zagrodę dla bydła. W środku słychać było odgłosy uczyty.

Conan, Kalia i ich towarzysze późną nocą podeszli do pogrążonej w ciemnościach wioski. Gdzieś daleko zaszczekał pies, a bliżej przenikliwy pisk oznajmił, że jakiś gryzoń właśnie zapoznał się z sową. Poza tym panowała cisza. Przybysze bez kłopotów dotarli pod mur zagrody dla bydła. Conan dał

znak cyrkowcom. Jeden z nich oparł się o mur i splótł przed sobą dłonie.

Drugi lekko wskoczył po dłoniach partnera na jego barki i również splótł ręce.

Dokładnie zaplanowali to posunięcie, jednak nie mieli okazji przeciwżyć go na równinie po drodze.

Pozostali dwaj akrobaci wspięli się z czarodziejską zręcznością po drabinie z ludzkich dłoni. Ostatni podążył Vulpio. Conan zaczerpnął głęboko tchu i podbiegł ku stojącemu na dole mężczyźnie. Wyrzucił

przed siebie stopę i najlżej jak potrafił odbił się od dłoni. Jego o wiele większa waga sprawiła, że akrobatom ugięły się kolana, lecz Cymmerianinowi udało się wdrapać na szczyt muru. Rozciągnawszy się na brzuchu, wciągnął na górę Kalię. Gdy pokonywała brzeg muru, jej zbroja zazgrzytała o twardą, spieczoną glinę.

— Co to?! — wykrzyknął ktoś na dole. — Dorzucicie więcej do ognia!

Zmełszy przekleństwo, Conan zeskoczył na ziemię dobywając miecza. Nie miał czasu wciągać za sobą dwóch pozostałych akrobatów. Kalia wylądowała obok niego, gorejącym spojrzeniem jedyne go oka poszukując Aksandriasa.

Ruszyli w kierunku ogniska, do którego dorzucono chrustu, Conan usłyszał

kroczącego za nim Vulpia. Wszystko zależało teraz od zaskoczenia.

— To tylko ludzie! — powiedział ktoś, jakby ze zdziwieniem.

Jakiś Argosańczyk o ponurej twarzy rzucił się na Conana z uniesionym dwuręcznym mieczem. Pierwszy cios barbarzyńcy odtrącił opadające ostrze, następny rozharatał twarz napastnika, a trzeci rozplątał jego bark. Wyciągając miecz Conan ujrzał dwóch bandytów zbliżających się do niego z dwu stron.

Tego po lewej wskazał mieczem Vulpiowi, a sam zaczął walczyć z napastnikiem po prawej. Odziany na ophirską modłę bandyta skierował włócznię w brzuch Conana. Cymmerianin chwycił drzewce za grotem i szarpnął je ku sobie, nadziewając rzezimieszka na swój miecz. Puścił włócznię i wyszarpnął broń z trzewi bandyty widząc, że drugi napastnik pada ze sterczącym z oka sztyletem.

Kalia w tym samym momencie wyprowadzała pchnięcie w gardło jakiegoś Koryntiańczyka.

Na Conana rzucił się kolejny bandyta i padł przeszyty wystrzeloną z muru strzałą. Po nim na Cymmerianina rzuciło się trzech następnych obwiesiów.

Przez parę chwil Conan miał z nimi pełne ręce roboty. Ledwie dostrzegłszy spadający z prawej miecz uchylił się przed nim, równocześnie rąbiąc na odlew i odcinając rękę z bronią od nadgarstka. Schylił się przed ciosem pałki, ta jednak otarła się o jego ciemię w chwili, gdy poziomym cięciem wypuścił

trzewia z wymachującego nią bandyty. Gwiazdy zawirowały barbarzyńcy przed oczami, utrzymał się jednak na nogach i obrócił, by stawić czoło trzeciemu z napastników, dzierżącemu topór o podwójnym ostrzu. Nim bandyta zdążył się zamachnąć, jego gardło przeszył sztylet. Gdy padał w tył, w górę trysnęła wielka fontanna krwi.

Obok Conana zatoczył się kolejny z poganiaczy niewolników, starający się wyciągnąć tkwiącą w

plecach strzałę. Jeszcze inny padł z łomotem tuż obok niego. Człowiek ze strzałą w plecach przewrócił się twarzą w ognisko. Conan szybko policzył trupy.

— Jeszcze trzech! Gdzie oni są?!

Zaczął przeszukiwać z Kalia całą zagrodę, podczas gdy cyrkowcy ściskali swoje kobiety. Inni niewolnicy krzyczeli, by ich uwolnić.

— Nie ma ich tutaj! — zawołała Kalia. — Jakiś bóg ich chroni, czy co?!

Zawsze będą się nam wymykać?!

Conan podbiegł do hałaśliwie witających się Vulpia i Ryuli.

— Ryula! — krzyknął. — Gdzie pozostałych trzech? Keshaćczyk,

Aquilończyk i Hyperborejczyk?!

— Wyszli wieczorem z zagrody — odparła. — Powiedzieli pozostałym, że obejmą straż za bramą.

Conan podbiegł do bramy i stwierdził, że jest zaparta od zewnątrz.

Podskoczył tak wysoko, jak potrafił, i ledwie zdołał chwycić wierzch ściany koniuszkami palców. Mocarne mięśnie napięły się mu pod skórą, gdy podciągał się na wierzch muru. Nie dojrzał nic, w oddali słychać było jednak tętent galopujących koni. Klnąc szpetnie, zeskoczył z drugiej strony i otworzył

bramę. Zaciekawieni wieśniacy wyglądali z drzwi i okien. Conan wrócił do cyrkowców i odbitych więźniów.

— Wygląda na to, że się tu rozstaniemy — powiedział do Vulpia i Ryuli. —

Znów prześliznęli się nam przez palce. Ryula, słyszałaś może, gdzie chcieli podążyć, kiedy was sprzedadzą?

— Mówili o tym wiele... — przerwała, by jeszcze raz pocałować męża — ...że pojedą na Południe na pogranicze Stygii i... — kolejny pocałunek — ...będą piratami na Styksie — płakała i śmiała się równocześnie, przez co jej słowa były trudne do zrozumienia.

— Tego łotrostwa widocznie jeszcze nie próbowali — powiedziała Kalia. —

Można się spodziewać, że nie cofną się przed niczym.

— Kiedy się tylko rozjaśni, powinniśmy spróbować odnaleźć ich trop —

stwierdził Conan. — Vulpio, byłeś dzielnym przyjacielem, chociaż nie jesteś wojownikiem. Cieszę się, że wsparłeś mnie swoimi sztyletami. Masz, weź. —

Wyjął z sakiewki kilka złotych monet. — Wiejski kowal będzie musiał jutro solidnie się napracować, by zdjąć te obroże. Powinno wam wystarczyć na opłacenie go i kupienie jedzenia na drogę powrotną.

— Nie wiemy, jak mamy ci dziękować — powiedziała Ryula.

— Jestem tutaj tylko dlatego, że szukam ludzi, których chcę zabić. — Conan wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł. Kalia ruszyła za nim, wycierając szablę.

— Było ich zaledwie czterech czy pięciu — powiedział ponuro Kuulvo. —

Powinniśmy ich zabić i mielibyśmy spokój. Jechali we trzech na południe.

Juki z łupami stanowiły ich jedyne pocieszenie.

— Zgadza się. Mam już tego dosyć — odparł Taharka. — Ale źle liczyłeś, byli jeszcze inni. Nie wiem dokładnie ilu, więc wolałem nie ryzykować walki.

Jeśli jednak nas kiedyś odnajdą, to następnym razem my będziemy dyktować warunki.

— Przynajmniej wiemy, kim są — stwierdził Hyperborejczyk. — To nie duchy, lecz śmiertelnicy.

— Tych dwoje to Cymmerianin i jednooka kobieta — wychrypiął Aksandrias.

W jego oczach na stałe zagościł już wyraz szaleństwa. — Jestem pewny, że to nie są zwykli śmiertelnicy.

ROZDZIAŁ 13

— To jest rzeka? — szczeka Cymmerianina opadła ze zdumienia na widok krajobrazu, który się przed nim roztoczył. Mętne wody Styksu miały w tym miejscu milę szerokości. Wioski obsiadły jego brzegi tak gęsto, że niemal nie było między nimi odstępów. Rozległe, żyzne, poprzecinane błyszczącą siatką kanałów nawadniających pola rozpościerały się daleko od brzegów. Na horyzoncie widać było wieże i kopuły olbrzymich świątyń. Wzdłuż obydwu brzegów wielkiej rzeki ciągnęły się szerokie, brukowane gościńce, zatłoczone pieszymi, konnymi i wozami. Największe wrażenie wywierała jednak sama, oszałamiająco szeroka rzeka. Pełno było na niej łodzi, tratw, barek, a nawet żaglowców i galer. Większość łodzi miała trójkatne żagle na skośnych masztach, a część poruszała się dzięki wiosłom rufowym. Na niewielkich tratwach, pływających blisko brzegu, używano tyczek.

— Popatrz! — powiedziała Kalia, wyciągając rękę. Zza zakrętu rzeki wyłonił

się wielki statek. Składał się z dwóch połączonych szerokim pomostem kadłubów. Z burt statku wystawały setki wiosł. Rytmicznie zanurzały się w wodę, błyskały w słońcu i ponownie nurkowały. Na skośnych rejach dwóch wysokich masztów wisały zwinięte purpurowe żagle. Przedni maszt ozdobiony był olbrzymią, wyszywaną złotą nicią szkarłatną banderą, z wizerunkiem kobry. Kadłuby pomalowano na jaskrawe barwy, wśród których przeważały zieleń i błękit. Dzioby i rufy zdobiły

złocenia przedstawiające łby kobr, sępów, szakali i lwów. W środku łączącego kadłuby pomostu znajdowała się najeżona bronią wieżyczka wykładana płytami z polerowanego spiżu. Na pokładzie i przy wieży stały liczne katapulty i inne maszyny wojenne.

— Co to jest? — spytał Conan. Nie wyobrażał sobie, by podobna pływająca forteca mogła w ogóle istnieć. Teraz dobiegło do nich głębokie dudnienie wielkiego bębna, wybijającego rytm uderzeń wioseł.

— To stygijski katamaran wojenny — odparła Kalia. — Widziałam je na obrazach, jednak to daje zbyt blade pojęcie o rzeczywistości. Powiada się, że królowie–kapłani mają ich setki.

— Setki! — wykrzyknął Conan. — Niemożliwe, na świecie nie ma takiego bogactwa!

Był oszołomiony wszystkim, co widział. Nie wątpił, że warto było opuścić zimne, wietrzne wzgórza Cymmerii.

— To prawda — odrzekła Kalia. — Bogactwa innych narodów bledną w

porównaniu ze złotem, które posiadają władcy Stygii. Zawsze mi o tym mówiono, ale do tej pory nie wierzyłam. Spójrz tam! — Wskazała na odbijającą od brzegu mniejszą barkę. Każda piędź jej powierzchni wydawała się pozłacana, nawet pióra wioseł, przy których harowali starannie dobrani, czarni niewolnicy. Na dziobie znajdował się rzeźbiony łeb lwicy, a na rufie posąg krowy o rozłożystych rogach.

— To musi to być barka jakiejś księżniczki lub damy.

— Skąd wiesz?

Z tak dużej odległości nie można było rozróżnić płci osoby siedzącej na tronie na środku pokładu.

— Czytałam, że boginie, wyobrażane jako krowa i lwica, to opiekunki kobiet.

Conan stał w strzemiionach od chwili, gdy dotarli do wysokiego urwiska na północnym brzegu rzeki. Dopiero teraz usiadł z powrotem.

— To cudowne. Lata całe mógłbym spędzić na wpatrywaniu się w te

wspaniałości, ale źle to wróży naszej wyprawie — westchnął. — Jak odnajdziemy tych trzech w tak ludnym kraju? W tej chwili widzę tu chyba więcej ludzi niż w całym moim życiu! I prawie wszyscy to ciemnoskórzy południowcy. Na północy łatwiej nam było wypytywać o Taharkę.

— Jakoś sobie poradzimy — powiedziała Kalia. — Na pewno nie

przemierzyliśmy połowy świata tylko po to, aby ich teraz zgubić.

Przejechali przez Koth i Shem, często tracąc trop bandytów. Musieli rozpytywać w każdej napotkanej zagrodzie i wsi, czy ktoś ostatnio tędy nie przejeżdżał. Często mijało wiele dni, nim zdobyli pewną

wiadomość o ściganych, lecz gdy dotarli nad Styks, znów od dawna nie mieli o nich żadnej wieści.

— Może przeprawili się na drugą stronę? — spytał Conan.

— Możliwe, ale wątpię w to. Stygijski brzeg jest dla nich bardziej niebezpieczny. To nieprawdopodobnie stara kraina. Cały naród jest rządzony surowiej, niż w jakimkolwiek państwie hyboryjskim. W Stygii obcy bez przerwy znajdują się pod okiem władz. Jestem przekonana, że Taharka rozpocznie swą działalność z północnego brzegu lub z jakiejś rzecznej wysepki.

— I sądzisz, że znów z czasem o nich usłyszymy?

— Wyobrażasz sobie, że ktoś taki jak Taharka zagrzeje gdziekolwiek miejsce dłużej niż kilka dni, nie wywołując poruszenia? — zaśmiała się gorzko. —

Poszukajmy jakiegoś miasta, w którym skupia się handel między obydwoma brzegami. Wkrótce dobiegną nas pogłoski o śmierci i zniszczeniu. Wtedy będziemy wiedzieć, że ich znaleźliśmy.

Miasto nazywało się Pashtun. Leżało nie na brzegu Styksu, lecz na sporej wyspie nieco na północ od środka nurtu. Dla wygody obydwu nacji nie należało ani do Stygii, ani do Shemu. Służyło jako port rzeczny. Wyspa znajdowała się w okolicy, gdzie do wielkiej rzeki wpadało kilka mniejszych, lecz także żeglownych dopływów. Było to naturalne miejsce spotkań kupców, wędrowców i awanturników.

Na środku wyspy zbudowano kilka zajazdów. Do jednego z nich wprowadzili się Conan i Kalia. Trzeciego dnia po przybyciu, gdy słońce już się zniżało, siedzieli oboje na tarasie na dachu zajazdu, spoglądając na południe na stygijski brzeg. W oddali widać było wielkie piramidy. Conanowi wciąż trudno było uwierzyć, że te gigantyczne budowle to dzieło rąk człowieka. Dowiedział

się, że są one liczącymi sobie wiele setek lat grobowcami królów — kap —

łanów.

— Po co oni to wszystko robią? — zapytał, wyciągając dłoń ku

przeciwległemu brzegowi. Dokładnie po drugiej stronie rzeki znajdowała się wyniosła fasada jakiejś świątyni, z której drobne sylwetki w białych szatach, wymachując kadzielnicami, bijąc w bębny i sistrumy, wylewały się nie kończącym szeregiem z jednego wyjścia tylko po to, by po chwili zniknąć w sąsiednim. — Dzień i noc tak maszerują, po co?

— Taka jest ich tradycja — odparła Kalia. — Wierzą, że to oddanie bogom sprawia, iż są bogaci i możni. Przynajmniej kapłani utrzymują lud w posłuchu, wmawiając mu to.

Conan poruszył się niespokojnie.

— Jaki jest pożytek z bogactw, jeśli całe życie trzeba spędzić na smętnych śpiewach i waleniu w bębny dla bogów, którzy nigdy się nie objawią ani nawet nie przemówią do swoich wiernych?

— Prawdziwy z ciebie barbarzyńca, Conanie. — Kalia uśmiechnęła się. —

Nigdy nie zrozumiesz obyczajów cywilizowanych ludzi.

— Za to powinienem być wdzięczny Cromowi, tyle że nigdy mu za nic nie dziękuję.

Upił łyk chłodnego, korzennego wina. Z początku ten trunek miał dla niego obcy smak, ale szybko go polubił. Wino miało cierpki aromat i pływały w nim kawałki owocowej miazgi.

— Jakim bogiem jest ten twój Crom? — spytała Kalia.

— Jest nieprzystępny i straszny. Niewiele o nas dba, ani my o niego.

Mieszka w jaskini na wysokiej górze w Cymmerii. Kiedy rodzimy się, obdarza nas wojowniczym duchem oraz mocą pokonywania wrogów i przeciwności losu. To wystarczający dar dla mężczyzny. Wierzmy, że resztę czasu spędza na walce z Ymirem.

— Taki bóg pasuje do waszych północnych krain — odparła. — Bogowie Południa są bardziej osobliwi. Stygijczycy mają ich całe setki. Rozmawiałam dziś rano z jakimś uczonym. Przez parę godzin opowiadał mi o atrybutach różnych bogów. Stygijczycy mają boga dla każdego rodzaju pogody, każdego gatunku ptactwa, gadów, ryb i innych zwierząt, dla każdego dnia tygodnia i wszystkich organów ludzkiego ciała. Największym z nich jest Set, Stary Wąż.

Służy mu jednak tylko jeden zakon ze swoją akademią. Inni kapłani nawet nie próbują o nim rozmyślać, taki jest straszny.

Conan przypomniał sobie, że kapłan tajemniczej świątyni w Crotonie mówił

o Secie, iż jest on niemowlęciem w porównaniu z jego bogami. Nagle poczuł

przygnębienie na myśl o bóstwach i ich pokornych czcicielach.

Po schodach na dach wszedł jakiś mężczyzna i rozejrzał się za wolnym miejscem. Odziany był w strój kupca z Khemi, portu u ujścia Styksu, gdzie wielka rzeka wlewała swe wody do zachodniego Oceanu. Widząc że wszystkie stoliki są zajęte, podszedł do Conana i Kalii, koło których były jeszcze wolne miejsce.

— Mogę się do was przysiąść? — zapytał i za ich przyzwoleniem usiadł.

— Widzę, że jesteś z Khemi — powiedziała Kalia, zorientowana już w subtelnościach kupieckiego życia Pashtun. — Jak idzie rzeczny handel?

— Nader pomyślnie — odpowiedział kupiec, machnąwszy dłonią w stronę szerokiego rozlewiska.

— Jak widać, Ojciec Styks dba o nas wszystkich.

Popatrzcie — wskazał olbrzymi rząd połączonych barek, na których piętrzący się ładunek przykryty był płótnem przytwierdzonym konopnymi sznurami. —

To ziarno wiezione do Messancji, by zaradzić głodowi na południu Argos. A tam... — wskazał flotyllę niewielkich łodzi rybackich, powracających z północnego brzegu z sieciami udrapowanymi na długich bomach oraz

poходniami na dziobach i rufach — ...nocni rybacy zmieniają dziennych. Za dnia sieci zarzuca się głęboko, a wieczorem wielkie chmary owadów wywabiają ryby pod powierzchnię na żer. Ryby wypływają, by jeść owady, a rybacy po ryby, by mieć co jeść. Jest w tym pewne piękno i symetria, nieprawdaż?

— Rzeczywiście — rzekła Kalia. — Rzeka zawsze jest tak łaskawa?

— Widzę, że jesteście z Północy — powiedział kupiec, przyjmując z rąk dziewczyny kielich z winem. — To wasza pierwsza wyprawa nad wielką rzekę?

— Dopiero co przybyliśmy — rzekł Conan.

— W takim razie wiedzcie, że Ojciec Styks jest szczodry, chociaż czasami potrafi być drażliwy. Zsyła wedle swego uznania bogactwa pospołu z niebezpieczeństwami — zaczął się rozwodzić kupiec. — Na południowym brzegu rzeki pełno jest krokodyli i hipopotamów. Hipopotamy wyglądają śmiesznie, lecz bywają kapryśne i groźne. Do tego dochodzą rzeczne żmije, których jad jest zdumiewająco śmiernicionośny, a ponieważ są one w Stygii święte, nikt nie może ich zabijać — odchylił się na oparcie, nabierając tchu. —

Rzeka jest teraz spokojna, lecz często zdarzają się straszliwe burze. Pojawiają się bez ostrzeżenia, gdy dwóch bogów kłóci się ze sobą. Wtedy z łatwością powstają wysokie fale, bez trudu przewracające łodzie. Corocznie tonie wielu ludzi.

— Czy na rzece grasują bandyci? — spytała Kalia, obracając kielich w dłoni.

— Rzadko, ale czasem się pojawiają. Ich harce nigdy jednak nie trwają długo. Kiedy stają się utrapieniem dla któregoś z miejscowych wielmoży, ten wysyła barkę wojenną lub oddział wojska, by wypłenić takie gniazdo os. Coś podobnego powinno mieć niedługo miejsce w prowincji Khopshef, przez którą właśnie przejeżdżałem. Leży ona na zachód stąd i nie ma tam żadnych większych miast. W ciągu ostatnich lat często pojawiali się tam rzeczni piraci.

— Co się stało w tej prowincji? — spytał Conan.

Starął się nie okazywać zainteresowania, lecz tak silnie ścisnął kielich w garści, że metal zaczął trzeszczeć.

— Od paru tygodni znajduje się na rzece łodzie pozbawione załóg i towarów.

W dnach wybijano dziury, ale łodzie nie zawsze tonęły, a jeśli już, to wypływały z powrotem. Rieczne prądy wyrzucały również na brzeg zwłoki lub ich kawałki. Zawsze miały one rozprute brzuchy, by zbierające się gazy nie doprowadzały do wypłynięcia trupów na powierzchnię. Mimo to jednak nie wszystkie zatoneły na zawsze. W ten sposób Ojciec Styks mówi swoim dzieciom, że zło zagnieździło się nad nim i trzeba temu zaradzić.

— Na jakiego rodzaju statki napadano do tej pory? — spytała Kalia.

— Na małe jednostki handlowe, takie, które przewożą lekki ładunek i pasażerów.

— Z wartościowymi towarami i bogatszymi pasażerami? — stwierdziła Kalia.

— Zgadza się — potwierdził kupiec. — Tak się składa, że zamożni

Stygijczycy podróżują o tej porze roku do kilku najświętszych w kraju świątyń. Podróż łodzią jest wygodniejsza niż łądem. Często też zabierają ze sobą wielkie bogactwa.

Conan i Kalia rozmawiali z kupcem długo w noc. Stanowił on chodzącą książkę wiadomości o rzece, ludziach i obyczajach. Kupiec ze swej strony był

zachwycony tym, że ma do czynienia z kimś, kto nie ma pojęcia o Styksie i chce dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Szczodrze pojony winem, nie szczędził

dwojgu przybyszom opowieści o tutejszym życiu. Gdy wieczór dobiegł końca, Conan i Kalia udali się do swojego pokoju, by omówić dalsze postępowanie.

Następny rano zastał ich w porcie, wypytyjących o możliwość podróży na zachód. Gdy zamieszkali na wyspie, sprzedali swoje wierzchowce i siodła. Na łądzie było tyle granic i posterunków, że zdecydowali się podróżować rzeką, gdzie tylko będzie to możliwe. Przy nabrzeżach cumowała wielka liczba statków i łodzi. Część z nich wyglądała na zbyt stare i zaniedbane, by im zaufać. Znaleźli w końcu gotującą się do wypłynięcia łódź, na którą łądowano bele jedwabiu. Z łądowni roznosiła się woń ziół i przypraw. Barka wyglądała na solidną, a paru pasażerów na pokładzie było dostatnio ubranych.

— Dokąd płyniecie? — spytał Conan człowieka, który stojąc na śródkręciu dyrygował tragarzami. Marynarz miał na głowie szkarłatny jedwabny turban, w lewym uchu migotał złoty pierścień.

— Do Khemi.

— Macie jeszcze miejsce dla dwóch pasażerów?

— Wszystkie kabiny są zajęte — odpowiedział mężczyzna. — Jeśli jednak jesteście gotowi spać na pokładzie, to was wezmę.

Obydwoje wskoczyli na pokład.

— Słyszałem, że płyniecie przez niebezpieczne wody — powiedział Conan. —

Potrafimy posługiwać się bronią.

— W takim razie będziecie spokojniejsi — marynarz wzruszył ramionami. —

Cena za przejazd jest urzędowa. Dwadzieścia srebrnych szekeli do Shemu, dwie złote stygijskie kobry do Khemi.

— Ale nie zamierzamy... — zaczął Conan i urwał nagle, gdy Kalia szturchnęła go łokciem w żebra.

— Załatwione — powiedziała i wręczyła marynarzowi pieniądze. Ten machnięciem ręki wskazał im miejsce na pokładzie.

— Kiedy słońce podniesie się wysoko, rozepniemy markizę. Jestem kapitan Amyr. Moje słowo jest prawem na pokładzie Dumy Luksuru.

Odwrócił się od nich i zaczął krzyczeć do grupy tragarzy, którzy marudzili na nabrzeżu. Robotnicy ożywili się i zaczęli wnosić po trapie niewielkie szkatuły.

— Dlaczego zapłaciłaś pełną cenę? — burknął Conan. — Nie płyniemy przecież do Khemi.

— Ponieważ stałby się podejrzliwy, gdybyśmy mu powiedzieli, że płyniemy tylko do pirackich wód.

Rozpostarli koce na pokładzie i z zaciekawieniem przyglądali się, jak Duma Luksuru odbija od nabrzeża. Szumnie nazwana jednostka była barką o płaskim dnie, długości może dwudziestu pięciu kroków i szerokości dziesięciu.

Nie była pierwszej młodości, ale pomalowano ją niedawno na jaskrawe barwy i wydawała się dobrze utrzymana. Wkrótce okazało się, że prawie wszyscy pasażerowie na pokładzie to służba tych, którzy dostali niewielkie kabiny pod nim.

— Nigdy nie widziałem tylu nie uzbrojonych ludzi — powiedział Conan do Kalii. Stali przy burcie, przypatrując się ruchowi na szerokim wodnym szlaku.

— To dobrze rządzony kraj — odparła dziewczyna. — Widziałeś, że na brzegu roi się od żołnierzy i urzędników króla. Władcy są bogaci i naprawdę potężni.

Ludzie wierzą, że król potrafi ich ochronić. Do tego służy straż, sądy i inne cywilizowane instytucje.

— Z takiej ufności rodzi się słabość — orzekł Conan. — Ludzie powinni polegać wyłącznie na swoich mieczach.

— Nie będę się z tobą spierać — odrzekła. — Widzę, że Taharka znalazł sobie wyśmienity teren łowiecki, aczkolwiek jego dni są policzone, kiedy tylko lokalne władze potraktują doniesienia poważnie.

— Kiedyś na piktyjskim wybrzeżu słyszałem o piratach, grasujących na zachodnim Oceanie. Vanirowie to urodzeni rozbójnicy. Napadają w swoich długich łodziach na nadbrzeżne wioski. Opowiadano mi również o

Zingarańczykach i innych narodach, posługujących się okrętami wojennymi.

Mają siedziby na wyspach i wyprawiają się z nich, by łupić statki kupieckie.

Taharka musiał obsadzić swoimi rzezimieszkami jakąś łódź. Chyba nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem potrzebnych mu łotrów.

— Myślę, że mógł zrobić coś innego — powiedziała po chwili namysłu Kalia.

— Okręt piracki potrzebowałby przystani i przyciągałby wiele uwagi. Widziałeś, jak gęsto są zaludnione brzegi i jak duży ruch panuje na rzece. Trudno by było zakotwiczyć tu jakikolwiek statek, pozostając nie zauważonym.

— Może cumują na jakiejś małej wysepce, jest ich przecież mnóstwo —

zauważył Conan. — Mogą napadać w nocy, gdy statki rzucają kotwicę przy brzegach lub wyspach. Po zmroku na rzece panuje niewielki ruch.

— Możliwe, ale zauważ, że bez kłopotu dostaliśmy miejsca na tej barce. Na pewno podobnie jest na innych. Gdybyśmy byli rzeczonymi bandytami, czy nie łatwiej byłoby nam czekać w porcie, aż pojawi się odpowiednia ofiara, i dostać się na nią jako pasażerowie? Zbliżywszy się do naszego legowiska, mordowalibyśmy we śnie załogę i pasażerów. Wtedy nasi kamraci podpłynęliby z brzegu łodziami, którymi zabraliby łup, podczas gdy my odholowalibyśmy jak najdalej statek z trupami. Potem po prostu dopłynęlibyśmy do brzegu i tam zaczekali na statek płynący w drugą stronę.

— Coś w tym jest — stwierdził Conan. — Trudno byłoby znaleźć taką bandę, chociażby szukało jej mnóstwo wojska — uśmiechnął się. — Masz łotrowski umysł.

— Byłabym dobrym bandytą. — Kalia poważnie kiwnęła głową. —

Poświęciłam życie na ściganie łotra, dlatego sama się do niego trochę upodobiłam.

Podróż z prądem rzeki była spokojna. Gdy wiatr wiał od rufy, rozwijano wielki żagiel, by wspomóc siłę nurtu. Barka robiła częste postoje po obydwu stronach rzeki, wysadzając jednych pasażerów i zabierając innych. Czasami zatrzymywała się na noc w jakimś rzeczonym porcie, kiedy indziej cumowała na płycznach. Conan i Kalia rozpytywali wszystkich, których spotykali w dolnym biegu rzeki, czy napaści w okolicach Khopshef nie ustały. Dowiedzieli się, że prawie każdego dnia znajdowano ślady nowych bezceństw. Mordy i rabunki nie wywołały jednak zbyt wielkiego wzburzenia. Przy tak dużym ruchu zniknięcie paru małych jednostek wydawało się przypadkowe i pozbawione znaczenia. Ten fakt przygnębił Conana.

— Jak ich znajdziemy, skoro po rzece pływa tyle statków? — pytał.

— Może nam to zabrać mnóstwo czasu — przyznała Kalia. — Będziemy

pływać wieloma statkami w tę i z powrotem. Najlepiej byłoby, gdybyśmy znajdowali się na tym, który upatrzą sobie bandyci.

— W takim razie szybko skończą się nam pieniądze — zaprotestował Conan.

— Nauczysz się wiosłować — odpaliła Kalia.

— Jestem wojownikiem, nie jakimś niewolnikiem, żeby pocić się nad wiosłami! — burknął Cymmerianin.

— Tylko żartowałam — uspokoiła go. — Pomyślałam sobie, że przecież ich łupy to nie tylko srebro i złoto. Jeśli rabują towary zajmujące więcej miejsca, to muszą się ich gdzieś pozbywać. Na pewno któryś z kupców w tej prowincji przyjmuje dostawy późną wieczorową porą. Może tędy trafimy do piratów,

— Jak znajdziemy tego współnika?

— Zostaw to mnie. Może jesteś wielkim wojownikiem na swoich północnych pustkowiach, ale nie znasz się na zwyczajach cywilizowanych złodziei.

— Jaki to miesiąc? — spytał Conan, gdy schodzili na brzeg. Kapitan barki był zaskoczony, kiedy zażyczyli sobie wysadzenia na brzeg mniej niż w połowie drogi do Khemi. Ponieważ jednak nie kłócili się z nim o zwrot pieniędzy, był

zadowolony. Mógł teraz wziąć jeszcze dwóch pasażerów. Za opłatą.

— Drugi tydzień po pierwszej pełni roku. Miesiąc Przednówka, według aquilońskiej rachuby. Dlaczego pytacie?

Conan rozejrzał się wokół po drzewach palmowych, po sadach w pełnym rozkwicie i po wieśniakach, trudzących się na polach przy siewie jednego z dwóch dorocznych plonów.

— Na Północy trwa teraz sroga zima, a tu jest wiosna albo lato. Sam już nie wiem. Trudno powiedzieć, bo tu nie ma pór roku.

Zarzucił sakwę na muskularne ramię. Razem z Kalią zeszli na brzeg w niewielkim miasteczku Nakhmet. Mimo stygijskiej nazwy leżało ono na shemickim brzegu rzeki. Często spotykało się takie nazwy, ponieważ wielkie południowe imperium często przyłączało do swojego terytorium północne regiony, przyległe do Styksu.

— To prawda — rzekła Kalia. — Ta kraina jest jak sen. Nie ma tu zimy ani lata, a ludzie dzielą rok według wylewów Styksu. Jeden plon sadi się w czasie, gdy zbiera się drugi. Drzewa w jednym sadzie dają owoce, podczas gdy w drugim dopiero kwitną. Mam wrażenie, że to nienaturalne.

— Do tego jest gorąco — stwierdził Conan. — Ale mnie się tu podoba. Po drugiej stronie, w Stygii, jak na mój gust jest zbyt gęsto od kapłanów, a ludzie są zbyt pokorni i przesądni. Shem bardziej mi odpowiada.

— Przyjemnie tutaj — powiedziała z roztargnieniem Kalia. — Drażni mnie jednak, że Taharka jest tutaj u siebie. Południe to jego żywioł, dzięki czemu ma nad nami przewagę. Gdzie indziej był

intruzem, lecz tutaj jest prawie tubylcem. Keshan leży nad Styksem, na południe od Stygii.

Myśl o krainach jeszcze odleglejszych od Stygii pobudziła wyobraźnię Conana.

— Rozmawiałem z wędrowcami o tych krajach. O Puncie i Zembabwei,

bogatych w złoto i kość słoniową, także o Kush i Zarfarze, gdzie wszyscy mają skórę czarną jak heban. Powiedziano mi, że jeszcze dalej na południe znajdują się wielkie, czarne królestwa, których nazwy są tu nieznane. Kiedyś zwiedzę je wszystkie.

— Masz duszę podróżnika. Ja też długo wędrowałam, ale tylko dlatego, że zmusiła mnie do tego zemsta.

Conan nie pytał jej ponownie, co zrobi, kiedy zabije Aksandriasa. Wiedział

już, że na poły szalona dziewczyna nie dba o to, co się z nią stanie po wypełnieniu jej misji. Wpadała w gniew za każdym razem, kiedy barbarzyńca poruszał ten temat.

Miasteczko szczyliło się wielką świątynią, poświęconą jednemu z shemickich bóstw. Conan wiedział już, że mieszkańcy tego kraju nie są przesadnie religijni, lecz posiadanie takiej świątyni było powodem do dumy. Tego rodzaju przybytki zawsze odnawiano lub rozbudowywano. Wiele wież, które mijali, było obstawionych rusztowaniami, ponieważ radcy miejscy zarządzili, że ich świątynna wieża ma być o parę łokci wyższa od tej u sąsiadów.

Koło takiej właśnie świątyni znaleźli zajazd. Sam przybytek poświęcony był

nieprzyjemnemu, karłowatemu bożkowi imieniem Baal–Sepa. Gospodarz zajazdu okazał się tłustym, przesadnie układnym człowieczkiem z brodą utrefioną na modłę swego kraju, czyli przystrzyżoną na podobieństwo cegły i ułożoną w misterne szeregi malutkich loczków. Lśniła od pomady i pachnidła o woni tak silnej, że dławiała z odległości kilku kroków. Gospodarz na ich widok wdział cylindryczną czapkę i gdy podeszli do niego, skłonił się prawie po swe zielone sandały.

— Witajcie, przyjaciele. Czym mogę wam służyć? Zwiedziliście już naszą świątynię? Zawiera więcej posągów Baal–Sepa niż którakolwiek inna w Shem.

Ma również przewyższające wszystkie inne piękne marmurowe płaskorzeźby.

Jej wieża jest o pół łokcia wyższa od...

— Nie wątpię, że to imponująca budowla — przerwała mu Kalia. — Nie omieszkamy zwiedzić jej przy sposobności, teraz jednak potrzebujemy pokoju i posiłku.

— Umieramy z głodu — dorzucił Conan, bardziej by przerwać potok wymowy gospodarza, niż by przyspieszyć otrzymanie jedzenia. Weszli do zachęcająco wyglądającej izby biesiadnej.

— Dostaniecie mój najlepszy pokój — obiecał gospodarz. — Proszę, siadajcie, rozgośćcie się. Już słę służącego, który spełni każdą waszą zachciankę —

sapiąc i pocąc się pobiegł witać kolejnego gościa.

— No, to mi się podoba — rzekł Conan, gdy usiedli. Większość miejsc przy innych stołach była zajęta przez mężczyzn, z których znaczna część była obdarzona wyjątkowo odstręczającą powierzchownością. Nakhmet znajdowało się na skrzyżowaniu trzech zdążających na południe szlaków. Wielu gości wyglądało na członków karawan. Czuć było od nich woń wielbłądów. — Ład i porządek zaczęły już doprowadzać mnie do szału — dokończył Cymmerianin.

— Tak, ci ludzie bardziej wyglądają na nam podobnych — potwierdziła Kalia. — W takim miejscu powinniśmy się czegoś dowiedzieć o naszych łajdakach.

Po posiłku gospodarz zaprowadził ich do „najlepszego pokoju”, który absolutnie niczym nie odróżniał się od innych. Był mały i ciasny, lecz na długim szlaku zemsty przyszło im już spać o wiele gorszych norach.

Przynajmniej było tu duże okno, wpuszczające świeże powietrze, i najprawdopodobniej nie grasowało robactwo.

— Ujdzie — ocenił Conan. — Powiedz mi jedną rzecz, gospodarzu. Załóżmy, że mam trochę wartościowego towaru do sprzedania, ale nie chcę, by dowiedziały się o tym władze. Gdzie mógłbym znaleźć pewnego kupca?

Ze spiskowym uśmiechem gospodarz wytknął głowę przez drzwi i wyjrzał na korytarz w obie strony, po czym cofnął się do pokoju i powiedział półgłosem:

— Gdyby ten towar nie zajmował wiele miejsca i nie mielibyście ochoty na takie nudne drobiazgi jak podatki, cło i tym podobne, no cóż, może ja byłbym tym zainteresowany. Mogę to zobaczyć?

— Nie mamy tego przy sobie — powiedziała Kalia. — Musisz zrozumieć, jak istotna jest dla nas dyskrecja. Prawdę mówiąc, te towary zajmują dość dużo miejsca. Ktokolwiek je nabędzie, powinien mieć możliwość zbycia tak dużej ilości.

Beztróska pozwoliła swej opończy opaść na podłogę. Gospodarzowi zajazdu oczy wyszły na wierzch.

— Ach...em! Ach, tak, rozumiem. Obawiam się, że takiej ilości nie zdołam upłynnić, ale w sąsiednim mieście na zachód stąd, w Ashabalu, mieszka kupiec imieniem Ra-Harakthe. Jak samo imię wskazuje, to rodowity

Stygijczyk. Znany jest z tego, że nie pyta o pochodzenie towaru.

— Jak daleko jest to miasto? — spytał Conan.

— Jeśli wyruszyście rano nadbrzeżną drogą, dojdziecie tam w południe.

Gdyby udało się wam dobić targu z Ra–Harakthe, proszę, szepnijcie mu moje imię.

— Nie omieszkamy — zapewniła Kalia.

— Przyjemnych snów, przyjaciele — powiedział gospodarz, z ukłonami wycofując się z pokoju.

— Nie spodziewałem się, że tak szybko wpadniemy na obiecujący ślad —

powiedział Conan, wieszając na kołku pochwę z mieczem.

Kalia usiadła na łóżku, składającym się z narzuconego na sznurową plecionkę cienkiego materaca. Skrzyżowała stopy na udach. Zdążyła już zrzucić z siebie kolczugę i broń.

— Niewykluczone, że czekają nas jeszcze długie poszukiwania. Na pewno w tej prowincji jest wielu paserów, ale i tak początek jest niezły. Taharka i jego kamraci pewnie czują się bezpieczni, bo nie widzieli nas od wielu tygodni.

Założę się, iż są pewni, że nas zgubili.

— Możliwe — powiedział Conan. — Ale my to naprawimy. — Usiadł koło niej, po czym położył się na materacu i z ulgą rozprostował nogi. — Nie dałbym wiary, że krótka podróż rzeką może być tak męcząca!

— Bardzo jesteś zmęczony? — zapytała Kalia. Jej wzrok tym razem nie był krwiożerczy.

— Nie aż tak — powiedział, przyciągając ją do siebie.

Niedługo przed południem następnego dnia dotarli do długiego, garbatego składu na rzeczonym nabrzeżu w Ashabalu. Mieli wciąż ze sobą podróżne torby.

Przed wejściem na niskim stołku siedział ogromny Murzyn, mający na sobie jedynie trochę tanich ozdób oraz białą przepaskę i turban. Obok niego o ścianę opierała się krótka, nabijana żelaznymi kolcami maczuga. Gdy zbliżyli się, Murzyn wstał i utkwiał w nich podejrzliwy wzrok.

— Szukamy człowieka imieniem Ra–Harakthe — powiedział Conan.

— To mój pan — potwierdził wyniośle Murzyn. — Czego od niego chcecie?

— O tym porozmawiamy z nim samym — rzuciła Kalia.

— Mój pan to wielki i bogaty kupiec — powiedział sardonicznie strażnik. —

Dlaczego miałby zadawać się parą obszarpanych cudzoziemców?

Conan rąbnął strażnika pięścią w szczękę. Murzyn z łomotem wpadł na ścianę i osunął się po niej powoli. Upadł wprost przed wejściem na pylisty grunt. Z ust pociekła mu strużka krwi. Conan i Kalia przeszli przez tę górę mięsa do chłodnego wnętrza składu. W kącie mężczyzna o chudej twarzy, w barwnych szatach i czarnym jedwabnym turbanie, składał na stertę jakieś bele. Zza szerokiego pasa sterczała mu wykładana klejnotami rękojeść zakrzywionego sztyletu.

— Zawsze powtarzałem temu głupiemu osiłkowi, że zachowuje się zbyt arogancko — stwierdził. — Wiedziałem, że prędzej czy później się doigra.

— Jesteś Ra–Haraktha? — spytał Conan.

— We własnej osobie. A wy? — najwidoczniej w odróżnieniu od innych południowców nie przywiązywał wagi do wyszukanych towarzyskich

ceremonii.

— Conan z Cymmerii i Kalia z Aquilonii.

— Zapusciliście się daleko od domów. Czym mogę wam służyć?

Obydwoje rozejrzeli się po składzie, zauważając wielkie nagromadzenie cennych towarów.

— Szukamy roboty — powiedziała Kalia, przyglądając się wykwintnym jedwabnym draperiom.

— Nikogo nie zatrudniam — odrzekł kupiec. — Dlaczego przyszliście do mnie?

— Szukamy takiego zatrudnienia, w którym ryzyko i wynagrodzenie jest równie wysokie — powiedział Conan. — Mamy wprawę w posługiwaniu się bronią i nie kochamy władz. Powiedziano mi, że handlujesz z ludźmi, którzy mogliby nam dać zajęcie.

Wiedział, że stawia wszystko na jedną kartę, ale tracenie czasu było bezcelowe.

— Naopowiadano wam kłamstw — stwierdził Ra–Haraktha. — Jestem

uczciwym i lojalnym poddanym mego księcia.

— W takim razie nie będziemy zawracać ci głowy — odparła Kalia.

— Nie śpieszcie się zanadto z opuszczaniem naszego pięknego miasta.

Zostańcie tu i podziwiajcie wielką świątynię boga wiatrów Ashara. Ma ona największą kopułę w całym Shem. Proście boga o wskazanie drogi. Być może jeśli dziś wieczór znajdziecie się w zajeździe Czterech Wiatrów, odszukają was ludzie, mogący was zatrudnić. Wiadomo, że Ashar jest łaskawy.

— Zawsze pokładałam wiarę w boskim wstawiennictwie — powiedziała

Kalia. Chodź, Conanie, obejrzymy tę cudowną budowlę.

Wyszli na zalane słońcem nadbrzeże.

— Może to już niedługo — rzekł z nadzieją Conan.

Tego wieczoru siedzieli w pogłębiającym się mroku przed zajazdem „Cztery Wiatry” nad kielichami nie tkniętego wina. Ostatnie promienie słońca padały na złoconą kopułę świątyni Ashara. Rzeczywiście ją zwiedzili. Kalia posunęła się nawet do tego, że złożyła bogu ofiarę z paru monet i zapaliła laskę kadzidła przed złotym posągiem wysokiego, szczupłego boga, którego bliźniacze półkule policzków bezustannie wydmuchiwały wiatr. Gdy Conan zaczął pokpiwać z tego przyływu pobożności, Kalia wzruszyła ramionami i odrzekła, że nie zaszkodzi zaskarbić sobie łaskę miejscowych bogów.

Teraz położyła mu rękę na kolanie.

— Kto to może być?

Zbliżało się do nich dwóch ludzi. Jeden był wysokim, dobrze zbudowanym Stygijczykiem, zaś drugi brunatnoskórym południowcem. Conan zeszywniał, szybko jednak zorientował się, że śniady mężczyzna to nie Taharka, a najpewniej Shemita. Miał on włosy splecione w mnóstwo drobnych warkoczków, a brwi, policzki i podbródek znaczyły mu równoległe blizny.

Obaj nowo przybyli dosiedli się bez zaproszenia do stołu Kalii i Conana.

— Dowiedzieliśmy się, że podajecie się za wyjętych spod prawa — powiedział bez ogródek Stygijczyk.

— Nie podajemy się. Jesteśmy nimi — odparł Conan. — Od jakiegoś czasu utrzymujemy się tylko z naszych mieczy.

— Okoliczności zmusiły nas do ucieczki na Południe — dodała Kalia. — Ten kraj jest rozpaczliwie spokojny. Słyszeliśmy, że jacyś ludzie naszego pokroju dobrze się tu urządzili. Chcielibyśmy się do nich przyłączyć.

— Słyszał kto o dziewce podrzynającej gardła? — Shemita uśmiechnął się, obnażając spiłowane na szpic zęby.

— Z drugiej strony, kto by ją podejrzewał? — zauważył Stygijczyk.

— Nie pożałujecie, jeśli nas przyjmiecie — powiedział Conan. — Wiemy jak się walczy i nie porzucamy naszych towarzyszy w potrzebie.

— Byłbym gotów dać wam szansę — stwierdził Stygijczyk. — Zawsze

przydadzą się nam dobre zabijaki, których nie obchodzi, czym zarabiają na życie. Słyszałem, że jednym ciosem rozłożyłeś tłustego strażnika Ra-Harakthy

— zaśmiał się gromko, ukazując ku zdumieniu Conana dwa złote zęby. — Ten kmiotek zdatny tylko do łapania much ocknął się dopiero po dwóch

godzinach, a przez parę tygodni będzie zreć tylko owsiankę.

— Kto jest waszym hersztem? — spytała Kalia.

Stygijczyk nachylił się nad stołem i odezwał przyciszonym głosem:

— To Keshaćzyk. Nazywa się Taharka.

Conan nie zmienił wyrazu twarzy, tak samo jak Kalia, która wszakże wbiła mu paznokcie w kolano.

— Zna się na swoim rzemiośle? — zapytał Cymmerianin.

— Zaiste, zna się! — powiedział Shemita. — Mnóstwo ludzi mówi o naszych czynach, jednak nikt jeszcze nie wie, kim jesteśmy ani jak działamy.

Keshaćzyk jest na to za sprytny. Dobrze się nam przy nim żyje.

— Tu jest za dużo ludzi — stwierdził Stygijczyk. — Chodźcie do naszej łodzi, jest przywiązana na południowym końcu nabrzeża. Tam pogadamy i napijemy się bez obawy, że ktoś nas usłyszy.

Razem z dwoma bandytami zeszli na nabrzeże i wsiedli do łodzi z plecionej trzciny. Była bardzo płytko zanurzona. Zakołysała się gwałtownie, gdy do niej wsiadali. Conan uświadomił sobie, że gdyby to była pułapka, nawet on miałby trudności z uporaniem się z piratami. Nie przywykł walczyć, nie mając pewnego gruntu pod nogami, podczas gdy tamci niewątpliwie nauczyli się tego podczas wielu lat grasowania na rzece.

— Jesteście szczury lądowe, co? — zarechotał ciemnoskóry pirat. — Musicie nauczyć się radzić sobie na wodzie, jeśli chcecie polować z naszą zgrają hien.

— Daj spokój, napijmy się — powiedział Stygijczyk i otworzył koszyk z plecionej słomy, w którym znajdował się bukłak z trunkiem. Puścił go w obieg.

Gdy wszyscy się napili, zaczął objaśniać sposoby ich działania: — Polujemy w wielu małych grupkach — tłumaczył z obszerną gestykulacją. — Najczęściej po czterech, pięciu lub sześciu, w ten sposób nie zwracamy na siebie uwagi.

Obserwujemy rzeczne statki: jakiego rodzaju towary ładują, jacy są pasażerowie i tak dalej. Kiedy wypatrzymy odpowiednią łódź, zabieramy się na nią jako pasażerowie, zawsze oddzielnie, najwyżej po dwóch. Czasami część z nas podąża lądem do następnego portu, by dopiero tam wsiąść.

Bukłak zatoczył kolejny krąg.

— Co się dzieje, jeśli potrzebujecie więcej ludzi? Widziałem, że niektórymi statkami zabiera się bardzo dużo wędrowców, chociaż rzadko są uzbrojeni.

— Wtedy po prostu płyniemy. Wkrótce trafiamy do następnego portu, gdzie czeka więcej ludzi z naszego bractwa. Mamy rozmaite sygnały, za pomocą których porozumiewamy się ze sobą. Jeżeli damy znak, że potrzebujemy więcej ludzi, wsiadają na statek.

— Wygląda to zachęcająco — powiedziała Kalia i upiła jeszcze łyk z bukłaka.

— Jak radzicie sobie z załogą i pasażerami, kiedy przyjdzie odpowiednia pora?

— Najlepiej jest zabić ich we śnie — odpowiedział po prostu Stygijczyk. —

Kiedy docieramy do umówionego wcześniej miejsca, oczekujemy aż statek zostanie zakotwiczony na płyciźnie lub przycumuje przy jakiejś wysepce.

— Mamy przykazane nie zostawiać świadków — dodał Shemita. — Nasz

wódz upiera się przy tym. Zarznąć, wypruć flaki i za burtę z kamieniem u szyi

— obdarzył ich kolejnym uśmiechem spiczastych zębów, obrazowo

przedstawiając gestami wykonywane czynności.

— Co to za miejsce? — spytał Conan.

— Zmienia się z tygodnia na tydzień. Czasem daje nam o nim znać

posłaniec. Zarzynamy wszystkich tak blisko tego miejsca, jak się da, potem dajemy znak, a małe łodzie podpływają z brzegu i zabierają łup.

— A jeśli blisko wyznaczonego miejsca nie nadarzy się okazja do łatwego wymordowania ludzi?

— Czasami musimy napadać na załogę i pasażerów w biały dzień lub w nocy, kiedy jeszcze nie śpią — odparł Stygijczyk. — Dlatego właśnie przyda nam się dwoje tak zręcznych szermierzy jak wy. Gdybyśmy wszyscy nosili miecze, od razu stalibyśmy się podejrzani, lecz dwoje cudzoziemców... —

zawiesił głos i wzruszył ramionami. — Wszyscy wiedzą, że mieszkańcy Północy to dzikusy, nie rozstający się z bronią, więc nikt nie zwróci na was uwagi.

Wicie, na każdej barce jest najwyżej trzech, czterech ludzi, którzy gotowi są stawić opór. Mają przeważnie sztylety lub pałki na rzemieniach. Marynarze są często zaprawieni w bójkach, ale trudno wśród nich o rębajłę z prawdziwego zdarzenia. W każdym razie, wy trzymalibyście się blisko takich ludzi i na dany znak zarąbywali ich, nim zdążyliby się spostrzec.

— Gdy tylko rozprawimy się z najodważniejszymi, z pozostałymi przeważnie nie ma kłopotu — dodał drugi z piratów. — Większość klęka i błaga o zmiłowanie. Można im podrzynać gardła jak

baranom.

— Niemęskie zachowanie — mruknął Conan pod nosem.

Obaj piraci pomyśleli, że ma na myśli pasażerów, dlatego wyszczerzyli zęby i pokiwali głowami.

— Tak, wygląda to na dobry plan — powiedziała Kalia. — Zmęczyło nas szanowanie prawa — odwróciła się do Cymmerianina i zapytała, udając lekko wstawioną. — Co powiesz, Conanie?

— Och, tak, to brzmi wspaniale — rzekł. — Ludzie, którzy nie potrafią walczyć o swoje, nie powinni posiadać czegokolwiek, na Croma!

— Nawet życia — zgodziła się Kalia i dodała starając się, by wypadło to jak najbardziej naturalnie: — Kiedy spotkamy waszego wielkiego przywódcę?

— Może niedługo — odparł Stygijczyk. — Zwykle nadzoruje plądrowanie statków. — Wzniósł bukłak w szyderyczym toaście: — Witajcie w naszym bractwie!

ROZDZIAŁ 14

Taharka siedział na werandzie swojej willi i spoglądał na roztaczającą się przed nim spokojną scenerię. Miał w zasięgu wzroku szeroki nurt ruchliwej rzeki. Wiedział, że wszystko, co nią płynie, może należeć do niego. Pieczone gołąbki same wpadają do gąbki, i to z wetkniętymi sztuczkami, pomyślał.

Odczuwał satysfakcję na myśl, że w odróżnieniu od przepływających w zasięgu wzroku ludzi zdaje sobie sprawę, iż pod spokojną powłoką świat podszyty jest w istocie krwią i przemocą. Z podsunętej mu przez niewolnika tacy z wędlinami wybrał duży plaster, wrzucił do ust i zacisnął na nim silne, białe zęby.

Starą, od dawna porzuconą willę znalazł na niewielkiej wysepce przy stygijskim brzegu Styksu. Na wyspie znajdowały się również inne ruiny, przeważnie prastarych świątyń. W Stygii nie można było przejść stu kroków, by nie natrafić na jakieś gruzy, tak starożytny był zamieszkujący ją naród.

Wyspa była tak dogodnie położona, że Taharka zajął willę i odnowił ją zamieniając w luksusową rezydencję. Gdyby ktokolwiek z przepływającego obok statku zauważył, że jest zamieszkała, pomyślałby, że obrał ją sobie za siedzibę jakiś kupiec lub szlachcic. Jak do tej pory nie zjawił się tu jeszcze żaden zainteresowany nią urzędnik.

Keshańczyk zauważył w dole wysokiego mężczyznę, podchodzącego do willi długimi schodami od strony rzeki. Dolne stopnie były prawie czarne i przez większą część roku zanurzone pod wodą. Pozostałe, białe, wypolerowane były do połysku przez czas. Przybyszem był Kuulvo, który mimo ciepłego klimatu wciąż nosił hyperborejski strój i zbroję. Wydawało się regułą, że barbarzyńcy nie przystosowywali się do miejscowych warunków.

— Jak idzie, przyjacielu? — spytał Taharka, wskazując Hyperborejczykowi stertę poduszek. Kuulvo usiadł z westchnieniem i ściągnął hełm z głowy.

— Dobrze, wodzu. Tego tygodnia zajęliśmy sześć bogatych łodzi i pozbyliśmy się już towaru. Trudno uwierzyć, że tak łatwo przychodzi nam rabować na granicy dwóch cywilizowanych, spokojnych krain. W innych stronach zbójectwu najbardziej sprzyja wojenny zamęt i bezprawie.

— Co kraj, to obyczaj — stwierdził sentencjonalnie Taharka. — Tutaj najistotniejsze jest to, abyśmy nie brali jeńców i nie wymuszali okupu. Na szczęście kraj jest tak bogaty, że nie jest to konieczne. Przy tak wielkim ruchu strata paru łodzi jest prawie niezauważalna, a duże odległości sprawiają, że ich zaginięcie stwierdza się ze znacznym opóźnieniem.

Kuulvo wybrał owoc i zatopił w nim zęby.

— Wyjątkowo dogodny układ — rzekł. — Na północy wystarczyło parę

wypraw po niewolników, by zainteresowało się tym królewskie wojsko, a jedna zaginiona karawana wywołuje popłoch w całej prowincji.

— Teraz mamy lepiej, prawda? Czyż to miejsce i sytuacja nie są stworzone dla takich jak ty i ja?

— Owszem — powiedział z wahaniem Kuulvo. — Mimo to nie wszystko mi się tu podoba. Idzie nam zbyt łatwo, zbyt mało mamy trudności. Zarzynanie tych beczących baranów przypomina pracę w rzeźni. Brak mi ryzyka, lęku, konieczności uciekania z pościgiem na karku. Przypomina mi to pracę rzemieślnika i, mówiąc szczerze, nudzi mi się.

— Wiem, przyjacielu — westchnął Keshanńczyk. — Masz rację. Mnie też brakuje przemocy, jednak wkrótce powinno się tu ożywić. Ten nienaturalny spokój nie może trwać długo. Wcześniej czy później władze obu tych krajów muszą w końcu zwrócić się przeciwko nam, a są to zaiste potężne siły.

— Może i potężne, ale powolne — odparł Kuulvo. — Wymkniemy się im sprzed nosa, zanim wezmą nas w garść. — Wziął kielich schłodzonego wina z rąk pięknej nagiej dziewczyny o rysach charakterystycznych dla

koczowniczych plemion z północno-zachodniej pustyni. — Nie przestaję rozmyślać o tamtym Cymmerianinie i jednookiej dziewczynie. Przysporzyli nam więcej zmartwień niż wszyscy królewscy słudzy między Stygią i Aquilonią razem wzięci.

Taharka zawiercił się niespokojnie. Poczuł się, jakby piękny poranek skaziła niespodziewanie burzowa chmura.

— Zgubiliśmy ich już dawno temu na północy, w Koth — powiedział. —

Nigdy nas nie znajdą, a może nawet już nie żyją.

Posępnie upił łyk wina i spojrzał na stok za willą. Jego wzrok spoczął na ruinach na środku wyspy. Zamierzał wysłać kogoś, by się tam rozejrzał. Być może w świątyni znajdowało się coś wartego złupienia. Może jakaś

zapomniana krypta, pełna bogatych darów dla zmarłego?

— Nie zginęli — dobiegł ich głos z głębi willi. Człowiek, który pojawił się w drzwiach, wyglądał jak gdyby wynurzył się z grobowca. — Ten jednooki demon ciągle mnie ściga. Ktoś, kto raz umarł, nie może umrzeć więcej.

Aksandrias przypominał szkielet z naciągniętymi na kości postronkowatymi mięśniami. Jego głowa wyglądała jak czaszka, kruche siwe włosy lepiły się do plamistej, zgrzybiałej skóry. Pozbawione krwi wargi kurczyły się

spazmatycznie, obnażając długie żółtawe zęby. Oczy miały tak przeraźliwy wyraz, że nawet jego zahartowani kompani nie byli w stanie długo w nie spoglądać.

— Aksandriasio, druho mój, uspokój się — powiedział Taharka. —

Chociażby wciąż żyli i gdyby nawet nas tu znaleźli, dlaczego ludzie tacy jak my mieliby się bać baby z jednym okiem i głosem kruka oraz jednego, choćby najlepszego wojownika? Strach przed takimi włóczęgami to dziecinada.

W głosie Taharki brakowało jednak przekonania, nawet tego fałszywego, którym z taką zręcznością dotąd się posługiwał.

— Dotrą tutaj, i to wkrótce — obwieścił grobowym głosem Aksandrias, po czym tocząc wokół nieprzytomnym wzrokiem, odwrócił się i zniknął w głębi willi.

— Wodzu, ten człowiek to szaleniec — powiedział Kuulvo. — Dlaczego nie każesz go zabić dla świętego spokoju? Dla niego też byłoby to wybawienie.

— Mówiąc szczerze, przyjacielu, nie jestem pewny, czy można go zabić. Na oko zmarniał, ale za to stał się bardziej niebezpieczny. Nie śpi w ogóle, więc nie można go niepostrzeżenie zaskoczyć. Wygląda jak trup, lecz jest dwakroć silniejszy i szybszy niż wtedy, kiedy przyszło mu walczyć w Crotonie —

Taharka podparł dłonią podbródek i zamyślił się. — Kiedy wczoraj szliśmy razem, zauważył parę niewolników, obściskujących się na korytarzu. Z

jakiegoś powodu ten widok wytrącił naszego Aksandriasa z równowagi.

Wyciągnął nóż i zasztyletował obydwójce, zanim zdążyłem spostrzec, co się dzieje. Potem ich poćwiartował! Korytarz trzeba było sprzątać i myć przez całe popołudnie — odchylił się i upił duży łyk wina. — Tak, przyjacielu, powinienem był go zabić, kiedy tylko zaczął zażywać te przekłete pigułki z żywicy, soku skarabeusza i bogowie wiedzą czego jeszcze! Ale najgorsze jest to, że stał się zupełnym nudziarzem, a kiedyś był taki zabawny... Teraz tkwi mu w głowie wyłącznie ta jednooka dziewczka! Niemal żałuję, że tych dwoje nie przybywa, by drogi Aksandrias mógł się z nimi porachować. Stoczyliby pojedynek na śmierć i życie, a my otrulibyśmy triumfatora.

— Mamy z nim tylko kłopoty, panie — rzekł Kuulvo.

— Chyba nie chcesz go zabić? — Taharka nachylił się ku podwładnemu. —

Chociaż wtedy do ciebie należałaby jego działka łupów...

— Chyba nie — potwierdził Hyperborejczyk. — Staram się ograniczać do zabijania zwykłych istot ludzkich. Nie wątpię jednak, że narkotyk wykończy Aksandriasa za parę dni. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze oddycha.

— Miejmy nadzieję — rzekł ponuro Taharka.

— Cóż, muszę już iść — Kuulvo wstał. — Doszła mnie wieść, że tej nocy w nasze ręce mogą wpaść dwie łodzie. Miło by było, ale nie chcę przedobrzyć.

Nawet leniwe władze tego kraju od czasu do czasu biorą się do roboty.

— Tym się nie przejmuj — powiedział Taharka wstając i przeciągając się. —

Nie zostaniemy tu długo. Jeszcze parę tygodni, najwyżej dwa miesiące i żeby nie umrzeć z nudów poszukamy czegoś innego.

— To by mi odpowiadało — odparł Kuulvo. — Planujesz już coś nowego, wodzu?

— Może popłyniemy do ujścia Styksu, a stamtąd przeprawimy się do

jakiegoś żywszego portu, na przykład Messancji czy na Wyspy Barachańskie.

Grasowanie na rzece jest przyjemne ale nudne. Słyszałem, że piractwo na otwartych wodach jest o wiele ciekawsze.

— Brzmi to ciekawie — Kuulvo uśmiechnął się. — Prawdziwa walka,

prawdziwy strach, prawdziwa krew, a nie takie oprawianie owiec! Tak, czegoś takiego będę wyglądać z niecierpliwością.

Taharka przyglądał się, jak Hyperborejczyk schodzi po stopniach na niewielkie nabrzeże, do którego uwiązana była smukła, przypominająca sztylet łódź. Przyjemnie było żyć na Styksie, jednak Keshañczyk również chciał

podążyć gdzie indziej. Atmosfera tych stron, a zwłaszcza tej wyspy, w niewytłumaczalny sposób go przynębiała. Nie wiedzieć czemu, znów podniósł

wzrok na ruiny świątyni. Tak, z radością wyprawi się dalej, może nawet szybciej niż planował.

Barka była większa niż ta, którą Conan i Kalia podróżowali poprzednio, była też bardziej luksusowa. Kabiny miała większe, wygodniejsze i liczniejsze.

Cymmerianin dowiedział się, że większość pasażerów w kabinach to bogaci pielgrzymi z miasta

położonego o wiele tygodni drogi na wschód. Zamierzali zwiedzić wielkie świątynie Khemi i po roku powrócić do domów. Krótko mówiąc, byli doskonałymi ofiarami dla piratów. Ładownię barki zajmowały przeważnie kufry z dobytkiem pielgrzymów.

— Jesteśmy już blisko — powiedziała Kalia. Obydwoje przycupnęli na przednim pokładzie statku, pośród bezładnego kłębowiska zwiniętych lin i klatek z hałaśliwymi zwierzętami. Przyszłe potrawy chrząkały i piszcząły w błogiej nieświadomości czekającego je losu.

— Już niedługo — odparł Conan. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, a na jego kolanach leżał miecz, który szlifował małą osełką. Ostrze błyszczało oślepiająco w świetle słońca. Cymmerianin miał zawsze ogorzałą cerę, lecz gorejące południowe słońce spaliło go tak, że mało kto domyśliłby się, iż pochodził z rasy o jasnej skórze.

Obydwoje zaokrętowali się trzy dni wcześniej, zajmując miejsca na pokładzie. Przedtem Stygijczyk i ciemnoskóry Shemita zatrudnili się na tej barce jako tragarze. Miejsca pracy zapewnili sobie, podrzynając poprzedniej nocy gardła dwóm pijanym członkom załogi.

Cymmerianina i jego towarzyszkę pozostawiano samym sobie. Obydwoje wyglądali na cudzoziemców, czyli w pojęciu mieszkańców tych stron —

odmieńców. — Zwłaszcza Kalia, która w upale zrzuciła z siebie opończę.

Odpowiadało im to. Jak do tej pory żaden z bandytów nie odezwał się do nich ani słowem, ani też nie dał najmniejszego znaku, że ich poznaje.

Podnieśli głowy, gdy w ich polu widzenia pojawiła się para stóp. Należały do Stygijczyka, który udawał, że szuka czegoś w kłębie splątanej liny.

— Dziś w nocy, kiedy przycumujemy — powiedział ściszym głosem. —

Kiedy wszyscy zasną, podpłyną do nas dwie łodzie z północy. Gdy tylko je zobaczymy, zaczynamy. Conanie, zajmij się kapitanem. Ty, dziewczyno, zabij bosmana. My bierzemy na siebie resztę załogi — po tych słowach natychmiast odszedł.

— Dziś w nocy! — Kalia zaczerpnęła głęboko powietrza. — Już dziś! Tym razem nie pozwolimy im się wymknąć.

— Nie damy im szansy — potwierdził Conan, spoglądając wzdłuż ostrego jak brzytwa brzeszczotu miecza. Odwrócił go i spojrzał na drugie ostrze.

Dostrzegłszy miejsce jakby bardziej tępe, począł szlifować je osełką.

Gdy zaczęła zapadać noc, znajdowali się pomiędzy miastami. Na tym odcinku rzeki przybrzeżne wsie były rzadsze niż gdzie indziej, dzieliło je nawet po kilka mil. Pustynia dochodziła w tym miejscu blisko południowego brzegu, podczas gdy na północnym ciągnęły się przeważnie pastwiska. Załoga zakotwiczyła łódź o rzut kamieniem od północnego brzegu, gdy pasażerowie jedli kolację.

— Patrzcie, czym grozi zło wojny! — powiedział mężczyzna w szatach kapłana boga Besa. — Ongiś była to żyzna, dostatnia prowincja, w której żyło mnóstwo ludzi i hodowano piękne melony. Rządził w niej jednak król–kapłan, który z zawiści wydał wojnę sąsiadom. Wiedzeni żądzą zdobycia łupów, mieszkańcy żyli wyłącznie z nich, zaniedbując ziemię. Kanały nawadniające zapełniły się mułem i przestały spełniać swą rolę, a tamy popękały. Gniew Ojca Styksu sprawił, że żyzne pola nadawały się tylko na pastwiska! Kiedy zły władca w końcu umarł, na nic się zdały zagrabione łupy, ponieważ ziemia była już jałowa!

Pielgrzymi słuchali tych słów w pełnym szacunku milczeniu.

— Wydaje mi się, że mieszkańcy mieli ciekawe życie, kiedy panował ten król

— kapłan! Walka z sąsiadami jest lepsza od włóczenia się cały dzień za zadem wołu i płacenia podatków na utrzymanie bandy nieprzydatnych kapłanów —

Conan ogryzł reszkę mięsa z żeberka i cisnął je do rzeki.

— Tylko barbarzyńca może tak myśleć! — rzekł kapłan. Niewykluczone, że pierwszy raz w życiu ktoś podał w wątpliwość jego słowa. — Wy, mieszkańcy Pomocy, żyjecie jak zwierzęta, zarzynacie się i zjadacie nawzajem, jak czarne dzikusy z Południa. Celem życia cywilizowanego człowieka jest służenie swojemu królowi, czczenie bogów i oddawanie szacunku ich namiestnikom na ziemi, czyli kapłanom!

— W takim razie niech Crom chroni mnie przed cywilizacją — rzekł Conan.

— Taki żywot wyssałby szpik z najsilniejszego człeka!

Część pasażerów zaczęła się uśmiechać na widok irytacji kapłana.

— Jak sądzisz, czy Taharka będzie w jednej z łodzi? — szepnęła Kalia, gdy Cymmerianin wrócił do posiłku.

— Wątpię — odrzekł. — Ale możesz być jednak pewna, że ktoś będzie wiedział, gdzie znaleźć jego i Aksandriasa. Musimy więc zostawić jednego pirata przy życiu.

Gdy na łodzi słyhać było już tylko chrapanie, ktoś szturchnął Conana.

Okazało się, że to Stygijczyk, przykładający palec do ust. Przykucnął przy Cymmerianinie.

— Podpływają łodzie. Zajmijcie miejsca.

Conan i Kalia wstali, przeciągając się.

— Gdzie twój śniady przyjaciel? — zapytał Conan, nie starając się zniżyć głosu.

— Cicho! — syknął Stygijczyk. — Chcesz wszystkich pobudzić? Jest pod pokładem. Dlaczego pytasz?

— Jakim sygnałem macie przywołać łodzie? — spytał Conan.

Kalia w tym czasie zaczęła schodzić pod pokład.

— Trzykrotnym podniesieniem i opuszczeniem latarni — powiedział

Stygijczyk. — Co ci się stało?

— Nic — rzekł Conan i bez słowa wbił sztylet w krtań Stygijczyka tak, iż ten nie zdołał nawet jęknąć. Cymmerianin zeskoczył na główny pokład. Usłyszał

stłumiony krzyk i znalazł Kalię nad nieruchomym ciałem Shemity, ocierającą szablę. Przeszedł przez pokład tam, gdzie spali słudzy i załoga. Kilku zaczęło się wiercić, przebudzonych zagadkowymi hałasami. Na rufie przy wielkim wiośle sterowym kapitan gapił się w dogasające w kociołku węgle, na których przygotowywał sobie jedzenie.

— Kto tam? — zapytał ściszym głosem, nie chcąc pobudzić bogatych pasażerów. — Zdawało mi się, że od dziobu słyszałem jakieś krzyki.

— Nie ma się czym martwić — powiedział Conan, podnosząc stojącą u stóp kapitana latarnię. Wychylił się przez burtę, po czym trzykrotnie podniósł ją i opuścił.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał ostro kapitan. — Upiłeś się, czy zwariowałeś?

— Nic z tych rzeczy — powiedział Cymmerianin. — Zamierzają nas napaść piraci. Siedź cicho i nie wchodź mi w drogę, jeśli ci życie miłe.

— Piraci! — stęknął kapitan z niedowierzaniem. — Na prawdę zwariowałeś!

Czy ci... — umilkł, gdy nad burtą pojawiła się ciemna gęba.

— Wszyscy nie żyją? — zapytał przybysz.

— Wszyscy — potwierdził Conan. — Wchodźcie.

Oczy kapitana rozszerzyły się, gdy na pokładzie zaroilo się pół tuzina ludzi.

Do barki przybiła kolejna mała łódź.

— Na Seta! — wykrzyknął jeden z piratów. — Oni żyją! Tylko śpią!

Pasażerowie i załoga zaczęli się budzić. Zapanowało okropne zamieszanie.

Conan wydał z siebie przeraźliwy okrzyk bojowy. Wszyscy zamarli na chwilę.

Cymmerianin wkroczył między pierwszych piratów, którzy dostali się na pokład. Jednemu z nich,

który wpatrywał się weń ogłupiały, odciął rękę ze sztyletem, drugiemu ściał głowę z ramion.

Ujrzał, jak Kalia przebija któregoś bandytę na wylot. Na pokład zaczęli wskakiwać rozbójnicy z drugiej łodzi. Conan z wrzaskiem rozwalił głowę w turbanie, która wychyliła się nad burtę. Wbił miecz w pierś kolejnego, podczas gdy Kalia wdała się w walkę z piratem, który zdawał się znać nieco na szermierce. Kolejny rzeźmieszek przeskoczył burtę i wywalił się jak długi. Nim zdążył powstać, Conan zgruchotał mu stopą kark. Wtedy Cymmerianin ujrzał

na pokładzie znajomego mężczyznę.

— Proszę! Wreszcie trafiliśmy na załogę, która ma ochotę walczyć! — rozległ

się grzmiący głos, świadczący nieomylnie, że jego właściciel jest Hyperborejczykiem.

Wysoki mężczyzna bez trudu utrzymywał równowagę, dzierżąc w dłoni długi miecz. Dwu przerażonych marynarzy spróbowało przemknąć obok niego.

Skosił ich bez wysiłku tak, jak gdyby opędzał się od natrętnych owadów.

Obydwaj padli z przeraźliwymi wrzaskami, brocząc krwią ze śmiertelnych ran.

Oczy Hyperborejczyka, widoczne po bokach zasłaniającej nos płytki hełmu, rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy ujrzał zwrócone ku niemu nagie plecy Kalii ciągle walczącej z upartym przeciwnikiem. Zrobił krok do przodu, szykując się do zadania jej pchnięcia. Nim zdążył je wyprowadzić, jego ostrze zostało odtrącone w bok przez miecz Cymmerianina. Szybki jak kot Hyperborejczyk obrócił się, by stawić czoło nowemu wrogowi.

— Cymmerianin! — warknął. — Więc jednak żyjesz! Cieszę się, bo teraz mogę cię zabić!

Na pokładzie zapanował zupełny chaos. Pasażerowie i członkowie załogi wrzeszcząc biegali we wszystkie strony. Najwyraźniej nie mogli pojąć co się stało. Deski były śliskie od krwi i trzewi. Bez przerwy ktoś tracił równowagę i padał jak długi. O leżących potykali się inni. Co odważniejsi wyciągali ozdobne sztylety, którymi nie umieli się posługiwać, i na oślep wymachiwali nimi na wszystkie strony. Kilka osób, które nie potraciły głów, wyskoczyło za burtę i zaczęło brnąć przez płyciznę do brzegu.

— Nie zależy nam na tobie, hyperborejski kundlu! — rzucił Conan. —

Szukamy twojego herszta i tego węża Aksandriasa. Gdzie są?! — nie spuszczał

z Kuulva gorejącego wściekłością spojrzenia. Wzniósł oburącz miecz nad głowę i kreślił nim łuk z boku na bok. Obydwaj czekali, kto wykona pierwszy ruch.

— Wkrótce znajdziecie się w ich obecności — odparł Kuulvo. — Sam zaniosę mu wasze głowy. Jak się zwiesz, chłystku?

— Jestem Conan z Cymmerii, wojownik.

— A ja Kuulvo z Hyperborei. Też wojownik. Dlaczego ścigasz mojego wodza?

— Zabił moich przyjaciół — powiedział Conan, ani na chwilę nie tracąc czujności i nie zwracając uwagi na panujące wokół zamieszanie.

— Mój pan to wielki łotr, ale nie rozumie mieszkańców Północy — odrzekł

Kuulvo i zaatakował. Pierwszy cios, szybki jak myśl, miał ugodzić Cymmerianina w bok. Conan zdążył opuścić miecz. Odbiwszy ostrze,

zamachnął się ku szyi Hyperborejczyka, ten jednak odsunął się i wznosił

miecz w górę po przekątnej, hamując ostrze Conana o grubość palca przed swoim karkiem. Przez dłuższą chwilę wymieniali szybkie, oszczędne ciosy.

Obydwaj wymachiwali ciężkimi mieczami z taką łatwością, jak bawiący się witkami chłopcy.

Jakiś pirat zatoczył się w stronę Conana. Cymmerianin błyskawicznie zgruchotał mu czaszkę głowicą miecza i pchnął trupa w stronę Kuulva, by Hyperborejczyk nie mógł skorzystać z jego chwilowo odwróconej uwagi. Zadał

cięcie, które rozplątałoby przeciwnika od barków po pas, jednak ostrze uwięzło w drewnianej rei nad głową Hyperborejczyka. Kuulvo z okrzykiem triumfu pchnął Conana barkiem. Cymmerianin zatoczył się i wpadł z rozpędu na burtę. Na szczęście w porę dostrzegł ostrze pędzące ku jego twarzy. Odtoczył

się w bok, a miecz zgruchotał burtę. Stęknąwszy z wysiłku, Kuulvo wyszarpnął klingę, ale równocześnie Conan wbił mu muskularne przedramię między nogi. Sprężywszy wszystkie mięśnie, Cymmerianin dźwignął

Hyperborejczyka i wyrzucił go za burtę. Kuulvo wylądował w wodzie z ogłuszającym pluskiem. Przygotowując się do skoczenia za przeciwnikiem, Conan krzyknął do Kalii:

— Pamiętaj, zostaw jednego przy życiu!

Odpowiedział mu nieartykułowany krzyk dziewczyny. Skoczył koło miejsca, w którym Kuulvo wpadł do wody. Zanurzył się cały. Gdy wychylił się nad powierzchnię, przez chwilę nic nie widział. Potrząsnął gwałtownie głową, odrzucając sprzed oczu grzywę czarnych włosów. W tym momencie od tyłu jego gardło otoczyło potężne ramię.

Wyciągnął sztylet i pchnął za siebie, lecz jego dłoń również znalazła się w stalowym uścisku. Teraz był w stanie jedynie walczyć o oddech. Nie mógł

działać nic więcej, ponieważ jego przeciwnik wykorzystywał całą siłę przeciw słabości Conana. Cymmerianin wyciągnął wolną rękę za głowę i złapał za pęk końskiego włosia przy hełmie Hyperborejczyka. Potężnym szarpnięciem rozerwał pasek hełmu i zdarł go przeciwnikowi z głowy. Sięgnąwszy ponownie za siebie, schwycił Hyperborejczyka za włosy, wybił się w górę i przetoczył

przez niego. Kuulvo nie zdołał utrzymać uchwytu na gardle przeciwnika.

Zwolnił uścisk, lecz najpierw zmusił Conana do wypuszczenia z dłoni sztyletu.

Przez moment daremnie próbowali wziąć się w kleszcze. Uniemożliwiło to nie dające oparcia muliste dno. W końcu Hyperborejczykowi udało się otoczyć Conana w pasie obydwoma ramionami, unieruchamiając mu ręce przy

bokach. Spróbował złamać Cymmerianinowi kręgosłup. Conan nie mógł się uwolnić. Hyperborejczyk był najsilniejszym człowiekiem, z jakim dotąd miał do czynienia.

Gdyby Kuulvo nie podnosił głowy, być może zdołałby złamać grzbiet Cymmerianina lub ściskając mu klatkę piersiową podduśić go, a następnie utopić. Hyperborejczyk chciał jednak nasycić się swoim triumfem. Podniósł

głowę i wyzywająco uśmiechnął się Conanowi w twarz. I wtedy Cymmerianin zatopił zęby w jego gardle. Poczul trzaskanie miażdżonych chrząstek krtani i tryśnięcie gorącej krwi w usta. Kuulvo chciał krzyknąć, ale bez skutku. Puścił

ramiona Conana, gorączkowo starając się rozewrzeć potworny uścisk jego szczęk. Conan chwycił go za nadgarstki i przegiął Hyperborejczyka w tył, aż obaj zanurzyli się pod wodą.

Nieco później Kalia dostrzegła, jak Conan przełazi przez burtę. Jeszcze nigdy nie widziała go tak wyczerpanego. Rozejrzał się za swoim mieczem i zobaczył, że wciąż tkwi w rei. Wyrwał go i schował do pochwy, nie zwracając uwagi na lamentujących pielgrzymów i załogę, starającą się uspokoić rozdygotanych pasażerów.

— Zostawiłaś kogoś żywego? — zapytał Kalię.

Dziewczyna kiwnęła głową ku mężczyźnie, przy którego gardle trzymała sztylet.

— Powiedział, że nie będzie gadał z babą. Przekonam go, żeby zmienił

zdanie.

Conan przykucnął przy piracie, utkwivszy w nim gorejący wzrok. Z ust Cymmerianina wciąż skapywała krew. Mając we włosach pełno mułu i

wodorostów wyglądał jak demon przywołany z dna Styksu. Chwycił bandytę za kubrak i przyciągnął go do siebie tak, iż ich twarze dzieliło pół piędzi.

— Posłuchaj mnie, rzeczny szcurze! Właśnie przegryzłem gardło twojemu hersztowi i zamierzam to zrobić również tobie! Gadaj, gdzie jest kryjówka Taharki, albo gotuj się na takie katusze, jakich człowiek jeszcze nie zaznał!

Pirat natychmiast stał się rozmowny. Gorliwie sypał szczegółowymi wiadomościami, dotyczącymi położenia kryjówki, odległości do niej i najlepszej drogi. Gdy skończył, Conan obejrzał się na

kapitana barki.

— Jest twój. Zabiję teraz jego wodza. Chodź, Kalia — gdy przechodzili przez burtę do jednej z pirackich łodzi, Cymmerianin obrócił się i z niesmakiem przyjrzał pasażerom. — Jesteście najtchórzliwszym bydłem, jakie kiedykolwiek widziałem. Zaslugujecie na to, by łupili was nawet najnędrniejsi bandyci i piraci.

Pozostawiając widownię z szeroko otwartymi ustami i oczami, odpłynęli w mglistą noc.

ROZDZIAŁ 15

Taharka odczuwał niepokój. Czuł się na tej wyspie coraz bardziej nieswojo, zwłaszcza że tego dnia dowiedział się od miejscowego kupca, iż cieszy się ona złą sławą, a okoliczni mieszkańcy unikają jej od stuleci. Kupiec powiedział, że dogodne położenie sprawiało, iż na wyspie próbowało zamieszkać wielu ludzi.

Ostatnim z nich był bogacz, który postawił willę. Wszyscy po krótkim pobycie uciekli albo odebrali sobie życie. Wedle pogłosek, źródło zła tkwiło w pradawnej, zrujnowanej świątyni. W Stygii, kraju setek bóstw, nikt nie mógł

dojść, jakiemu bogowi była ona poświęcona.

Taharka gotów był natychmiast porzucić rzeczne piractwo i wydać polecenie pakowania się. Oznaczało to porzucenie mnóstwa łupów, czekających wciąż na sprzedanie, lecz Keshkańczyk przestał przejmować się takimi drobiazgami. Na szerokim morzu czekały go nowe, jeszcze bogatsze łupy, nowi niewolnicy, nowe walki. Oczekiwał teraz wyłącznie na powrót Kuulva. Gdzież on się podziewał? Powinien był wrócić przed zachodem słońca. Usłyszawszy jakiś dźwięk, obrócił się. Na widok przybysza na twarzy Taharki pojawił się wyraz niezadowolenia.

— To na nic — powiedział Aksandrias. — Możemy próbować uciec, ale i tak nas znajdą.

Taharka aż nadto dobrze rozumiał, kogo Aquilończyk ma na myśli.

— Znajdą nas? Chodzi ci o twoją dawną ofiarę i jej przyjaciela barbarzyńcę?

Naprawdę myślisz, że dlatego chcę wyjeżdżać? — Czuł złość z powodu nużącej obsesji swojego towarzysza.

— Znajdą nas! — krzyknął Aksandrias. — Ta kobieta nawiedza mnie we śnie i na jawie! Tysiące razy oślepiłem ją i zabijałem, a ona ciągle wraca!

Taharka potrząsnął głową. Umysł Aquilończyka znajdował się w takim samym rozpadzie jak jego ciało. Żałował, że nie zabił go dawno temu.

— Mylisz się, przyjacielu. Idź...

— Nie, nie myli się — rozległ się głos za jego plecami. Taharka błyskawicznie obrócił się,

dobywając miecz. Równocześnie dobiegł go odgłos broni wyciąganej przez Aquilończyka.

— Widzisz! — wykrzyknął Aksandrias. Na jego twarzy malował się wyraz grozy graniczącej z ekstazą. — Przyszła po mnie, moja jednooka ukochana!

Chodź do mnie, pieścidełko, skończę to, co zacząłem tak dawno temu! — jego głos zabarwił się groteskową czułością.

Kalia weszła z przedpokoju do komnaty. Za nią widniała sylwetka zwalistego Cymmerianina. Taharka błyskawicznie omiótł spojrzeniem pokój, odnotowując w myślach położenie wszystkich drzwi i okien, świeczników, stojaka na broń i mebli. Nie chciał, by w takiej chwili cokolwiek mu zawadzało.

Kalią wstrząsnął wygląd Aksandriasa. Kiedy go widziała ostatni raz, był przystojnym mężczyzną, bardzo przypominającym człowieka, którego

pamiętała z dzieciństwa. Gładki gad zmienił się jednak w ciągu kilku miesięcy w upiornego jaszczura. Była tak zaskoczona, że o mało nie padła ofiarą jego ataku.

Aksandrias okazał się piorunująco szybki. Przeskoczył dzielącą ich odległość jakby za sprawą magii, jego ostrze pomknęło do przodu niczym język kobry.

Kalia sparowała raz i drugi, powstrzymując jego szarżę. Początkowo zbyt szybko ustępując miejsca, zamieniła długie kroki w tył na drobienie w bok, okrążając przerażającego napastnika i wyczekując możliwości przejścia do kontrataku. Aksandrias wyglądał jak chuchro, jednak jego ciosy nie straciły nic na sile. Co się z nim stało? — pomyślała, wkrótce jednak nie miała czasu na rozmyślanie, a wyłącznie na walkę.

— Kim jesteś, barbarzyńco? — powiedział z udawanym zdziwieniem

Taharka. — Dlaczego ścigasz mnie po całym świecie?

Wystawił przed siebie ciężki miecz. Jedno spojrzenie wystarczyło Conanowi by ocenić, jak niezwykle silne były ramiona Keshaćczyka.

— Jestem Conan z Cymmerii, wojownik. W Cymmerii wymordowałeś rodzinę mojego przyjaciela. Wtedy wróciłem za późno — stał z opuszczonym mieczem, nie zwracając uwagi na zażartą walkę między Kalią i Aksandriasem. Zgodził

się, że Aquilończyk jest jej, i nie zamierzał się wtrącać. — Gospodarz nazywał

się Halga. Wbił w odrzwia włócznię, po tym, jak zabił nią swoją żonę i córkę, by nie dostały się w wasze ręce. W Cymmerii oznacza to: „Pomścicie nas”.

Zrobiłbym to i bez tego. Nie należeli do mojego klanu, ale korzystałem z gościnności pod ich dachem. Dopóki ich nie pomszczę, nie zaznam spokoju.

— Nie mówisz chyba poważnie! — powiedział Taharka, pewny, że

Cymmerianin musi mieć jakiś inny, istotniejszy motyw. — Nikt nie

zmarowałby tyle czasu i wysiłku na pomszczenie paru bezimiennych barbarzyńców!

— Twój hyperborejski kundel miał rację: nie rozumiesz mieszkańców Północy. Był przeżarty złem, ale walczył jak mężczyzna. A ludzie, których zabiliście, nie byli bezimienni. Ich imiona przeżyją w pieśniach ich krewniaków. Są też wyryte tutaj — stuknął się kciukiem w szeroką pierś. —

Ich duchy wołają o twoją krew i będą ją miały!

Obaj rzucili się na siebie w tej samej chwili. Przy pierwszej wymianie potężnych ciosów skry sypnęły się spod szerokich ostrzy. Conan był

zdumiony; Hyperborejczyk był silny, jednak Taharka okazał się jeszcze silniejszy. Ostrza waliły w siebie, tworząc opętańczą muzykę. Bez przerwy szukały krwi, ale jej nie znajdowały. Dwaj walczący krążyli po całym pokoju to atakując, to cofając się. Baczyli jednak, by nie wpaść na pozostałą dwójkę.

Kalia walczyła ogarnięta uniesieniem, prawie ekstazą. Czowała, że w tej potyczce spełnia się całe jej życie. Płuca Aksandriasa dyszały jak miechy. Jego nieludzka szybkość zaczynała słabnąć. Kalia wykonała pchnięcie w jego pierś, a gdy Aquilończyk sparował je, zrobiła młynek i ugodziła go w brzuch.

Natychmiast wyciągnęła miecz z powrotem, parując jego kontratak.

Aksandrias nacierał dalej, jak gdyby niczego nie poczuł.

Kalia miała już pewność, że jej przeciwnik zażył narkotyk, który wcześniej podawał walczącym w Crotonie niewolnikom. W niezmierny sposób zwiększał

on jego szermierczy kunszt i przydawał mu nieludzkiej siły, ale był również odpowiedzialny za cielesne wyniszczenie. Nie miała nic przeciwko temu.

Chciała rąbać go i kłuć tak długo, jak się da. Równocześnie z tą myślą cięła go w szyję i z satysfakcją obserwowała, jak krew spływa wąską strużką po jego skórze. Kolejne pchnięcie Aksandriasa skubnęło ją tuż nad skórzaną zbroją na udzie, lecz zignorowała to i cięła go w prawe ramię. Gdy Aksandrias cofnął się, przystąpiła do ostatecznej wymiany ciosów. Widziała, że Aquilończyk nie jest w stanie bronić się dłużej. Działanie narkotyku szybko słabło. Otoczyła przeciwnika wirującą stalową zasłoną. Ramię Aksandriasa słabło przy każdym uderzeniu, które które przychodziło mu parować. W końcu Kalia rzuciła się naprzód z wyciągniętą szablą. Było to skrajnie desperackie posunięcie. Jej nauczyciele doradzali, by korzystać z niego tylko w ostateczności, ponieważ wychylony w przód szermierz nie może utrzymać równowagi i jest bezbronny wobec większości ciosów.

Jednak doskonale obliczyła to pchnięcie w czasie. Gdy Aksandrias zasłaniał

się przed tym, co wziął za kolejne cięcie, Kalia rzuciła się na niego z wyciągniętą szablą, włożywszy w to cały ciężar ciała. Koniec ostrza przeszył

jego lewe oko, cienkie kości oczodołu, mózg i potylicę, wychodząc z tyłu na półtorej piędzi. Gdy Aksandrias padał ostrze wysunęło się z jego głowy. Kalia stanęła nad jego nieruchomym ciałem i chwilę patrzyła na nie zamyślona.

Potem w całej willi rozbrzmiał jej triumfalny krzyk.

Taharka nie mógł uwierzyć, że młodzik, którego miał za przeciwnika, jest silniejszy od niego. Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś równego sobie. Zawsze przyjmował za pewnik, że przewyższa innych siłą fizyczną. Okazało się jednak, że młody dzikus jest nie tylko silniejszy, ale i zręczniejszy. Taharka zdał sobie sprawę, że musi uciekać. Zaczął cofać się ku fotelowi, na którym leżał

wykwintny gobelin — łup z jakiejś bezimiennej barki. Mijając go, porwał

gobelin z oparcia i rzucił nim w Cymmerianina. Conan wzniósł ramię i cofnął

się, zaś Taharka rzucił się obok niego ku drzwiom. Cymmerianin zdarł zasłonę z twarzy i ujrzał Keshaćczyka przy wejściu, chwytającego oszczep ze stojaka z bronią. Taharka obrócił się, odwiódł wysoko ramię i cisnął oszczepem, który poszybował prosto w serce Cymmerianina. Nie mając czasu odtrącić go mieczem, Conan uchylił się instynktownie. Miał już rzucić się za uciekającym Taharka, gdy z tyłu dobiegł go agonalny jęk. Ogarnięty zgrozą odwrócił się, wiedząc już co ujrzy.

Ostry, długi grot oszczepu wszedł nad biodrem Kalii i przeszył jej brzuch.

Jego splamiony krwią czub wystawał na szerokość dłoni z drugiego boku.

Dziewczyna chwyciła za drzewce, co przysporzyło jej tylko jeszcze większych cierpień. Nim padła, Conan zdążył ją podtrzymać.

— Kalia! — krzyknął, opuszczając ją na posadzkę. — I ciebie mi odebrał?!

Popatrzyła na siebie, a potem na zwłoki Aksandriasa, zwróciła twarz w górę i uśmiechnęła się słabo do Conana. Jej twarz szybko bladła.

— Dobrze, że tak się stało, Conanie. Teraz, po śmierci Aksandriasa, nie miałam po co żyć — wykrzywiła się, gdy przeniknął ją nowy spazm bólu. —

Powiem ci jedno — złapała rozpaczliwie powietrze. — Od dzieciństwa poświęciłam życie nienawiści do tego człowieka. Jestem szczęśliwa, że przed śmiercią mogłam pokochać innego — uniosła dłoń i pogładziła go po ogorzałym obliczu. — Idź, kochany, idź i zabij dla mnie to zwierzę.

Jej dłoń opadła, a ciało zwiotczało, jakby zostało pozbawione kości.

Conan wyciągnął oszczep, delikatnie spowił Kalię w bezcenną draperię i złożył jej ciało na stole z kosztownego drewna. Potem podniósł miecz i ruszył

szukać Taharki.

Keshańczyk miotał się jak oszalały. Przy brzegu nie było żadnej łodzi!

Wariatka i jej sprzymierzeniec odcumowali wszystkie, łącznie ze swoją.

Zobaczył Cymmerianina za sobą na ścieżce i zaczął biec w jedynym możliwym kierunku: pod górę. Po dłuższej chwili dotarł do ruin świątyni. Zbierała się mgła, rozpraszając światło księżyca. Prastare kamienie i rozpadający się marmur zdawały się roztaczać spowijającą granit tajemniczą poświatę.

Taharka pomyślał, że musi to być złudzenie. Na pewno nic więcej.

Cała górna część budowli legła w gruzach, lecz od wejścia prowadziły długie, opadające w mrok schody. Keshańczyk pomyślał, że może w dole zdoła zacząć się na Cymmerianina. Nie wypuszczając miecza z dłoni, zanurzył się w ciemność.

Conan dotarł do ruin nieco później. Jego czujny słuch wyłowił odgłos kroków Taharki. Zaczął rozglądać się po zwalonej świątyni. Choć był otępiały po śmierci Kalii, to jednak atmosfera tego miejsca przyprawiła go o przesądny dreszcz. Ogarniał go zamęt, ale kierowała nim podwójna żądza zemsty. Nie zamierzał opuścić tej wyspy bez krwi Taharki na mieczu.

Czuł, że architektura świątyni jest mu w odstręczający sposób znajoma.

Ujrzawszy za progiem schody pojał, że tam właśnie wszedł Keshańczyk.

Zastawiwszy się mieczem ukośnie na wysokości piersi, ostrożnie zaczął

schodzić po stopniach. Wyteżał słuch, starając się łowić najśłabsze odgłosy. W

wysokiej, przypominającej kryptę podziemnej komnacie nie panował absolutny mrok. Nie wiedział, skąd pada światło. Wydawało się ono rozlewać

równomiernie po całym wnętrzu, na tyle intensywne, że dało się przy nim widzieć. Miał wrażenie, że korytarz, w którym się znalazł, okalają wielkie, niewyraźne płaskorzeźby. Gdy zwracał ku nim wzrok, ich kontury zacierały się. Wprost przed nim ogromne, przeżarte przez czas bryły zdawały się tworzyć sylwetki jakichś obcych, niesamowitych tworów.

Potrząsnął głową, chcąc oczyścić myśli. Nie miał czasu na podziwianie dekoracji. Przybył tu, by zabić, i zamierzał tego dokonać. Korytarz okazał się nieprawdopodobnie długi, nie było w nim żadnych bocznych odgałęzień.

Conanowi wydawało się, że wyspa nie może być aż tak duża, ale nie zamierzał

zajmować się takimi łamigłówkami. Przed nim poświata stawała się jak gdyby mocniejsza. Miała znaną mu już, zielonkawą barwę. To go również nie interesowało. Ucieszyłby się tylko wtedy, gdyby światło ukazało wroga.

Usłyszał dźwięk, zdający się dochodzić z tego samego źródła co poświata.

Przypominał on odgłos odległego morza, bijącego z łoskotem o jakiś niewyobrażalnie daleki brzeg. W końcu odnalazł to miejsce: poblask sączył się przez wysokie, łukowato sklepione drzwi. Przeszedł przez nie i ze zdumieniem zapatrzył się we wnętrze sali, w której się znalazł. Była tak olbrzymia, że mimo gorejącego na jej środku ognia sufit i ściany były ledwie widoczne. Z obu stron ciągnęły się rzędy kolumn, przedstawiających ludzi z węzowymi głowami.

Widział już podobne w Crotonie, te jednak były dziesięciokroć większe.

Ogień płonął w wielkim zagłębieniu na środku komnaty. Na tle płomieni zauważył sylwetki kilku ludzi. Dalej, za czarą z płomieniem, stał ledwie widoczny tłum. To, co wziął za szum morza, okazało się odgłosem rytualnego śpiewu. Ruszył ku zebranej przy ogniu grupie. Zbliżywszy się ujrzał, że są to mężczyźni w czarnych szatach, z wygolonymi głowami. Bez większego zaskoczenia stwierdził, że jednym z nich jest kapłan ze świątyni w Crotonie, zaś innym czarownik, który ukazał mu wizję w zwierciadle. Obchodził go jednak tylko człowiek, który stał obok nich.

Taharka z Keshanu trzymał miecz w gotowości. Na jego twarzy malowała się dziwaczna mieszanka grozy i triumfu.

Na niewielkim podwyższeniu koło czary z ogniem stał trzeci kapłan.

— Rycerze nadeszli — oświadczył ceremonialnym tonem.

Conan zignorował to zagadkowe stwierdzenie.

— Przeszedłem zabić tego człowieka — powiedział wskazując Taharkę mieczem. — Nie wtrącajcie się.

— Stój! — odparł kapłan, wyciągając kościstą dłoń. Conan znieruchomiał; miał wrażenie, jakby uderzył w mur. Zagotowało się w nim od gniewu. Czy nigdy nie będzie mu dane zabić tego potwora?

— Wszystko musi się odbyć zgodnie z rytuałem — powiedział kapłan. —

Tylko jeden z was pozostanie przy życiu. Wielu bogów będzie patrzyło na tę walkę. Jej wynik zadecyduje czy Pradawni powrócą, czy też nadal będzie trwało panowanie młodych bogów. Nikt z was nie włada czarami, dlatego o jej wyniku zadecyduje wyłącznie kunszt walki.

— Tak, jak zamierzałem — mruknął Conan. — Odsuńcie się.

Zaczął napierać na niewidzialny mur, jednak bez rezultatu.

— Rycerzem Pradawnych jest Taharka z Keshanu. Jeśli zwycięży, powróci panowanie prawdziwego zła — usiłowania kapłana, by zachować

bezstronność, unicestwiała nuta szyderczej uciechy w jego głosie. — Jeśli zatriumfuje Conan z Cymmerii, przez następnych pięćdziesiąt pokoleń będziemy skazani na pokutowanie w cieniu!

Rzekomy cyrkowy magik odezwał się po raz pierwszy:

— Oczywiście, obaj jesteście jedynie naczyniami wyższej woli. Wasza walka jest tylko ziemskim odbiciem tytanicznych zmagających bogów o dominację nad Wszechświatem. Zaiste, zakrawa na ironię, iż przeznaczenie wybrało do tej roli nie królów, nie cesarzy czy wielkich magów, lecz parę prymitywnych dzikusów.

Wygląda na to, że bogowie nie są pozbawieni poczucia humoru.

Conana zupełnie to nie obchodziło. Pragnął jedynie krwi swojego

przeciwnika, a kapłani powstrzymywali go nieczystą magią i niezrozumiałymi bredniami. Zobaczył jednak, że Taharka również tkwi w niewidzialnych więzach.

Lament tłumu w czarnych szatach po drugiej stronie czary nasilił się. Nie przypominał teraz szumu morza, lecz odgłos gromów.

— Niech walka się zacznie! — rzekł ten, który wcześniej udawał magika.

Niewidzialne więzy opadły z Conana. Bez chwili wahania rzucił się na Taharkę. Keshaćczyk ruszył do boju z równym impetem. Roztrącili trzech kapłanów, którzy w sposób nie licujący z ich godnością poprzewracali się jak kłody. Obydwaj mężczyźni zaczęli walczyć z szaloną zażartością.

— Zabiłeś moich przyjaciół! — krzyczał Conan. — Zabiłeś moją kobietę!

Napiję się twojej krwi, Taharko!

Jego furii dorównywał wystudiowany chłód Taharki. Keshaćczyk parował i blokował wszystkie raptowne ataki Cymmerianina, wyczekując na sposobność dla siebie.

— Twój przyjaciele nic dla mnie nie znaczą, chłystku! — wyrzucał z siebie słowa, stękając z wysiłku. — A jeśli chodzi o twoją jednooką dziewczkę, to był

wypadek. Gdybyś zasłonił ją przed oszczepem własnym ciałem, jak przystało na bohatera, żyłaby!

Wydało mu się, że znalazł okazję do ataku. Ciął, lecz zwierzęca szybkość młodego barbarzyńcy udaremniła jego wysiłek.

Conan przegonił przeciwnika dookoła zagłębienia z ogniem. Nie dające ciepła płomienie wzniosły się pod sufit. Cymmerianinowi wydawało się, że Taharka stał się silniejszy. A może to on słabł? Keshaćczyk zmienił taktykę i zaczął

nacierać. Tym razem Conan był spychany w tył.

— Czujesz, chłystku?! — rzucił Taharka. Całą twarz miał zlaną potem. —

Pradawni oszukują, dodają mi sił. To bogowie pozbawieni honoru,

barbarzyńco. Muszą tacy być, skoro wybrali mnie na cesarza całego świata.

Nie zazdrość mi jednak tego losu, będzie okrutny.

— W takim razie po co walczysz? — zapytał Conan. Był tak spocony, że tracił pewny uchwyt na rękojeści miecza, jego riposty stały się mniej dokładne.

Dyszał, nie mogąc złapać tchu. Ostatnie pytanie sprawiło, że zabrakło mu powietrza. Postanowił nie odzywać się do końca walki.

— Bo zanim bogowie wezmą mnie do siebie, czeka mnie wiele lat rozkoszy —

wysapał Taharka. — I dlatego, że chcę cię pokonać. Uwielbiam zabijać!

Błyskawicznym atakiem Keshaćczyk, którego siły podwoiły się teraz, zepchnął Conana na skraj podwyższenia. Wyczerpany Cymmerianin nie zdołał

utrzymać równowagi i zwałił się ciężko na posadzkę. Miecz wysliznął mu się ze spoconej dłoni i ze szczękiem poleciał daleko do tyłu. Gdy starał się dźwignąć na nogi, Taharka wzniósł broń do ostatniego ciosu. Conana po upadku dzieliło od przeciwnika dziesięć kroków. Zdał sobie sprawę, że do końca życia zostały mu najwyżej dwa uderzenia serca.

— Żegnaj, barbarzyńco — rzekł Taharka, smakując swoje zwycięstwo. —

Byłeś najlepszy ze wszystkich, których zabiłem!

Conan raptownie sięgnął do pasa za plecami i zamachnął się z całą siłą oraz szybkością, jakie mógł jeszcze wykrzesać. Zezując, Taharka spojrział rękojeść sztyletu, który niespodziewanie pojawił się między jego oczami. Słaniając się, zrobił dwa kroki wstecz i runął w misę z zielonym ogniem. Płomienie na moment buchnęły wyżej, rozpościerając pod sufitem swą pajęczą koronkę, po czym nagle przygasły, zamieniając się w ledwie pełgające ogniki.

— Jak to się stało? — powiedział trzeci kapłan. — Wszystkie znaki wskazywały na powrót Pradawnych! — utkwiał w Conanie spojrzenie pełne bezgranicznej nienawiści.

— Na tym właśnie polega nieodgadniona zagadka bytu. Na przestrzeni dziejów wyjątkowi śmiertelnicy mogą czasem obrócić wniwecz dzieła bogów i pokoleń ludzi — rzekł kapłan z Crotonu.

— Tania cyrkowa sztuczka zniszczyła dzieło planowane od stuleci —

podsumował „magik” z nieskończoną goryczą w głosie.

Conana nic to nie obchodziło. Odczuwał głęboką ulgę, uwolniwszy się od krwawego zobowiązania. Mógł teraz rozpamiętywać śmierć Kalii.

— Sami powiedzieliście, że to tylko odbicie wyższych zmagania — powiedział, nie zastanawiając się skąd mu to przyszło do głowy. — Może więc to Crom wbił

sztylet między oczy rycerza Pradawnych?

Podniósł swój miecz. Kiedy odwrócił się, tłum postaci w czarnych szatach i trójka kapłanów zniknęła. Zielone płomienie szybko dogasały. Schował miecz i znużony opuścił komnatę.

Ociekając wodą, wyszedł na stygijski brzeg. Odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na wyspę. Obok willi wciąż unosił się dym. Gdy wrócił z podziemi, stwierdził, że zgraja niewolników plądruje dom bez żenady. Przepędził ich i z najcenniejszego drewna ułożył stos ciałopalny. Złożył na nim Kalię w zbroi. U

stóp wojowniczkę cisnął zwłoki Aksandriasa. Potem podpalił stos, zszedł nad rzekę i przepłynął pół mili, dzielące wyspę od północnego brzegu.

Zastanowił się, w którym kierunku ruszyć? Na północ, ku rodzinnym stronom? Czy na wschód, gdzie były krainy, których zew czuł od chwili, gdy postawił stopę na falistych równinach Ophiru? Na zachód, ku wielkiemu morzu, dumnym okrętom i tajemniczym wyspom? Czy na południe, do

bujnych dżungli, gdzie żyli dzicy, o których tyle rozmawiał z Kalią podczas długich nocy na Styksie? Nie miał pojęcia, co począć.

W takich sytuacjach przydatny był stary cymmeriański obyczaj. Wyciągnął

miecz i rzucił go najwyżej, jak zdołał. Zamierzał udać się w tym kierunku, jaki po upadku wskaże ostrze, o ile nie utkwi w ziemi. Miecz poszybował w górę.

Jego wirujący brzeszczot zalśnił w promieniach wschodzącego słońca.